

Janusz Meissner

CZERWONE
KRZYŻE

Opowieść o korsarzu Janie Martenie

II

1

Jan Kuna zwany Martenem siedział samotnie w kącie oberży Dicky Greena w Deptford i rozpamiętywał swą porażkę, zzymając się na myśl o doznanym upokorzeniu.-

Bolało go nie to, że przegrał zakład, tracąc skutkiem tego wspaniale dobraną czwórkę koni wraz z powozem, lecz to, że piękna Gipsy Bride * odjechała tym powozem wraz z panem de Vere. Odjechała, pozostawiając go na pastwę drwin innych dworaków i wystrojonych kawalerów, z którymi nie mógł przecież natychmiast rozprawić się za pomocą szpady.;;

Lecz czegoż innego można się było spodziewać po Gipsy Bride? Jej matka mieszkała w Soho, gdzie miała stragan z warzywem i gdzie Gipsy Bride jako trzynastoletnia dziewczynka zaczęła pracować w pralni bielizny!

O ojcu nic pewnego nie wiadano; krążyły plotki, że był wędrownym grajkiem, może istotnie Cyganem, a może Irlandczykiem lub Francuzem. W każdym razie jego związek z młodą i przystojną właścicielką straganu miał charakter tyleż nietrwały, ile nie uświęcony przez kościół.-

Gipsy — tak ją przezywali sąsiedzi — nie miała zamiłowania ani do handlu jarzynami, ani do prasowania i rurkowania koronkowych kryz. Mając lat piętnaście uciekła z trupą włoskich linoskoczków i komediantów^ a wkrótce potem nauczyła się śpiewać i tańczyć przy akompaniamencie tamburyna. Ponieważ była zgrabna i ładna, miała duże powodzenie, a gdy Marten ujrzał ją po raz pierwszy, była właśnie w okresie rozkwitu swej urody.-

Włoska trupa, do której należała, zatrzymała się wówczas w Greenwich, tuż obok posiadłości Martena, gdzie — jak zwykle — od wczesnego popołudnia do wieczora i przez całą noc zabawiano się grą w karty i w kręgle, jedzono i pito, strzelano do celu albo do bażantów i gołębi, uganiano konno z psami za lisem czy też wywoławszy jakąś zwadę, kieroszowano się wzajemnie szpadami.

Oczywiście grono młodych hulaków nie omieszkało wykorzystać nadarzającej się okazji do nowej rozrywki na koszt gościnnego gospodarza: Włosi zostali zaproszeni na obiad, na dziedzińcu przed domem odbyło się przedstawienie, a następnie całonocna zabawa, podczas której Gipsy Bride zdołała całkowicie oczarować Martena.

Nazajutrz wozy wędrownych komediantów odjechały z Greenwich, lecz bez Gipsy. Zamiast niej dyrektor trupy otrzymał spory mieczek złota i trzy pary mułów ze stajni Martena;

Gipsy zaś — Gipsy w ciągu niewielu miesięcy nauczyła się znacznie więcej w Greenwich niż w ciągu paru lat spędzonych na włóczędze. Wprawdzie nadal nie umiała ani pisać, ani czytać, ale potrafiła zachować się niemal jak prawdziwa dama, rozmawiać dowcipnie i dwornie, recytować wiersze, przyjmować *gości i królować przy stole* > *stroić się* ze smakiem, a nade wszystko — wydawać mnóstwo pieniędzy.

Marten był zawsze hojny, a często rozrzutny. Jego wielki majątek zdobyty podczas wyprawy pod dowództwem Frań-

ciszka Drake'a w roku 1585 topniał jak śnieg na słońcu i przeciekał mu przez palce z nieprawdopodobną szybkością. Posiadłość w Greenwich z mnóstwem służby, z końmi i powozami, ze zgrają gości — młodych hulaków, obieżyświatów, awanturników i pieczeniarzy, lekkomyślne operacje pieniężne, łatwowierność, z jaką Marten udzielał pożyczek swoim „przyjaciołom” oraz nie uzasadnione zaufanie, jakim darzył swych rządców i administratorów — w ciągu dwóch lat bardzo poważnie uszczupliły jego fortunę. Lecz Gipsy Bride w niespełna rok zdołała roztrwonić dwa razy tyle.;

I oto teraz, gdy Jan stanąwszy u progu ruiny zaczął myśleć o przygotowaniu swego okrętu do nowej wyprawy korsarskiej, aby ratować siebie przed uwięzieniem za długi, a swą rezydencję przed licytacją, Gipsy Bride opuściła go pierwsza* i to w taki sposób!

Był na tyle nieostrożny, że zwierzył się jej ze swych zamiarów, Postanowił odprawić część służby ! stopniowo ograniczyć wydatki. Stopniowo, ponieważ wiedział, że jeśli to zrobi nagle, jednego dnia, wierzyciele rzucą się na niego w obawie o swoje należności, a wówczas straci wszelki kredyt. Chciał zacząć tę sanację swoich spraw majątkowych od sprzedaży owej czwórki koni, aby za uzyskaną gotówkę uzupełnić zapasy j„Zephyra”s W tym celu umówił się nazajutrz z pewnym handlarzem końmi w Southwark;

Gipsy przyjęła tę wiadomość z aprobatą: oczywiście, oczywiście — stanowczo trzeba na pewien czas zmienić tryb życia. Trzeba oszczędzać, ona doskonale to rozumie. Gotowa jest nawet pojechać do Southwark, aby Jan nie rozmyślił się w drodze;

— Pojedziemy, dzisiaj — powiedziała z poważną miną — i zatrzymamy się w Deptford, aby zobaczyć walki psów. Henry mówił, że jego brytan Robin będzie walczył z wilkiem.

Marten chętnie na to przystał, jakkolwiek nie lubił Henryka de Yere, jak zresztą wszystkich tych zarozumiałych

szlachciców, kręcących się przy dworze królowej Elżbiety, których miał sposobność nieraz spotykać w towarzystwie kawalera de Belmont. De Vere, Hatton, Blount, Drummond czy Ben Johnson spoglądali na Jana Martena z góry, z odcieniem pobłażliwej pogardy; tolerowali go, ponieważ Ryszard de Belmont z nim się przyjaźnił. Nie śmieli obrażać go wprost, bo wiedzieli, że waży się na wszystko i może być niebezpieczny, ale gdy spotykał ich sam, nie poznawali go prawie, odpowiadając zaledwie niedbałym skinieniem głowy na jego powitanie. On zaś był zbyt dumny, aby zabiegać o ich względy, i przestał pozdrawiać ich pierwszy.

Tym razem jednak de Vere sam raczył go zauważyć w Deptford: skłonił się z daleka, a potem podszedł bliżej, aby się przywitać i obejrzeć czwórkę karych kłusaków Martena. Był uprzejmy, pełen szczerego podziwu dla zaprzęgu i galanterii dla Gipsy; wspomniał o Belmoncie, który miał wkrótce powrócić z Francji, a wreszcie zaczął mówić o swoich brytanach i zaprosił oboje do zagrody, gdzie został umieszczony Robin.

Pies był istotnie ogromny i wyglądał groźnie, ale gdy Marten z kolei zobaczył jego przeciwnika, potężnego wilczura o płowej sierści i palających ślepiach, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia wątpliwości co do wyniku walki.

De Vere poczuł się tym nieco dotknięty: Robin kilkakrotnie walczył z najstłanniejszymi psami w Anglii i zawsze zwyciężał, a raz wspólnie z dwoma innymi brytanami rozszarpał niedźwiedzia.

— To jeszcze nie dowodzi, że wygra z wilkiem — od rzekł Marten.

De Vere poczerwieniał, ale opamiętał się.

— Widzę, że znacznie gorzej znacie się na psach niż na pięknych kobietach i nawet na koniach — powiedział z drwiącym uśmiechem. — Trzymam zakład o trzysta gwinei, że Robin pokona tego wilka w ciągu kwadransa.

— Nie sędzę — mruknął Marten.

Miał wielką ochotę przyjąć zakład, ale/nie posiadał nawet stu gwinei, a nie chciał się do tego przyznać. De Vere zapewne domyślił się przyczyny, bo nagle zaproponował, że podwoi stawkę, jeśli Marten postawi przeciw niej swój zaprzęg wraz z powozem.

Jan jeszcze się wahał. Spojrzał na Gipsy, ale ona uśmiechała się teraz do Henry'ego, który pożerał ją wzrokiem.

—A może wolelibyście..; — zaczął de Vere z bezczelnym uśmiechem — może wolelibyście zamiast tej czwórki postawić coś cenniejszego? Na przykład...- — zawiesił głos i znów objął spojrzeniem postać dziewczyny;

—Wolałbym poprzestać na koniach — odrzekł Marten.- — I radziłbym wam to samo — dodał z błyskiem w oczach;

De Vere skrzywił się, jakby go zapiekło w języki

r—. Jak chcecie, jak chcecie — powtórzył pojednawczo.

Gdy wilk i pies znalazły się naprzeciw siebie, w tłumie widzów zapanowało podniecenie, tym większej że wiadomość o zakładzie między właścicielem Robina a Martenem rozeszła się już wśród znajomych kawalera de Vere i przeniknęła do pospólstwa;

Wilczur z początku nie okazywał wielkiej odwagi: wcisnął zad między pręty klatki podwinąwszy ogon pod siebie i tylko szczyrzył wielkie białe kły. Pies natomiast rwał się do boju tak gwałtownie, że czterej rośli masztalerze pana de Vere zaledwie zdołali go utrzymać, a potem uwolnić z uwięzi. Gdy się z tym wreszcie uporali, zanim jeszcze opadła w dół kłapa, przez którą wypuszczano zwierzęta, Robin skoczył i całym ciężarem runął na wroga. Wilk zręcznie uniknął tego wściekłego natarcia, ale nie wykorzystał okazji do przeciwataku i zamiast rzucić się na rulującego brytana, stał

na sztywnych, wyprężonych łapach i czekał, co będzie dalej. Tłum lżył go za to i gwizdał, a on niebacznie obejrzał się na ludzi nie rozumiejąc, dlaczego czynią tyle hałasu. Ta chwila nieuwagi mogła go zgubić: pies zerwał się i skoczył znowu, aby go chwycić za kark. Gdyby mu się to w pełni udało, wilk zapewne nie wywinąłby się śmierci. Lecz szczęki Robina zwały się o ułamek sekundy za wcześnie; zamiast na kręgach szyi, tylko na skórze, której płat wydarty gwałtownym szarpnięciem zwisał na barki wilczura i zaczął krwawić:

Teraz jednak odpowiedź nastąpiła błyskawicznie: wilk ciął zębami poniżej ucha, aż Robin zaskomlał z bólu, a potem obaj wspięli się na tylne łapy i w ciasnym zwarciu wodzili się przez chwilę, zadając sobie nawzajem ciosy, od których krew coraz obficiej broczyła po nosach i wargach. Wilk milczał; tylko w gardle gotował mu się głuchy pomruk. Pies skowyczał i warczał, na próżno starając się zwalić z nóg przeciwnika, aby dobrać mu się do szyi. Wtem potknął się i pod naporem ciężkiego zwierza cofnął się, aby odzyskać równowagę; lecz w tej samej chwili poczuł wściekły ból w łopatce i zwinąwszy się w miejscu padł na bok. Wilk już na nim siedział, przygniatając go do ziemi, więc kłapiąc zębami wykręcił się na wznak, a w jakimś mgnieniu oka dostrzegł odsłoniętą płową pierś, zatopił w niej kły, aż zgrzytnęły po żebrach, i nagle uwolniony zerwał się na równe nogi, aby natychmiast zaatakować znowu;

Marten śledził tę walkę z zapartym tchem, nie zważając na Gipsy Bride, która uczepliła się jego ramienia i wpijała mu paznokcie w skórę. Ilekroć wilk zyskiwał przewagę, gawieź gwizdała z uciechy; gdy pies był górą, zapadało pełne napięcia milczenie. Pospólstwo teraz było widocznie po stronie wilka i Marlana, przeciw strojnym kawalerom i Robinowi.

Ale wilk krwawiąc coraz obficie z wolna tracił siły, a pies wydawał się mieć ich niepożyty zapas. W jakiejś chwili udało mu się chwycić przeciwnika za dolną szczękę od spo*

du, lak że sam uniknął jego klów. Wtedy wilczur po raz pierwszy zaskomlił, a choć wkrótce uwolnił się od bolesnego chwytu, który zapewne nadwreżył mu kości, odtąd cofał się i przeważnie się bronił, rzadko przechodząc do ataku. Nie stchórzył i nie próbował daremnej ucieczki. Okrwawiony, z kłakami sierści i płatami wyszarpanej skóry zwisającymi na bokach i na piersi, walczył do ostatka, aż zwałił się z nóg w jakimś gwałtownym zwarciu i poczuł śmiertelny ucisk ostrych zębów na gardle. Jeszcze próbował się wywinąć, je-, szcze się miotał szukając oparcia dla łap, ale kły Robina przecięły mu tchawicę, a krew zalewała płuca. Pies szarpał nim, wgryzał się coraz mocniej w rozdartą gardziel, włókł go na grzbiecie po stratowanej trawie, aż zakrztusił się jego krwią i puścił. Potem obszedł go dookoła, położył się obok i dyszał ciężko, oblizując raz po raz krwawiące wargi.-

No cóż, przegraliście, kapitanie Marten — powiedział Henry de Vere, gdy się to wszystko skończyło. — Będę musiał odwieźć was do Greenwich.

Marten mimo zachęcających spojrzeń Gipsy nie chciał skorzystać z tej propozycji. Odrzekł, że dziś nie ma zamiaru wracać. Przenocuje na „Zephyrze” w Deptford, a nazajutrz spodziewa się przybycia innego swego pojazdu, którym powróci do domu. Lecz do portu w Deptford było więcej niż dwie mile piaszczystej drogi, a Gipsy miała na nogach lekkie pantofelki na wysokich obcasach.

Marten zaczął się rozglądać za swoim woźnicą, aby posłać go do pobliskiego zajazdu po jakąś bryczkę, a nadąsana piękność postanowiła czekać w powozie, do którego zaprosił ją Henry.-

Nie czekała jednak: gdy Jan wrócił, czwórka karych ko* ni obiegała kolisty podjazd uwożąc ją w stronę Londynu; Na koźle siedział sztywny stangret w żółtej liberii pana de

Vere, a ten ostatni pochylał się nad Gipsy Bride, która zanosila się od śmiechu. Powóz przemknął wznosząc tuman kurzu, a za nim nadjechał ciężki brek * z resztą wytwornego towarzystwa, które na widok osłupiałego Martena także wybuchnęło śmiechem.

Ten śmiech podciał go jak biczem, a ukrop gniewu niemal oślepił na chwilę. Chciał rzucić się naprzód, pobiec za zgrają paniczów, ugasić palące upokorzenie w ich krwi, spoliczkować płochą kochankę, plunąć w twarz de Vere'owi! Ale w sam czas uświadomił sobie, że daremnie ich goniąc, bardziej jeszcze się ośmieszy. Stał więc w miejscu i patrzył za nimi przygryzając wąsa. Wtem Gipsy obejrzała się i pokiwała dłonią, jakby przesyłając mu z daleka drwiące pożegnanie; De Vere obejrzał się także; obejrzał się nawet sztywny, drewniany stangret, a z breku na wszystkie strony wychyliły się zaczerwienione od śmiechu twarze i ramiona uniesione w górę pożegnalnym gestem;

Marten miał tego dość; odwrócił się gwałtownie i natychmiast spostrzegł, że jego przygoda wzbudza wesołość także wśród właścicieli innych pojazdów i ich gości. Stał się przedmiotem kpin i żartów, pośmiewiskiem dla całego „wielkiego świata” Londynu. Damy w kosztownych sukniach i wysokich perukach przyglądały mu się ciekawie spoza wachlarzy, szeptały sobie o nim jakieś skandaliczne plotki, kawalerowie silili się na złośliwe dowcipy, nawet służba i gawiedź pokazywała go sobie palcami. Szczęściem jego woźnica zajechał właśnie parą wynajętych koni i Marten, wskoczywszy na tylne siedzenie bryczki, kazał jechać najkrótszą drogą do portu;

Nie udał się jednak od razu na pokład „Zephyra”; Chciał najpierw opanować wzburzenie i zastanowić się nad sytuacją

pieniężną, w jakiej się znalazł straciwszy nagle możliwość uzyskania dość znacznej sumy ze sprzedaży swego zaprzęgu. Prawdę mówiąc ta czwórka koni stanowiła jedną z niewielu pozycji, jakie jeszcze należały do niego i nie były bądź zastawione, bądź zastrzeżone rewersami dłużnymi. Przed zupełną ruiną mogła go uratować tylko nowa wyprawa korsarska uwieńczona powodzeniem. Wyprawa, którą odkładał z miesiąca na miesiąc w ciągu całego roku, podczas gdy „Zephyr”, zaniedbany i obrastający muszlami, tkwił na zardzewiałych kotwicach przy brzegu Tamizy;

Tak więc odprawiwszy stangreta zaszedł do gospody Dic-ky Greena, gdzie dawniej bywał częstym gościem, i siedząc nad dzbankiem portugalskiego wina usiłował skupić myśli na tej najważniejszej sprawie, jaką było zdobycie jeszcze jednej pożyczki. Ale to zadanie zdawało się nie do rozwiązania, a wzburzenie z powodu niecnego postępku Gipsy nurtowało go nadal.

Tymczasem oberża z wolna napelniała się ludźmi. Szyprowie i ich pomocnicy, dostawcy okrętowi, właściciele małych warsztatów i stoczni, rzemieślnicy i pośrednicy handlowi napływali coraz liczniej, aby pokrzepić się po pracy, ugasić pragnienie, omówić jakieś transakcje, dobić targu o naprawę takielunku lub oczyszczenie kadłuba pod linią wodną. Marten, zwrócony tyłem do obszernej izby ze stropem wspartym na poczerniałych od starości dębowych słupach, dopiero po upływie dłuższego czasu uświadomił sobie, że nie jest sam. Mimo woli słuchał teraz gwaru i śmiechów, wyławiając z nich strzępy poszczególnych zdań i rozmów. Był prawie pewien, że spotka tu znajomych, a nie miał na to wielkiej ochoty. Siedział w odległym kącie, z dala od wyjścia, i wiedział, że nie zdoła wymknąć się stąd niepostrzeżenie.

Zrezygnował już z tego, ale nie odwracał się, aby jeszcze trochę zyskać na czasie.

Przy sąsiednim stole, którego nie mógł widzieć nie zwr-

cając się w tamtą stronę, siedziała hałaśliwa kompania marynarzy; Wodził tam rej jakiś kapitan mówiący z lekka cudzoziemskim akcentem, który wydał się Martenowi dobrze znany. Jego zabawne uwagi, a zwłaszcza przygody, opowiadane z werwą i humorem, budziły głośną wesołość; szyprowie pokładali się od śmiechu, a kolejki whisky i piwa wychylano o wiele częściej niż gdziekolwiek indziej.

— Wracam właśnie z Inverness — mówił ów bywalec o znajomym głosie i sposobie wysławiania się. — Muszę przyznać, że z początku przyjmowano mnie tam nader serdecznie. Dopiero później mój porucznik wszystko popsuł, a w rezultacie musiałem go tam zostawić i wracać bez niego. Ale nie będę uprzedzał wypadków i opowiem wam po kolei, jak się to stało. Nie wiem, czy braliście kiedy udział w pożywnym szkockim śniadaniu, po którym zaproszono by was na lekki lunch składający się z pół buszla * ostryg, pół tuzina baranich kotletów z jarzynami, około dziesięciu kwart piwa i dwóch czy trzech kubków whisky na zakończenie. Jeśli tak, to zgodzicie się ze mną, że trzeba mieć mocną głowę i zdrowy żołądek, by następnie iść na obiad, a wkrótce potem na kolację, przy których jada się znacznie więcej, a pije dwa razy tyle.. Co do mnie, dałem sobie z tym radę, ale mój porucznik widocznie przebrał miarę, bo wyszedłszy do ogrodu w pewnych osobistych sprawach i spotkawszy tam piękną pasierbicę gospodarza, nieco zbyt obcesowo zaczął się do niej zalecać. Nie chciałbym, żebyście pomyśleli, iż nie potrafię zrozumieć młodzieńca, który ma do czynienia z ładną dziewczyną. Jest dla mnie zupełnie jasne, że jeśli zobaczycie śliczną buzię z parą uroczych, świeżych warg, jeśli przypadkiem znajdziecie się blisko nich, a w dodatku prócz was nie ma tam nikogo — nie zdołacie lepiej dowieść waszego zachwyty, jak całując je na-

tychmiast. Mój porucznik uczynił to, zasługując moim zdaniem na uznanie, lecz następnie posunął się znacznie dalej. Tale daleko, że dostał od niej po pysku i wrócił z podrapanym nosem, co wzbudziło pewne podejrzenia ojczyma i matki owej ślicznotki. Próbowałem wziąć go w obronę przed ich gniewem, zwłaszcza że znałem dobrze naszego gospodarza, jeszcze zanim powtórnie się ożenił. Myślę, że nie uchylne jego czci, jeśli wyjawię, że aczkolwiek był wówczas młodym wdowcem, to jednak zdarzało mu się niejednokrotnie trzymać w ramionach przystojne damy. Wydaje mi się nawet, że miał zwyczaj całować ładne dziewczęta zatrudnione w pewnej maszoperii *, a raz lub dwa widziano, jak obejmował ich przełożoną w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do celu tych uścisków, przy czym ten fakt i jego następstwa potwierdzili wiarygodni świadkowie; Jak widzicie, miałem w ręku pewne atuty, a przynajmniej tak mi się wydawało. Dopiero nieco później doszedłem do wniosku, że nie należy wspominać niczyich przedślubnych przygód w obecności prawowitej małżonki, gdyż może to spowodować oplakane skutki. Tak się właśnie stało tym razem. Gdy wytoczyłem swoje argumenty w obronie mego porucznika, nasza miła gospodyni załapała się łzami, a gospodarz stał się tak lodowato uprzejmy, że można było przy nim dostać kataru. Nazajutrz zaś złożono radę familijną. Przyszły jakieś ciotki, babki i wujowie, aby rozstrzygnąć o losie dwojga młodych ludzi. Mogę was zapewnić, że wszystkie te osoby, nie wyłączając pani domu i jej męża, wyglądały jak wypożyczone z kostnicy, a mój porucznik — jak wisielec świeżo odcięty od stryczka. Tylko panna kwitła wśród tej trupiarni jak róża. Postanowiono, że mają się pobrać, i wyobraźcie sobie, ten nicpoń natychmiast się na to zgodził! Nieraz już przyczyniał mi

kłopotów i nieraz źle mu życzyłem — na przykład, żeby go połknął jakiś parszywy rekin albo żeby mu wypruto flaki w ciemnej ulicy. Ale przecież, Bóg mi świadkiem, nigdy nie myślałem tego na serio i nie spodziewałem się, aby tak wpadł, jak tym razem... I oto, moi drodzy, opowiedziałem wam tę historię ku waszej przestrodze, abyście mieli jakąś korzyść z mego doświadczenia. Ale niemniej sam jestem znów bez pomocnika, a moja „Vanneau” została pozbawiona należytej opieki.

Usłyszawszy to ostatnie zdanie, Marten odwrócił się jak pociągnięty sprężyną. „Vanneau”?! Tak przecież nazywała się zgrabna, mała fregata należąca do Piotra Carotte'a! Ale „Vanneau” przed trzema laty zatoniła w zatoce Tampico u brzegów Nowej Hiszpanii..;

Niemniej — to był z całą pewnością Carotte. Jego rumianą, pogodną twarz, trochę zniekształconą przez bliznę na policzku, rozpromieniał radosny uśmiech.

— Ma foi * — zawołał zrywając się z miejsca i zawadzając przy tym okrągłym brzuszkiem o krawędź stołu. — Ma foi, przecież to Jan Marten we własnej osobie!

Marten potwierdził swoją tożsamość i chwyciwszy w ramiona pulchnego Francuza, omal go nie udusił z nadmiaru czułości, a następnie zarzucili się wzajemnie gradem chaotycznych pytań i odpowiedzi, chcąc jak najprędzej wypełnić trzyletnią lukę w swych przyjaznych stosunkach.

Rozstali się po powrocie ze słynnej wyprawy korsarskiej Franciszka Drake'a, do której Marten przyłączył się w Zatoce Meksykańskiej. Piotr Carotte, straciwszy uprzednio swój okręt, pełnił wtedy przez pewien czas obowiązki porucznika na „Zephyrze”, a choć właściwie nie był korsarzem, to przecież nie opuścił Martena i wraz z nim odbył tę obfitującą w przygody podróż, która napelniła świat zdumieniem, zgrozą

i gniewem Hiszpanów, a" złotem skrzynie każdego z jej uczestników. Eskadra złożona z dwudziestu kilku okrętów Drake'a oraz czterech pozostałych pod dowództwem Martena zdobyła najpierw port Ciudad Rueda, niszcząc w nim najlepszą flotyllę hiszpańskich karawel i wiele lżejszych żaglowców wojennych, przy czym korsarze zrabowali miasto i zrównali je z ziemią. Zwrócili się następnie przeciw Haiti, bez walki opanowali San Domingo i wzięli tam ogromne łupy; zrabowali wybrzeże Kuby i Florydy, a choć uszła fm Złota Flota hiszpańska, to przecież zdobycz była tak wielka, że część jej musieli wyrzucić w morze, aby ulżyć przeciążonym okrętom.

Powróciwszy do Anglii Carotte za swój udział zamówił w jednej ze stoczni Firth of Tay nową fregatę i nazwał ją „Vanneau II" na pamiątkę tamtej, którą zatopili mu Hiszpanie. Zajmował się nadal handlem, nadal miał opinię solidnego szypra i wesołego kompana, cieszył się znakomitym zdrowiem i powszechną przychylnością. Co się tyczyło pozostałych towarzyszy i przyjaciół z owego okresu przygód w Zatoce Meksykańskiej i na Morzu Karaibskim, to Carotte wiedział o nich mniej niż Jan;

Pierwszy wspólnik Martena, kapitan Salomon White, stał się właścicielem okrętu „Ibex", którym dowodził przez wiele lat i który odkupił od spółki poprzednich swych armatorów. Jego porucznik, William Hoogstone, pływał z nim nadal, zostawszy jego zięciem.-

Kawaler Ryszard de Belmont, kapitan przytu „Toro", który przypadł mu w udziale ze zdobyczy pod dowództwem Martena, oddawał się głównie swoim stosunkom towarzyskim w sferach dworskich, podróżował do Francji podejmując się poufnych nieoficjalnych misji dyplomatycznych i prowadząc jakieś zawile rokowania ze zwolennikami Bearneńczyka *.

Nie porzucił zresztą rzemiosła korsarskiego, lecz traktował je raczej jako rozrywkę, przynoszącą mu zresztą znaczne dochody.-

— A Henryk Schultz? — spytał z kolei Carotte?

Marten uśmiechnął się.-

;— Henryk uparł się, że kupi ode mnie „Zephyra” rjj powiedział z lekkim westchnieniem.-

—Nie zamierzasz chyba sprzedawać „Zephyra”?! —" wykrzyknął Piotr.

—Ani mi to w głowie — odrzekł Marten. — Ale Schultz jest teraz człowiekiem bogatym i wydaje mu się, że za swoje pieniądze może mieć absolutnie wszystko. Trudno mu wytłumaczyć, że się myli.-

—A cóż się z nim dzieje poza tym?

Na to pytanie trudno było odpowiedzieć jednym zdaniem, Henryk Schultz bowiem rozwijał działalność bardzo wielostronną. Był teraz znacznym kupcem i bankierem, a po trosze również lichwiarzem. Zajmował się maklerstwem, był dostawcą okrętowym, posiadał duży dom handlowy w Gdańsku z filiami w Amsterdamie, Kopenhadze, Hamburgu i Londynie, utrzymywał stosunki ze Związkiem Hanzeatyckim *, lokował kapitały w solidnych spółkach budowy okrętów. Jego skłonności do intryg politycznych znajdowały zaspokojenie w tajemniczych konszachtach między senatem gdańskim •a wpływowymi osobistościami na dworze Zygmunta III w Polsce, Jakuba VI w Szkocji, Filipa II w Hiszpanii, nawet papieża Sykstusa V w Rzymie. Dzięki usługom, jakie na pozór bezinteresownie oddawał kardynałom i biskupom, wkładał się w ich łaski; zdobywał przychylność i zaufanie kleru

dyskrecją, pobożnością i niewielkimi zresztą fundacjami na rzecz kościołów, które jednak umiejętnie rozgłaszał; dostarczał wiadomości i sam je otrzymywał sobie tylko wiadomymi drogami, dzięki czemu zwykle był dobrze poinformowany i uchodził za najbardziej przewidującego człowieka w sferach kupieckich. Jeśli dotychczas nie zasiadł w radzie miejskiej Gdańska (o czym nieraz dawniej marzył), to tylko dlatego, że nie starczyłoby mu czasu na pełnienie tych zaszczytnych funkcji; miał tam jednak poważne wpływy i koneksje.

Z dawniejszych czasów, kiedy był na „Zephyrze” chłopcem okrętowym, a następnie pomocnikiem Martena, zachował dla niego dziwną mieszaninę uczuć, na którą składały się zawiść i podziw, pobłażliwa pogarda i chęć upokorzenia go, a nade wszystko wyrachowanie. Schultz wierzył w szczęście Martena, w jego szczęśliwą gwiazdę. Uważał go za najzdolniejszego kapitana, a jego okręt — za najpiękniejszy żaglowiec świata. Pragnął go posiadać na własność, nie odbierając zresztą Janowi dowództwa, lecz tylko poddając wszelkie jego poczynania swoim praktycznym planom, o ileż rozsądniejszym niż fantastyczne i ryzykanckie pomysły Martena.

— Ani mi to w głowie — powtórzył Jan. — „Zephyr”
- to przecież wszystko, co posiadałem w chwili, gdy ukończyłem lat osiemnaście, i niemal wszystko, co posiadam teraz. Reszta;; — strzepnął palcami. — Reszta przepływa jak woda strumyka wsiąkającego w piasek. Było, nie ma! Ale póki mam „Zephyra” i takich przyjaciół jak Piotr Carotte, niewiele dbam o resztę; nie ma, znów będzie!

— Jesteś niepoprawny — oświadczył Carotte. — Ale nie zamierzam prawić ci kazania, bo to się i tak na nic nie przyda. Będąc na miejscu Schultza nie dałbym ci oczywiście ani grosza, i domyślam się, że on właśnie tak postąpi. Ale po nieważ nie jestem Schultzem i nie mam zamiaru zmuszać cię do pozbycia się „Zephyra”, pożyczę ci trochę pieniędzy na jego najpilniejsze potrzeby, Jaka suma ratuje cię od zguby?

Marten nie wiedział tego dokładnie, a Carotte wydawał się tym nieco zgorzony.

Widzę, że będę musiał sam zająć się twoimi sprawami _ powiedział kiwając głową. — Chodźmy. Moja szalupa czeka w przystani. Chcę ci najpierw pokazać „Vanneau”, a potem — zobaczymy,

2

Klasztor hieronimitów w San Lorenzo el Real, wzniesiony pośród skalistej, pustynnej Guadarramy, zdawał się pogrążony w głębokim śnie. Tak przynajmniej można było sądzić spoglądając od strony nędznego miasteczka Escorialu, które leżało poniżej, na drodze do Madrytu. Lecz mieszkańcy Escorialu niewiele mogli dostrzec poza murem zewnętrznym i ciemnymi oknami tej potężnej budowli wzniesionej na pamiątkę zwycięstwa pod Saint-Quentin *. Dwadzieścia dziedzińców rozdzielało klasztor na siedemnaście gmachów o różnym przeznaczeniu, osiemset dziewięćdziesiąt wież strzelało w niebo, tysiąc kolumn wspierało sklepienia i arkady, tysiąc sto okien patrzyło z góry na cztery strony świata.

Znakomita większość tych okien była teraz ciemna, ale przez jedno z nich, wciśnięte pomiędzy szczytową ścianę kościoła a fronton zamku, sączyło się światło. Było to okno małego pokoju zawieszzonego ciemnozielonymi gobelinami, z palisandrowym stołem i ciężkim rzeźbionym krzesłem, na którym siedział błąd, przedwcześnie postarzały mężczyzna, w czarnym aksamitnym stroju bez żadnych ozdób prócz niewielkiej koronkowej kryzy dokoła szyi. Pracował jeszcze, choć minęła już północ i choć tego dnia szczególnie dokuczała mu podagra, a także jątrzące się wrzody na karku i w pachwinach. Pracował jak żaden inny ze współczesnych mu władców, rządząc zza tego stołu losami licznych narodów i krajów, w których ustanawiał lub strącał regentów i wasali, mianował biskupów, tępił heretyków i umacniał religię katolicką. Był królem Hiszpanii i Portugalii, władał Niderlandami i połową Italii, panował nad Indiami Zachodnimi. Uważał się za narzędzie Boga i wszystko, co czynił, czynił dla chwały bożej, aby stać się godnym swego haskiego dziedzictwa. Wiedział, że gdy umarł jego ojciec, Karol V, przyjęła go na progu nieba Trójca Święta. Nie miał co do tego niezwykłego faktu najmniejszych wątpliwości: wszak sam Tiziano Vecellio uwiecznił tę scenę na swoim malowidle.

Ufał, że i on, Filip II, dozna kiedyś podobnego przyjęcia w raju. Ale zanim to nastąpi, trzeba tyle jeszcze zdzia-łać!..»-

Czuł się zmęczony, lecz odsuwał myśl o wypoczynku. I gdzież by miał odpoczywać? Przecież nie w pałacu Pa-strana u boku Anny Eboli *, która — jak się okazało — nie była mu wierna..- Musiała się zestarzeć przez ten czas. Miała teraz czterdzieści siedem lat, a wówczas w Aranjuezie.;

Nie, nie powinien powracać do tych wspomnień. Księżna Eboli miała do śmierci pozostać w więzieniu, a on musiał rozstrzygnąć sporne sprawy kościelne, w których przeciwstawiał się papieżowi, musiał zająć się ostatecznym stłumieniem powstania w Niderlandach, dopomóc katolikom francuskim, poskromić kortezy aragońskie. Dręczyła go choroba, podniecała pycha i żądza zemsty, przede wszystkim zemsty na Anglii i na Elżbiecie, która tylekroć wymykała się zarówno jego miłości, jak nienawiści.

Nie ujdzie mi tym razem — pomyślał.

Wbrew swym zwyczajom naglił do pośpiechu, rozjątrzony wykonaniem wyroku śmierci na Marii Stuart i zuchwałym napadem Drake'a na Kadyks. Był pewny zwycięstwa; Poza błogosławieństwem otrzymał od papieża Sykstusa V znaczne subsydia na tę wyprawę, a sam posiadał przecież najpotężniejszą na świecie flotę wojenną i najliczniejszą armię — ponad sto tysięcy ludzi pod bronią.

Rzucić na kolana tych wyspiarzy! Wyciąć mieczem i wypalić ogniem ich herezję! Upokorzyć Elżbietę i zmusić ją do przejścia z powrotem na katolicyzm, aby potem, kiedyś, stawić się przed Trójcą Świętą z takimi zasługami — cóż za wspaniała wizja!

Ocknął się z zadumy.-

Jego zaufany doradca i ulubieniec, trzydziestoletni kardynał, arcyksiążę Albrecht Habsburg, biskup Toledo, zaczął mu odczytywać głośno urzędowy dokument zredagowany tego dnia przez Consejo de Estado w sprawie zamierzonego najazdu na Anglię.

— Po pierwsze należy polecić to wielkie przedsięwzięcie Bogu oraz starać się o udoskonalenie w cnocie i pobożności tych, którzy przeznaczeni są do jego. wykonania. Ponieważ jednak Jego Królewska Mość wydał już uprzednio ogólny nakaz w tym względzie i mianował urzędnika, który zazwyczaj tego pilnuje, trzeba tylko rozkaz Jego Królew-

skiej Mości ponownie ogłosić i dawać baczenie, aby był ściśle wykonywany.

Filip II potakująco skinął głową.-

— Po drugie — czytał dalej Albrecht — imając się wszelkich godziwych sposobów, trzeba jak najprędzej zgromadzić odpowiednie fundusze na uzbrojenie nowych okrętów. Po trzecie, aby ustalić te sposoby, należy powołać specjalną komisję teologów, którym można będzie powierzyć tak ważną sprawę i uznać ich opinię za miarodajną.

Spojrzał znad aktu na swego monarchę i spotkał jego chmurny wzrok. Król zławał się oczekiwać dalszego ciągu memoriału. Ale członkowie rady państwa dotąd nie mogli uzgodnić między sobą bardziej konkretnych i szczegółowych uchwał. Postanowili tylko zebrać się ponownie nazajutrz, w nadziei, że noc natchnie ich dążeniem do zgody.-

Albrecht nie wiedział, czy ma to wyjawić, ale Filip był już powiadomiony o ich jałowych sporach. Wszyscy byli ze sobą skłócenii; nie obejmowali wielkiego zadania, które mieli spełnić. Tylko on sam rozumiał je do głębi. Sam musiał decydować.

Skarb królewski był pusty. Olbrzymie dochody płynące głównie z Indii Zachodnich nie pokrywały wydatków na utrzymanie armii i floty, na wciąż rozrastający się aparat urzędniczy, na opłacanie tajnych agentów i szpiegów, na przekupstwa, na zasiłki dla stronnictw hiszpańskich we Francji, w Irlandii, w krajach niemieckich i w Polsce, wreszcie na coraz większy przepych dworski i budowę monumentalnych zamków, obronnych fortec granicznych i pałaców. Sama tylko budowa klasztoru San Lorenzo pochłonęła w ciągu ostatnich dwudziestu lat sumę sześciu milionów dukatów — tyle, ile wynosił roczny dochód państwa!

Filip II zaciągał pożyczki, od których trzeba było płacić włoskim bankierom lichwiarskie procenty; wyciskał bezlitośnie podatki, sprzedawał tytuły szlacheckie i urzędy, a nawet

uciekał się do obkładania duchowieństwa specjalnymi daninami, jak „siscidio” lub „excusado”: Teraz oczekiwał od swych doradców podobnej inicjatywy, a oni starali się mu wyślizgiwać, składając tę sprawę w ręce teologów!

Wydał pogardliwie wargi. Na szczęście tym razem nie musiał liczyć się z nimi. W stalowej szafce ukrytej w ścianie za krzesłem spoczywał tajny układ podpisany w jego imieniu przez zaufanego posła w Rzymie, hrabiego Oliva-reza, a w imieniu papieża przez kardynała Carafę. Mocą tego układu Sykstus V zgodził się między innymi na zaczerpnięcie funduszków z pękatyńskich mieszkań hiszpańskiego kleru. Członkowie Consejo de Estado jeszcze o tym nie wiedzieli. Niechże się pogłowią nad tą sprawą; niech szukają innych „godziwych sposobów” uzyskania pieniędzy. Jeśli je znajdą — tym lepiej, ale tak czy owak sami będą musieli wysupłać swoje dukaty i cruzados *:

Układ z papieżem miał jednak także inne, mniej wygodne klauzule. Sykstus był nieufny i ostrożny. Obawiał się, aby Filip nie użył jego subsydiów na wojnę z Francją lub na jakieś inne cele. Dlatego nalegał na podjęcie wyprawy przeciw Elżbiecie jeszcze przed końcem roku 1587.-A z drugiej strony myślał o tym z obawą: jaki los spotka Anglię w razie druzgocącego zwycięstwa Hiszpanów? Czy Filip zawaha się przed jej aneksją? A jeśli ta wyspa zostanie wcielona do jego cesarstwa, to jakaż siła zdolna będzie przeciwstawić się Hiszpanii?

Aby zapobiec tym niebezpiecznym następstwom, w tajnym dokumencie zastrzeżono prawa Stolicy Apostolskiej ustalając, że przyszły katolicki władca Anglii otrzyma lenno z rąk papieża, a dla dopilnowania spraw kościelnych i politycznych ze strony Rzymu wyznaczono świeżo mianowa-

nego kardynała, Williama Allena, który jako nuncjusz miał towarzyszyć wyprawie.

Filip niewiele wiedział o Allenie poza tym, że ten Anglik cieszył się szczególną przychylnością i opieką Watykanu, co bynajmniej nie wzbudzało zaufania. Dlatego Albrecht otrzymał polecenie, aby zasięgnąć o nim bliższych wiadomości, i właśnie je otrzymał od człowieka, który przybył tego dnia wieczorem do Escorialu, a teraz oczekiwał w przedpokoju apartamentów jego eminencji.

Ow człowiek, polecony przez wpływowego jezuitę Pedra Alvaro, sekretarza kardynała Malaspina nazywał się Henryk Schultz. Według jego informacji, które zresztą zgadzały się z tym, co biskup Toledo wiedział już częściowo z innych źródeł, Allen był emigrantem angielskim prześladowanym przez rząd Elżbiety. Schronił się przed tymi prześladowaniami do Reims, gdzie został mianowany rektorem tamtejszego kolegium. Schultz twierdził, że nowo mianowany kardynał jest szczerym stronnikiem Kościoła katolickiego i zwolennikiem interwencji hiszpańskiej, lecz niezbyt dobrze orientuje się w obecnej sytuacji wewnętrznej w swojej ojczyźnie. Allen mianowicie miał zapewnić Sykstusa V, że do opanowania Anglii wystarczy dziesięć tysięcy wojska, podczas gdy Schultz utrzymywał, że liczba ta musi być trzykrotnie większa, jeśli najazd ma się udać.

— Na czym opiera to swoje twierdzenie? — zapytał Filip.

Sekretarz jakby zawahał się przez chwilę. To, co Schultz mówił, mogło wydać się umyślnie przesadzone; mogło wzbudzić podejrzenia, że działa na rzecz odłożenia lub nawet zaniechania wyprawy. Lecz z drugiej strony Schultz przybywał wprost z Anglii i z pewnością wiedział, co się tam dzieje, a jego protektor, ojciec Alvaro, nie polecałby go tak gorąco, gdyby miał jakieś wątpliwości co do jego intencji.

Wydaje mi się, że ten człowiek lepiej zna stosunki

angielskie niż przyszły nuncjusz — powiedział Albrecht. — Mówi, że Elżbieta in.ą po swojej stronie olbrzymią większość ludności. Zdołano tam już zapomnieć o wykonaniu wyroku na Marii Stuart, a pospólstwo uwielbia zarówno królową, jak nowego jej ulubieńca, hrabiego Essexa.-

—Ale Elżbieta nie posiada ani floty, ani armii ~ zauważył Filip.;

—To prawda. Jednak okręty korsarskie,;

—Korsarze! — przerwał mu Filip niecierpliwie. — Korsarze! — powtórzył z pogardą.- — Ta nędzna zbieranina rabusiów odnosi zwycięstwa napadając zniecka statki handlowe albo spokojne miasta, ale nie może mierzyć się z Wielką Armadą.

—A jednak wiosną udało im się wtargnąć do Kadyk-su.;; — zaczął Albrecht i umilkł powstrzymany gniewnym spojrzeniem króla.

—Zwołasz na jutro przed południem radę finansową — rozkazał Filip po chwili milczenia. — Na dziś — poprawił się spoglądając na niebo zaróżowione już pierwszym brzaśkiem świtu.

Albrecht skłonił się uważając to polecenie za koniec audiencji, lecz król przyzwał go gestem dłoni.

— Pomóż mi wstać — powiedział cicho, jakby w obawie, że ktoś niepowołany może usłyszeć te słowa świadczące o jego słabości fizycznej.

Albrecht pośpieszył spełnić to żądanie, a Filip oparł się ciężko na jego ramieniu. Powoli, utykając, przeszedł do swego oratorium i ukląkł przed otwartym balkonowym oknem, wychodzącym na wnętrze kościoła jak łoża w teatrze.

Zaczynała się jutrznia; na chórze odezwały się organy przygrywające do inwilatorium. Księża w bogatych szatach liturgicznych zmieniali się przed ołtarzem, przechodzili z lewa na prawo i z powrotem, przyklękali, wznosili ramiona i składali dłonie, obracali się jak w powolnym tańcu.

Zakonnicy tymczasem odśpiewali trzy psalmy i trzy ant.y-fony przedzielone łacińskimi lekcjami, po czym nastąpiły nieskończone długie laudes z „Laudate Dominum” na czele. Trwało to przeszło godzinę, lecz król przez cały ten czas klęczał zapominając o swych dolegliwościach. Teatralne gesty księży, pompatyczna musztra czy też balet przed ulaną ze szczerego srebra statuą św; Wawrzyńca, ciężki, błękitnawy dym kadzidła pełzający zwojami i ścielący się w smugi ponad żółtymi płomykami woskowych świec, kapiące od złota marmurowe ołtarze, wspaniałe obrafcy i freski ginące w półcieniu, witraże okien zapalone różowym świtem — wszystko to razem z potężnym głosem organów i pieśniami chóru stanowiło jego ulubioną, a teraz jedyną rozrywkę, której oddawał się po pracy. Nic dziwnego, iż mniemał, że Panu Bogu podoba się to również.-

Henryk Schultz opuszczał Hiszpanię będąc pod wrażeniem jej potęgi i bogactwa. Po spełnieniu swej misji w Escorialu pojechał do Lizbony, gdzie zbierała się Armada In-vencible, i ujrawszy port zatłoczony olbrzymimi karawelami o trzech, a nawet czterech pokładach artyleryjskich, zwątpił zupełnie w możliwość obrony Anglii przed taką siłą. Wiedział, że wyprawa tej floty opóźnia się głównie z powodu choroby, a potem śmierci admirała de Santa Cruz, ale wiedział także, że Filip II na jego miejsce mianował już księcia Medina-Sidonia. Przypuszczał, że zostało mu bardzo niewiele czasu na załatwienie pilnych spraw handlowych w Calais i w Londynie, który pragnął opuścić przed tą rozprawą wojenną, aby udać się do Gdańska. Spieszył się.-

W nagrodę za informacje zawarte w memoriale, który aostarczył jego eminencji biskupowi Toledo, prosił tylko o zezwolenie na wstęp do kościoła klasztorowego, gdzie pragnął wypowiadać się i wysłuchać mszy porannej, ale bar-

dzo zrećnie dodał, iż spodziewa się w ten sposób ubłagać Stwórcę o opiekę nad swym skromnym mieniem pozostawionym w Londynie. Dzięki temu otrzymał z rąk Albrechta glejt zapewniający mu nie tylko swobodę poruszania się po Anglii pod przysłym panowaniem hiszpańskim, lecz także zabezpieczający ów „skromny dobytek” przed konfiskatą i rabunkiem podczas działań wojennych. Co prawda niezupełnie ufał w skuteczność listów żelaznych, a nawet najgorętszych modłów w podobnych okolicznościach, i właśnie dlatego pragnął jak najprędzej znaleźć się w Deptford.

Miał nadzieję, że uda mu się wreszcie nakłonić Jana Martena do sprzedaży „Zephyra”, a przynajmniej zakontraktować ten okręt na podróż do Gdańska.

Jan bez moich pieniędzy nie da sobie rady, bo nikt inny nie udzieli mu kredytu — myślał w drodze z Calais. — Przecież nie może dopuścić, aby „Zephyr” zgnił w doku! Jest to zatem sposobność wyjątkowa i muszę ją wykorzystać. Postawię twarde warunki. Zmuszę go do uległości. Zostanę jego armatorem. Bez moich pieniędzy nie zdoła się uratować.

3

Wyjątkowa sposobność wymknęła się Schultzowi nie tylko dzięki spotkaniu Martena z Piotrem Carotle'em. Co więcej — nie tylko nie zdołał zakontraktować „Zephyra”. na

podróż do Gdańska, ale nie mógł znaleźć innego statku, który w najbliższym czasie odpływałby z Anglii na Bałtyk.

Wiść o wyruszeniu Wielkiej Armady z Lizbony nadeszła do Londynu wiosną roku 1588 i wywołała wstrząs zgrozy. Wprawdzie Elżbieta i jej doradcy od dawna wiedzieli o zbrojeniach hiszpańskich, ale królowa zwlekała z decyzją o przedsięwzięciu środków obrony, kierując się po części wrodzonym skąpstwem, po części zaś licząc na zażegnanie wojny jakimiś pokojowymi rokowaniami. Wszak od lat udawało jej się zwozić Filipa i utrzymywać chwiejną równowagę między pokojem a zbrojnym konfliktem. Teraz jednak szala przechyliła się, a Anglia wydawała się niemal bezbronna...

Lord Howard, naczelny dowódca floty wojennej Jej Królewskiej Mości, zdołał zebrać zaledwie trzydzieści cztery okręty zdadne do walki.

W porównaniu z siłami admirała Medina-Sidonii było to bardzo niewiele.;;

Armada Invencible liczyła ponad sto wielkich karawel i około trzydziestu fregat ogólnej wyporności sześćdziesiąt tysięcy ton; osiem tysięcy marynarzy, dwadzieścia tysięcy żołnierzy, dwa tysiące czterysta dział... Tysiąc ochotników spośród szlachty hiszpańskiej zaciągnęło się pod czerwono--żółte flagi wojenne, a u brzegów Flandrii oczekiwał na zaokrętowanie trzydziestotysięczny korpus Aleksandra Farnese.

Lecz_ Schultz bynajmniej nie przesadzał utrzymując, że zarówno pospólstwo, jak szlachta stanie po stronie Elżbiety. Doradcy królowej nie uciekali się do Opatrzności i nie składali spraw wojennych w ręce teologów; wezwali natomiast cały naród do obrony przed „papistami”. Od zarządów miejskich, od landlordów, od gildii * kupieckich i cechów rzemieślniczych popłynęły datki na uzbrojenie statków han-

dłowych i kaperskich. Poszczególne hrabstwa wystawiły: ochotniczą milicję — home guard — w sile pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Umacniano twierdze nabrzeżne, gromadzono zapasy żywności i amunicji nadrabiając z nawiązką zaniedbania wynikłe ze skąpstwa i niezdecydowania El-j zbiety.

Wkrótce pod rozkazami lorda Howarda, Franciszka Drake'a, Hawkinsa i Frobishera stanęło na kotwicy w Plymouth I sto okrętów. Nie były one ani tak wielkie, ani tak dobrze uzbrojone jak hiszpańskie, ale za to szybsze i zwrotniejsze.

Znalazł się między nimi nie tylko „Zephyr” Jana Martena i „Ibex” Salomona White'a, lecz również „Toro”, na którym kawaler Ryszard de Belmont powrócił z Francji, a nawet „Vanneau” Piotra Carotte'a.

Nic dziwnego, że w takich okolicznościach Henryk Schultz w ogóle musiał zrezygnować z wyjazdu i pozostał w Londynie pokładając jedyną nadzieję na ocalenie tutejszej filii swego domu handlowego w glejcie wystawionym przez kardynała Albrechta.

Nie przyglądał się zresztą beczynnemu przygotowaniu obronnemu. Wprawdzie nie zamierzał nadstawiać głowy w walce po stronie heretyków, ale ofiarowawszy Bogu świeczkę, w Escorialu, ofiarowywał teraz diabłu ogarek w Anglii, zaopatrując okręty we wszystko, czego im było trzeba. Ponieważ zaś ceny wzrosły w dwójnasób, robił przy tym znakomite interesy.

Tymczasem Niezwyciężoną Armadę od początku spotykały same trudności i niepowodzenia. Zaraz po opuszczeniu Lizbony okręty zostały rozproszone przez wiosenne burze i bądź zawróciły, bądź musiały schronić się do innych, mniejszych portów. Powtarzało się to kilkakrotnie, tak że gdy admirał Medina-Sidonia po miesiącu podróży zawinął do El Ferol, towarzyszyło mu zaledwie piętnaście spośród stu karawel; reszta naprawiała uszkodzone burty, połama-

ne reje I podarte żagle wzdłuż zachodnich wybrzeży pomiędzy Oporto a La Coruna.;

Dopiero dwudziestego drugiego lipca zdołano ostatecznie skoncentrować okręty i wyjść na pełne morze, aby omijając burzliwą Zatokę Biskajską i północno-zachodnie wybrzeże Francji skierować się ku Niderlandom, gdzie Aleksander Farnese oczekiwał już przybycia Armady ze swym trzydziestolysiężnym korpusem.-

Jan Kuna zwany Martenem czuł się w swoim żywiole. Zapomniał już dawno o Gipsy Bride, a także o kłopotach pieniężnych, o zadłużonej posiadłości w Greenwich i o towarzyszach hulanek, którzy mienili się jego przyjaciółmi tylko tak długo, póki nie rozeszły się pogłoski o zagrażającym mu bankructwie. Wszystkie te sprawy nic a nic go teraz nie obchodziły; otrzymałszy nowy list kaperski z podpisem królowej, nie obawiał się ani uwięzienia za długi, ani wystawienia resztek swego majątku na licytację. Jego okręt, odnowiony, świeżo pomalowany, z pięknie złożonym galionem * wyobrażającym skrzydlatego boga lekkich wiatrów, nie stracił nic ze swych wspaniałych zalet, choć liczył sobie już przeszło osiemnaście lat od chwili spuszczenia na wodę w Elblągu. Nie darmo dziadek Jana, Wincenty Skóra, miał opinię najlepszego szkutnika w Polsce; nie darmo przez dziesięć lat budował ten okręt, wybierając na jego stępkę i wręgi najprzedniejsze dębowe belki bez jednego sęka, wysuszone jeszcze przed ślubem córki z Mikołajem Kuną.-

Najśmigsze sosny z borów pomorskich poszły na masz-

ty 1 reje „Zephyra”; stuletni klon — na ster; ręcznie kute przez Cyganów miedziane i mosiężne sztaby, złącza, klamry i gwoździe — na wzmocnienie karawelowego poszycia ze smolnego, twardego drewna,

Żaden inny okręt w tym czasie nie miał więcej niż trzy prostokątne żagle na *Soku* i *grotmaszoie*; „Zephyr” miał ich po pięć. Mikołaj Kuna zaopatrzył go w kliwry i sztaksle wynalezione przez żeglarzy niderlandzkich, a Marten uzupełnił tę piramidę płótna żaglami własnego pomysłu. Gdy tak uskrzydłony „Zephyr” pędził wpół wiatru pochylając się na burtę I rozcinając krótkie spienione fale La Manche, gdy promienie słońca odbijały się od mokrego pokładu na dziobie i zapalały tęczowe iskry w grzebieniu wody tryskającym pod bukszprytem, gdy blaski i cienie kładły się na białych żaglach, połyskiwał lakier na masztach i rejach, a miedź i mosiądz przeglądały czerwono i żółto z przeźroczystej zieleni morskiej, gdy na tle obłoków łopotał długi, jaskrawy wympel * wojenny u szczytu grotmasztu, a czarna bandera ze złotą kuną wiła się na foku — zaiste mógł budzić zachwyt w oczach każdego marynarza;

Syk piany, szum fali, tęskne poświstywanie wiatru w oli-nowaniu, stłumione werble wibrującego płótna, pluskanie i bulgotanie wody w szpigatach, twarde, krótkie słowa komendy, gwizdki bosmanów i przeciągły przyśpiew marynarzy brasujących reje na przeciwny ciąg — stanowiły teraz najmiłszą symfonię dla uszu Martena.

Był tu znów pełnym panem u siebie. Obracał się wśród ludzi oddanych mu na śmierć i życie. Czytał to. we wzroku głównego bosmana, Tomasza Pociechy, i rudego olbrzyma o ospowatej twarzy, Broera Worsta, który nadal sprawował na „Zephyrze” obowiązki cieśli okrętowego, i w nie-

winnym, dziecięcym spojrzeniu żaglomistrza Hermana Stauffla, który potrafił przebić dwucalową deskę nożem rzuconym lewą ręką z odległości dwudziestu kroków; Byli tu wszyscy ■ — cała jego kadrowa załoga wraz z Tessarim, którego przezywano Cyrulikiem, z Percy Burnesem-Slovenem i z Klopsem, który ustawicznie zadzierał to z jednym, to z drugim.-

„Zephyr” płynął na czele niewielkiej flotylli wydzielonej z eskadry Franciszka Drake'a i oddanej pod dowództwo Martena. Nicco z tyłu, na prawo piętrzyły się żagle „Ibexa”j na lewo zaś „Toro”; Za nimi lawirowała „Yenneau”; Za zgodą admirała Marten sam wybrał te trzy okręty i za ich pomocą zdążył już dobrze dać się we znaki Hiszpanom, atakując zniecka odosobnione karawele księcia Medina-Sido-nii, które niebacznie oddzielały się od głównych sił Wielkiej Armady; Czatował na nie w zatokach i pod osłoną skalistych wysepek Finistere u wybrzeży Normandii, *na* chmurnych i wietrznych wodach St-Malo, na redzie Cherbourga i Dieppe, skąd w końcu przerzucił się na północny wschód — do Ports-mouth;

Zjawiał się niespodziewanie, druzgotał ogniem działowym maszty i reje wielkich, niezwrotnych okrętów, wzniecał pożary w ich wysokich kasztelach i zręcznym manewrem wymykał się ich salwom, ustępując miejsca którejś ze swych fregat. Zanim Hiszpanie zdążyli powtórnie nabić działa, „To-po*S »Ibex” lub „j,Vanneau” dziurawiły pociskami Ich bezbronną burtę, a gdy na horyzoncie ukazywały się żagle innych okrętów hiszpańskich zwabionych odgłosami bitwy, cała flotylla oddalała się, pozostawiając karawelę jej własnemu losowi;

W ciągu dwóch tygodni, między dwudziestym trzecim lipca a piątym sierpnia, Martenowi udało się w ten sposób zatopić lub ciężko uszkodzić cztery okręty nieprzyjacielskie. Lecz te zwycięskie potyczki bynajmniej go nie zadowalały.

Francis Drake pragnął dowiedzieć się, do którego z portów flandryjskich skieruje się Wielka Armada, ale zarazem polecił mu działać ostrożnie i rozważnie, a Marten sam rozumiał, że nie powinien ryzykować abordażu niemal w obliczu całej potęgi wroga, który w każdej chwili mógł przybyć z odsieczą napadniętym; Nie było jednak Innego sposobu zasięgnięcia języka, jak przez wzięcie jeńców, i na taką właśnie sposobność czterej kapitanowie czekali z rosnącą niecierpliwością;

Tego dnia — szóstego sierpnia o świcie — cztery okręty pod dowództwem Martena wyszły z Portsmouth i skierowały się na południowy wschód, aby jak zwykle patrolować La Manche, w nadziei, że uda się przychwycić jakiegoś nieostrożnego kapitana żeglującego z dala od innych; Lecz niespokojne wody cieśniny wydawały się tym razem puste i bezludnej przynajmniej w pobliżu brzegów wyspy Wight i hrabstwa Sussex. Dopiero koło godziny dziesiątej, gdy „Zephyr” a za nim „Toro”, „Ibex” i „Vanneau” przebrasowały reje na przeciwny ciąg, mniej więcej w połowie drogi między Portsmouth a Dieppe, Percy Sloven siedzący na marsie grotmasztu zawołał, że wprost ku zachodowi widać żagle pojedynczego okrętu;

Marten natychmiast wspiął się na marsa, a rozpoznawszy dwupokładową karawelę lżejszego typu ze skośnym łacińskim żaglem na trzecim maszcie, kazał ściągnąć bandery i wymple, a potem nieznacznie zmienić kurs aby przeciąć jej drogę i znaleźć się pomiędzy nią a słońcem, które chciał mieć za plecami;

Taki manewr, bez pośpiechu naśladowany przez Belmonta, White'a i Piotra Carotte'a, nie powinien był wzbudzić szczególnych podejrzeń Hiszpana, jakkolwiek utrudniał mu obserwację pod ulewą oślepiających promieni słonecznych. Bądź co bądź" Jan liczył na to, że nieprzyjaciel weźmie jego niewielką flotyllę za zgrupowanie okrętów hiszpańskich;

Tak się też stało. W ciągu całej godziny karawela płynęła spokojnie dalej w tym samym kierunku, a zbliżywszy się do dryfującego „Zephyra” na odległość dwóch strzałów armatnich, wywiesiła kilka flag sygnałowych, których znaczenia Marten nie mógł zrozumieć, nie znając ustalonego kodu *. Odpowiedział więc podniesieniem kombinacji zwykłych sygnałów bez żadnego sensu, co przez hiszpańskiego kapitana oczywiście również nie zostało zrozumiane, po czym w parę minut wykonał zwrot przez sztag i postawiwszy wszystkie żagle popędził na spotkanie karaweli;

W tym samym czasie pozostałe trzy okręty, żeglujące dotąd leniwie pod skróconymi żaglami, rozpierzchły się na wszystkie strony; „Vanneau” pomknęła na północ, „Ibex” na północny zachód, a „Toro” na południe;

Niespodziewany popłoch — jak go ocenili Hiszpanie — zdumiał ich niepomiernie, ale to zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, gdy „Zephyr” dał ognia z przedniego działa i pocisk wzbil fontannę wody tuż przed dziobem karaweli, Ten sygnał brzmiał niedwuznacznie: Zatrzymać się!

Zanim powzieli jakąkolwiek decyzję, nad małym okrętem, który zdawał się lecieć wprost na nich, załopotała czarna bandera ze złotą kuną. Marten nie pozwolił opamiętać się Hiszpanom: dwa nowe pociski z jego półkartaunów przeszły żagle karaweli zrywając górną marsreję na grot-maszcie.

Wystarczyło to, aby ich skłonić do spełnienia rozkazu.- Dopiero teraz zorientowali się, że zostali otoczeni przez czterech napastników, z których każdy mógł użyć przeciw nim swych dział bez obawy rażenia towarzyszków.- Schwytano ich w potrzask tak zręcznie, że wszelka obrona zdawała się beznadziejna. Zrezygnowali też z niej bez dalszego namysłu: szoty zostały zwolnione i wielkie płótniska podjechały w górę

na gordingach,-strzelając na wietrze, póki nie wyprószyły go z faldzistych brzuchów;

Marten sam był trochę zaskoczony tak szybką kapitulacją. Aby do reszty olśnić hiszpańskich marynarzy, przeleciał wzdłuż ich lewej burty^ zawrócił na. fordewind, tuż za rufą karaweli zwolnił wszystkie żagle i tracąc pęd przybił do prawej burty, aby w mgnieniu oka szepić się z nią za pomocą bosaków abordażowych;

Było to zuchwalstwem, na jakie nawet on nie ważyłby się, mając do rozporządzenia więcej czasu; Na pokładzie karaweli znajdowało się co najmniej dwustu ludzi* nie licząc obsługi dział, a cała załoga „Zephyra” nie sięgała setki. W dodatku teraz, gdy oba okręty stały burta w burcie, żaden z towarzyszy Martena nie mógł skierować ognia na Hiszpanów nie ryzykując poważnego uszkodzenia lub nawet zupełnego zniszczenia ^Zephyra”?

Gdyby hiszpański kapitan był człowiekiem bardziej zdecydowanym i gdyby orientował się szybciej, powinien był sam poprowadzić swoich marynarzy do ataku na pokład wroga. Ale namyślał się zbyt długo, a może zabrakło mu odwagi do stoczenia rozpaczliwej walki wręcz w obliczu zbliżających się pozostałych trzech fregat, bo gdy Marten zażądał od niego natychmiastowego złożenia broni i poddania się, po krótkim wahaniu okazał raczej skłonność do pertraktacji niż do czynów desperackich;

Marten nie miał jednak czasu na żadne pertraktacje.-Lada chwila spodziewał się ujrzeć większe siły nieprzyjacielskie, a nie chciał zatapiać prawie nie uszkodzonej karaweli, co do której użył pewne plany; Tylko dlatego podjął tak wielkie ryzyko i dokonał abordażu, licząc na zaskoczenie hiszpańskiej załogi;

Stojąc na wzniesionym pomoście „Zephyra”* grzmiącym głosem wezwał kapitana i oficerów karaweli do przejścia na swój pokład pod grozą natychmiastowego rozpoczęcia

ognia, a Hiszpanie na widok dwu rzędów muszkietów i ha-kownic gotowych do strzału ostatecznie przestali się opierać.

Tego samego dnia wieczorem do cieśniny Solent oddzielającej wyspę Wight od stałego lądu weszła fregata „Van-neau” i rzuciwszy kotwicę opodal flagowego okrętu „Golden Hind”, spiesznie opuściła małą szalupę wiosłową, do której wsiadł Piotr Carotte z trzema hiszpańskimi oficerami.-

— Przywożę jeńców, admirale — zawołał, gdy łódź znalazła się u trapu opuszczonego ze „Złotej Łani”?

Franciszek Drake, który był zajęty rozmową z kawalerem de Vere, wysłannikiem Jej Królewskiej Mości, spojrzął na niego z góry. W pierwszej chwili poczuł się nieco urażony zbyt poufałym tonem marynarza o cudzoziemskim akcencie, ale przyjrawszy mu się bliżej przypomniał go sobie;

— Wejdźcie na pokład, kapitanie.;;

— Carotte, do usług — dopomógł mu Piotr. — Pierre Carotte, wasza wysokość;

— Tak pamiętam was oczywiście — uśmiechnął się Drake łaskawie; — Spotkaliśmy się przed kilku laty w Zatoce Meksykańskiej;

Piotrowi pochlebiła ta uwaga wypowiedziana w obecności wytwornego dworaka, do którego zresztą poczuł natychmiast niechęć, jak do wszystkich podobnych „lulusiów”? Zapłoniony z ukontentowania, stanął przed obliczem admirała i wskazując gestem trzech oficerów zamierzał w swój barwny sposób najpierw ich przedstawić, a następnie opisać zdarzenia towarzyszące wzięciu ich do niewoli, gdy Drake uprzedził ten potok wymowy pytaniem o Martena i resztę flotyli.

— Marten polecił mi odstawić ich tutaj — odrzekł Carotte.- — Sam popłynął w kierunku Calais, gdzie — jak twierdzą ci trzej caballeros — zbiera się ich cała armada. „Ibex”, „Toro” i „Dwunastu Apostołów” towarzyszą „Zephyrowi”;;;

— „Dwunastu Apostołów?! •—' zdumiał się pan de Vere, który dotąd przysłuchiwał się rozmowie z nieco ironicznym grymasem.

— Tytu ich było, oprócz Judasza — rzucił przez ramię Piotr i na użytek admirała wyjaśnił, że jest to nazwa hiszpańskiej karaweli zdobytej przez Martena;

— Cóż on zamierza robić w Calais z tymi „Dwunastu Apostołami*”? — zapytał z kolei Drake ubawiony obrotnością jego języka;

Teraz Carotte wydawał się zaskoczony brakiem domyślności swego przełożonego. Wyjaśnił, że wprawdzie nie zna dokładnie zamiarów Martena, ale skoro w Calais gromadzi się flota hiszpańska, to prawdopodobnie Jan chce ją zaatakować;

Henry de Vere znów nie mógł się powstrzymać od okrzyku zdumienia:

;— W trzy okręty?!

Carotte obejrzał się i zmierzył go od głów do stóp spojrzeniem, które wyraźnie daAwało do zrozumienia, że przybył tu złożyć raport admirałowi, nie dworskim fircykom.-

— W cztery — odrzekł mimo to i zwracając się do Drake[^] mówił jednym tchem dalej: — Jeśli mi wolno wyrazić dalsze domysły, wasza lordowska mość, Marten zamierza użyć „Dwunastu Apostołów” w nieco podobny sposób, Jak to uczynił Zbawiciel, z tą tylko różnicą, że Jego uczniowie szerzyli płomień wiary świętej, a hiszpański przyz z Calais będzie szerzył płomień zwykłego ognia wśród Wielkiej Armady. Innymi słowy ~- przypuszczam, że ta karawela posłuży mu jako brander * do wzniesienia pożarów na okrętach nieprzyjaciela.

— A niech go kule biją — mruknął Drake z podziwem, ale nie uśmiechnął się tym razem,-

Pomyślał, że jeśli Marten istotnie waży się na coś podobnego rozporządzając tylko owym branderem i trzema okrętami, na których miał około trzystu ludzi i najwyżej pięćdziesiąt dział, to niechybnie zginie wraz z nimi;

To by jeszcze nie było najgorsze — myślał dalej. — Ale nuż mu się uda?.;:

Sława „Zephyra” i jego kapitana coraz większego nabierała blasku. Nawet królowa raczyła o nim pamiętać i interesować się losami jego okrętu. Krążyły pogłoski, że niektóre wyprawy Martena były częściowo finansowane przez jej prywatny skarb; Gdyby ten szaleniec istotnie zdołał w takich okolicznościach podpalić choćby kilka okrętów hiszpańskich i ujść cało, mogłoby to zaćmić rozgłos wyprawy Drake’a do Kadyksu.;

Kawaler de Vere spostrzegł zmianę na twarzy admirała i domyślił się, co ją sprawiło;

'—' Ten pirat poczyna sobie, jakby sam stał na czele angielskiej floty — powiedział; —. Czy może mianowaliście go swoim zastępcą?

Lecz Francis Drake również nie lubił dworaków, a ponieważ sam był niegdyś korsarzem, lekceważący ton pana de Vere bynajmniej nie przypadł mu do smaku.

— Kapitan Marten nie jest piratem, lecz kaprem w służbie królowej — odparł; — Działa on według moich rozkazów, które tylko ludziom zupełnie nie obeznanym z morzem mogą wydawać się głupie; Kazałem mu atakować okręty hiszpańskie, gdziekolwiek je spotka, a ponieważ ukryły się w Calais, czyni słusznie podążając tam za nimi jako straż przednia mojej floty. Wybacz pan zatem kawalerze de Vere, że go teraz pożegnaj, aby natychmiast poprowadzić siły główne w tym samym kierunku i celu,-

Marten słusznie przewidywał, że Drake dowiedziawszy się o jego zamiarach i o miejscu koncentracji sił hiszpańskich natychmiast tam podąży z całą swoją flotyllą. Nie pożeglował jednak wprost do Calais na pewną zgubę, jak przypuszczał jego admirał, lecz stanął na kotwicy w małej przystani rybackiej Folkstone po północnej stronie Cieśniny Kaletańskiej. Przede wszystkim odesłał załogę „Dwunastu Apostołów” pod eskortą miejscowej milicji do Dovru, a następnie zarekwirował cały zapas smoły i pakuł do uszczelniania łodzi, jaki udało się znaleźć w osadzie. Nie było tego wiele, jak na jego potrzeby, a w Dovrze z pewnością mógłby otrzymać więcej, ale rozmyślnie tam nie popłynął, aby nie natknąć się przedwcześnie na jakieś większe zgrupowanie okrętów hiszpańskich.'

Oczekiwać teraz zachodu słońca, licząc, że na przebycie dwudziestu pięciu mil dzielących Folkstone od Calais wystarczy mu około trzech godzin. Chciał się tam znaleźć wieczorem, o zmierzchu lub nawet zaraz po zapadnięciu ciemności, co sprzyjało wykonaniu jego planu. Tymczasem wykladał ów plan White'owi, Ryszardowi de Belmont i Hoogstone'owi w swojej wspaniale urządzonej kajucie

Nie żądał od nich wielkiego ryzyka: „Ibex” i „Toro” miały pożeglować tylko do cypla Gris Nez i opuściwszy żagle ukryć się po jego zachodniej stronie, a następnie wysłać na ląd paru obserwatorów, którzy ze szczytu kredowych skał wypatrywaliby łuny pożarów w porcie.-

— Pożar w Calais będzie dla was sygnałem, że mi się udało — powiedział. — W takim wypadku Hiszpanie oczy-

wiecie będą się starali jak najprędzej wyjść na morze ratując swoje okręty. Waszą rzeczą będzie wówczas przekonanie ich, że mają do czynienia z głównymi siłami naszej floty, Mam nadzieję, że Carotte sprowadzi tymczasem Drake'a, który wam pomoże, a gdyby Medina-Sidonia próbował wymknąć się na północ, spotka tam lorda Howarda i Frobishera.-

—Pięknie — zgodził się Belmont.; —. Lecz jeśli ci się nie uda..-?

—Jeśli mi się nie uda, możesz tylko polecić moją duszę Bogu — odrzekł Marten lekkim tonem.

—Już on się tam na niej pozna bez moich poleceń —' zapewnił go Ryszard z sardonicznym uśmiechem.- — Chodzi mi raczej o sprawy doczesne: gdzie mamy cię szukać?

—W Ambletense. Ale zostawcie to lepiej Piotrowi Carrotte'owi. On będzie wiedział, gdzie mógłbym się ukryć.

„— A j,Zephyr"? — spytał milcząco dotąd White;

— Otóż to! — westchnął Marten. — Chcę go powierzyć twemu zięciowi, bo muszę zabrać na brander najlepszych moich bosmanów. Zostawię mu tylko Worsta i Slovena?

Spojrzał na kulawego szypra, który z wyraźnym niezadowolaniem drapał się po łysej czaszce pokrytej żółtawą, przypominającą stary pergamin skórą; potem przeniósł wzrok na Williama Hoogstone'a i mówił dalej:

— Musisz sobie jakoś poradzić przy ich pomocy. Pożegnajcie w ślad za „Dwunastu Apostołami" aż do Sangatte.- Tam się rozstaniemy. Wprowadzisz okręt do małej zatoki^ którą ci wskaże Broer Worst, o pół mili na zachód od Calais. Obrócisz „Zephyra" rufą do lądu, opuścisz szalupe, każesz zawieźć kotwicę aż do samego wyjścia na morze i tam ją rzucić, tak abyś mógł wyjść z tej zatoki podciągając się na łańcuchu. Rozumiesz?

.— To nic trudnego — mruknął Hoogstone. — W tej za* toce mam zwinąć żagle?

— Tylko poluzować i podciągnąć do rej, żeby jak naj-

mniej były widoczne, a zarazem — aby je można było prędko rozwinąć w razie potrzeby. Nie wiem, czy wróćę od strony morza, czy od strony lądu. W tym drugim, bardziej prawdopodobnym przypadku muszę mieć szalupę, aby się do was dostać. Wyślesz ją zawczasu na brzeg zatoki. Gdybym się nie zjawił tą czy inną drogą na pokładzie „Zephyra” przed wejściem do akcji „Ibexa” i „Toro”, połączysz się z nimi, a troskę o moją osobę pozostawisz Carotte'owi. To chyba wszystko;

Komandor Blasco de Ramirez, dowódca trzeciej eskadry ciężkich karawel należących do Niezwyciężonej Armady Jego Królewskiej Mości Filipa II, był w jak najgorszym humorze.—Okręt j„Santa Cruz” pozostający pod jego bezpośrednimi rozkazami zoczył z kursu 1 znalazł się daleko na północ od] szlaku, którym płynęła większość pozostałych, skutkiem czego nie dotarł do Calais przed zmierzchem i dopiero o zmroku znalazł się w pobliżu wejścia do portu. W dodatku od wschodu nadciągały ciężkie chmury, a groźny pomruk grzmotów zdawał się ostrzegać spóźnionych żeglarzy przed nadchodzącym sztormem. Komandor wiedział, że czeka go nieprzyjemna rozmowa z admirałem Medina-Sidonią. Wprawdzie mógłby znaleźć dostateczną ilość mniej lub więcej prawdziwych przyczyn usprawiedliwiających opóźnienie, przynajmniej we własnych oczach, ale był zbyt dumny j aby się tłumaczyć przed człowiekiem, którego uważał po prostu za niedołęęę, przypisując mu wszystkie dotychczasowe niepowodzenia.—

Mniemał, że gdyby dowództwo Wielkiej Armady spoczywało w jego własnych rękach, Anglia, byłaby już dawno zdobyta; Bądź co bądź miał za sobą kilkanaście lat praktyki w wojennej służbie morskiej, 1 to na tak niebezpiecznych wodach jak Zatoka Meksykańska i Morze Karaibskie; wie- 1 lokrotnie eskortował Złotą Flotę od Przesmyku Panamskie-

go aż po wyjście na Atlantyk, stoczył niejedną zwycięską bitwę z piratami różnych narodowości* a także zniszczył główną bazę słynnego korsarza Jana Martena i — jak się przechwalał — przepędził go na zawsze z Meksyku;

A cóż na morzu zdziałał dotąd książę Sidonia, który ni stąd, ni zowąd został admirałem, nie będąc poprzednio ani sternikiem, ani kapitanem i nie dowodząc nigdy nawet marnym szkunerem, nie mówiąc już o karaweli? I taki oto człowiek, szczur lądowy, zawdzięczający swe stanowisko jedynie wpływom i koneksjom rodzinnym, a może także w pewnym stopniu powszechnie znanej bigoterii — raz po raz udziela monitów jemu, Blasco Ramirezowi!

Gorycz zalewała serce komandora. Gorycz tym większa, że nie był pewien, czy w ciemności potrafi wyminąć skaliste rafy i mielizny u wejścia do portu, by wprowadzić tam swój okręt bez pomocy pilota.- Wprawdzie szlak żeglowny między tymi rafami miał być wyznakowany przez wiechy i pławy, a samo wejście oznaczone dwiema parami pochodni, ale teraz nie było widać żadnych znaków, a pochodnie zapewne wypaliły się i zgasły;

Gdy tak samotnie oddawał się dąsom i mizantropii stojąc na tylnym pokładzie „Santa Cruz” i błędząc wzrokiem po ciemniejącym morzu, jego spojrzenie zatrzymało się na ledwie widocznej w mroku sylwetce innej karaweli, która najprawdopodobniej także zmierzała do Calais. Mimo ciemności rozpoznał, że była to lżejsza karawela dwupokładowa, należąca zapewne do eskadry przybocznej samego admirała.

Zdziwiło go, że nikt jej dotąd nie spostrzegł; Podniósł wzrok ku marsowi na grotmaszcie i zapłonął gniewem. Marynarz, który tam siedział, gapił się na port, zamiast, obserwować widnokrąg dokoła?

Każę go oćwiczyć — pomyślał porywczy;

Lecz w tej chwili nie miał na to czasu; Postanowił natychmiast skrócić żagle, aby przepuścić przodem spóźnioną

karawelę i popłynąć jej śladem, co do pewnego stopnia zdjęłoby z jego barków odpowiedzialność za wybór właściwej drogi.

Zawołał oficera wachtowego i wydał mu stosowne rozkazy. Dopiero potem polecił zakuć w dyby nieszczęsnego majtka, który poniewczasie obwieścił ukazanie się okrętu za rufą „Santa Cruz”;

Tymczasem ów spóźniony okręt, gnany coraz silniejszymi podmuchami wschodniego wiatru, zbliżył się znacznie[^] ale po chwili de Ramirez zauważył, że ł tam poluzowano żagle, tak że odległość pomiędzy obu karawelami przestała się zmniejszać. Widocznie uprzejmy kapitan nie chciał wyminąć flagowego okrętu i dawał mu pierwszeństwo, jakkolwiek miał teraz wolną drogę.

Komandora doprowadziło to do pasji.

— Powiedźcie temu durniowi, żeby nie czekał na nas! —' zawołał do swego porucznika.

Jego rozkaz został natychmiast spełniony, lecz tylko w połowie: oficer wachtowy przyłożywszy do ust blaszaną tubę darł się na całe gardło, ale z dwupokładowej karaweli odpowiedziano jeno kurtuazyjnym salutem czerwono-żółtej bandery;

Nie było sposobu na taką uprzejmość: ciemna linia brzegu wyrastała coraz bliżej po prawej stronie ! wkrótce mogło zabraknąć miejsca na zwrot, a ugrzeczniony dureń ani myślał wysunąć się naprzód.

Oficer wachtowy nie śmiał spojrzeć na pniącego się z wściekłości komandora i tylko raz po raz rzucał okiem na ów ład, wsłuchując się w coraz wyraźniejszy łoskot przy-boju na niewidocznych rafach. Wtem ujrzał w oddali przed dziobem wyłaniające się z wolna dwa nieruchome światła, umieszczone jedno nad drugim, a dalej jeszcze dwa podobne.

— Widać wejście do portu, wasza wysokość — ośmieli! się wykrztusić.

Ramirez obejrzał się i odetchnął z ulgą, po czym kazał wybierać szoty, nie zważając już na karawelę wlokącą się za rufą „Santa Cruz”. Żagle natychmiast chwyciły wiatr i okręt zaczął znów nabierać pędu, kierując się na na-bieżniki * świetlne, które w samą porę pojawiły się przed nim,

Z pokładu „Dwunastu Apostołów” dostrzeżono wejście do portu Calais znacznie wcześniej, jeszcze zanim Marten odpowiedział salutem hiszpańskiej bandery wojennej na ^okrzyki dochodzące z „Santa Cruz”. Ten gest został podyktowany nie tyle uprzejmością wobec flagowego okrętu dowódcy eskadry, ile koniecznością zapewnienia sobie odwrotu. Gdyby załoga „Santa Cruz” powzięła choćby cień podejrzenia co do zamiarów dwupokładowej karaweli, komandor Blasco de Ramirez zyskałby zapewne jeszcze jeden liść wawrzynu do wieńca swej chwały...:

Ponieważ stało się inaczej, brander płynął teraz w ślad za nim, holując za rufą małą, lecz szybką łódź żaglową zabraną z „Zephyra”. Wzdłuż burt „Dwunastu Apostołów” na miejscu lekkich dział leżały beczki z prochem, a pomiędzy nimi i przy pniach masztów — pęki paków nasyconych smołą.

Całą załogę karaweli stanowiło zaledwie sześciu ludzi, nie licząc Martena, który sam stał za sterem. Okręt nie był zwrotny i każdy manewr wymagał nie lada wysiłku, ale wiatr mu sprzyjał, a „Santa Cruz” okazał się wcale niezłym przewodnikiem: minąwszy wąskie przejście, skierował się nieco w prawo, ku głównej przystani, gdzie widać było rojowisko świateł kotwicznych zawieszonych na masztach.

Znakomita większość Niezwyciężonej Armady tłoczyła się w porcie dokoła okrętu admirałskiego. Panował tam nieład i zamieszanie.; Karawelę poszczególnych eskadr rzucały kotwice, gdzie popadło, a prąd odwracał wysokie kadłuby, które zderzały się z sobą, plącząc łańcuchy i zaczepiając rejami o reje sąsiadów. Załogi kilkunastu szalup, spuszczonej z rozkazu admirała, na próżno usiłowały zaprowadzić porządek odholowując najgorszych zawalidrogów z głównego kanału ku nabrzeżom. Kapitanowie klęli i obrzucali się nawzajem obelgami, a bardziej krewcy przecinali zaplątane we własny takielunek liny i talie, co unieruchamiało uszkodzonych i doprowadzało do bójek między bosmanami.

Blasco de Ramirez bynajmniej nie próbował wcisnąć się tam ze swym okrętem: rzucił kotwicę u prawego brzegu kanału, a „Santa Cruz” zatrzymał się prawie natychmiast po opuszczeniu żagli, zahamowany lekkim prądem rzeczki i zaczynającego się odpływu; potem cofnął się nieco — ty* le, na ile pozwalał krótki łańcuch kotwiczny — i wreszcie stanął nieruchomo o dobrych pięćset jardów przed ciżbą wcześniej przybyłych karawel.

Dokonawszy szczęśliwie tego ostatniego manewru komandor zlecił swemu starszemu oficerowi zwinięcie żagli, a sam właśnie zamierzał zejść do swojej kajuty na rufie, aby się przebrać i podążyć do admirała, gdy po raz drugi w ciągu tego wieczora dostrzegł za rufą pochyloną pod tęgim wiatrem dwupokładową karawelę z przybocznej eskadry księcia Medina-Sidonii. Tym razem jednak „ugrzeczniiony dureń” — jak w myśli nazywał kapitana — leciał na łeb na szty? P^od wszystkimi żaglami, prosto na las masztów w głównej przystani. •

— Oszałał! — wykrzyknął głośno de Ramirez, ~- Wpakuje się w sam środek tego zbiegowiska!

Istotnie mogło się wydawać, że cała załoga tego okrętu dostała napadu szału, W ciemności widać było kilku pół-

nagich ludzi biegnących wzdłuż burt z zapalonymi pochodniami, za sterem stał jakiś rosły drab i wrzeszczał wniebogłosy przynaglając ich do pośpiechu, a tuż za rufą skakała i szamotała się na krótkim faleniu * niewielka łódź, czerpiąc wodę chlustającą spod rudla.

Wtem u stóp przedniego masztu tej czarnej zjawy buchnął płomień, skoczył na fokżagiel, wspiął się wyżej, objął marsręję, polizał napięte płótno górnych żagli. Zaraz potem pomarańczowy słup ognia trysną! nad dziobem; głośny huk targnął powietrzem, a dach przedniego kasztelu wyleciał pod niebo wyrwany potężnym wybuchem.

Okrzyk trwogi przeleciał nad główną przystanią Calais i umilkł, jakby piersiom ludzkim zabrakło tchu. Przez chwilę panowała śmiertelna cisza. Blasco de Ramirez skamieniały ze zgrozy patrzył na ogniste widmo, które mijają burtę „Santa Cruz” wśród łopotu płomieni i szumu rozpienianej wody.; Serce zamierało mu z przerażenia, a w pamięci stawał straszliwy obraz tego, co raz już przeżył podczas pożaru wznieconego przez Jana Martena w porcie Rueda u wybrzeży przesmyku Tehuantepec w Zatoce Meksykańskiej. Stracił był wówczas swój flagowy okręt „Santa Maria” i sam zaledwie uszedł z życiem. Czyżby tutaj miało powtórzyć się to samo?...-

Nagle zatoczył się jak pchnięty nożem. Na pokładzie płonącej karaweli ujrzał Martena!

Niemożliwe! — pomyślał, — Przecież to hiszpański okręt!

Lecz w "tej samej chwili ów człowiek czy też diabeł (jak sądzili marynarze z „Santa Cruz”), który wydawał głośnie rozkazy swoim półnagim demonom o dzikich, brodatych twarzach, zamocowawszy ster zaczął spieszenie wciągać na maszt długą czarną flagę,

— Czarna bandera! — krzyknął de Ramirez. — To on!
Wyrwał zza pasa pistolet i wypalił. Strzał chybił, ale kula gwizdnęła koło ucha Martena, który odwrócił się i ujrawszy swego wroga roześmiał się głośno.

— Nie mam dla ciebie czasu, caballero! — zawołał. — Zmykaj stąd lepiej. Jeszcze się spotkamy!

Blasco mimo fali gniewu i wściekłości ogarniającej go po dotychczasowym osłupieniu zrozumiał, że jest to wcale rozsądna rada: wydostać się z portu, zanim nastąpi popłoch i powszechna panika — oto, co powinien uczynić, aby uratować „Santa Cruz”.-

Krzyknął na swoich oficerów i bosmanów, żeby podnieśli kotwicę, a widząc, że zabierają się do tego zbyt opieszale, skoczył do kabestanu i zaczął ich płazować szpadą. Dzięki temu zabiegowi okręt z wolna podciągnął się naprzód, a gdy kotwica wstała i podjechała w górę, nabrał dostatecznego pędu, aby usłuchać steru, i dryfując z prądem odwrócił się dziobem ku wyjściu;

Tymczasem o paręset jardów za jego rufą rozszalało się piekło. Płonący brander wpadł z impetem pomiędzy kara-wele topiąc po drodze szalupy, łamiąc reje i maszty, siejąc pożary i zniszczenie, aż utknął w kłębowisku lin i łańcuchów szepiony bukszprytem z wantami i sztagami jakiegoś czte-ropokładowego olbrzyma. Szum i huk ognia, głuchy łoskot ścierających się z sobą kadłubów, trzask padających masztów, grzmot wybuchających beczek z prochem i wrzaski przerażonych ludzi zlewały się w iście diabelski chór, od którego ciarki przechodziły po grzbietach załogi „Santa Cruz” stawiającej na gwałt żagle. Niskie, ołowiane chmury czerwieniły się łuną, a oślepiające błyskawice pulsowały w ich wnętrzu jak nierówne uderzenia serca;

Komandor Blasco de Ramirez dopiero teraz uświadomił sobie z przeraźliwą jasnością, że Niezwyciężona Armada znalazła się w pułapce: z jednej strony w zatłoczonym por-

cie groził jej pożar, z drugiej — burza nadciągająca od Morza Północnego i niderlandzkich brzegów. Lecz przed burzą można było jeszcze uciec i schronić się za osłoną przylądka Gris Nez, w Boulogne lub nawet w głębokiej zatoce u ujścia Sommy; przed ogniem nie było ucieczki.;

Zrozumiał to również książę admirał i nieomal wszyscy kapitanowie. Kto mógł, na czym pokładzie jeszcze nie szalał pożar, ciął liny i cumy, zrywał kotwice i wraz z odpływem parł ku wyjściu na morze. Ale teraz, w ciemnościach, przy silnym bocznym wietrze, wśród panicznego pośpiechu trudniej było ominąć mielizny i rafy. Ten i ów nadziewał się na nie rozpruwając kadłub okrętu i tamując drogę pozostałym. Karawele tonęły, załogi w popłochu spuszczały szalupy, ludzie walczyli o miejsca, przeciążone łodzie wywracały się i szły na dno. Wszyscy jak najprędzej, za wszelką cenę chcieli wydostać się z przeklętego Calais.

Tylko jedna mała, zwinna szkuna * o skośnym żaglu pędziła prosto z wiatrem w przeciwną stronę, w głąb portu, ku ujściu rzeki Hames, lawirując zręcznie wśród ogromnych kadłubów i przemykając się pod sterczącymi buksz-rytami hiszpańskich okrętów. Nikt jej nie zatrzymywał i nie pytał, dokąd zmierza. Nikt nie wiedział, że u jej steru siedzi człowiek, który najpierw zdobył „Dwunastu Apostołów”, a potem, zmieniawszy tę karawele w brander, podpalił za jego pomocą Niezwyciężoną Armadę. On zaś, osmalony, czarny od dymu i sadzy, podobnie jak sześciu towarzyszących mu potępieńców, śmiał się głośno wśród tej pożogi, której był sprawcą;

Percy Burnes, przezywany Slovenem z powodu wrodzonego wstrętu do mycia się i do prania swoich łachów, miał donośny głos i zamilowanie do śpiewu. Gdv na nokła-

dzie „Zephyra” albo w gospodzie portowej rozlegało się coś pośredniego między przeraźliwym rzeniem osła a beczaniem kozy, można się było założyć, że to Percy śpiewa pieśń miłosną albo rycerską balladę.- Zazwyczaj słuchacze tych popisów zatykali uszy i wynosili się w miejsce zaciszne lub protestowali gromadnie, popierając te protesty groźbą skapania śpiewaka w morzu; Lecz tego wieczora cała załoga „Zephyra” z niecierpliwością oczekiwała na jego występ wokalny, który miał zwiastować powrót Martena od strony lądu. Burnes bowiem został przez Williama Hoogstone’a wysłany na brzeg zatoczki, w której „Zephyr” stał na kotwicy zgodnie z poleceniami swego kapitana.-

Oczekiwanie przedłużało się, ciemny, zarośnięty brzeg milczał i tylko wiatr przeciągał raz po raz nad zatoką pędząc po niebie coraz czarniejsze chmury; Okręt stał nieruchomo pośrodku gładkiej roztoczy wodnej, osłonięty przez wzgórza, ludzie rozmawiali szeptem, a Hoogstone i Broer Worst przechadzali się ramię w ramię po tylnym pokładzie spoglądając raz po raz ku wschodowi i na próżno usiłując ukryć nurtujący ich niepokój;

Wtem z daleka, od strony portu rozległ się pojedynczy huk — ni to strzał armatni, ni uderzenie pioruna. Krwawy błysk zamigotał na niebie, przygasł i rozjarzył się znowu;

Worst i Hoogstone zatrzymali się jak na komendę, szepty ucichły, wszystkie spojrzenia skierowały się w jeden punkt; O pół mili, może o milę od zatoki, za wąskim przesmykiem lądu coś się stało; coś zaczynało się dziać, Falista* czarna masa wzgórz poczemiała jeszcze bardziej wskutek kontrastu z niebem, które zapalało się coraz jaśniejszą luną, a wiatr niósł stamtąd zmieszana wrzawę głosów i zgiełk, jaki powstaje wśród zamętu bitwy?

■— Zaczęło się — westchnął Hoogstone:

Worst przestępował z nogi na nogę, drapiąc się po rzadkiej rudej szczecinie obrastającej mu ospowate policzki.-

■— Ja, rećlit, zaczęło się —• przyświadczył. Obejrzał się na ludzi, którzy stali przy prawej burcie na szkafucie.;

—Przygotować postawienie żagli? — spytał zwracając się do porucznika:

—Można — odrzekł Hoogstone, choć wiedział, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim będzie trzeba podnieść kotwicę.

— Weźcie także kilku chłopców do kabestanu — do-rzucił.

Cieśla półgłosem wydał rozkazy i poszedł na dziób, aby dopilnować manewru, gdy tylko nadejdzie właściwa chwila. Pomyślał, że Marlen może jednak przybyć łodzią żaglową, którą zabrał z „Zephyra”. Szkoda by ją było stracić...

Natychmiast skarcił się w duchu za tę myśl: niech diabli wezmą łódź, byle Jan wyszedł cało z tej ryzykownej przygody.-

Z pewnością wróci ładem — rozmyślał dalej. — To najbliższa i najpewniejsza droga.

Spojrzał po niebie. Błyskało się, wiatr przybierał na sile, a odbłask krwawej łuny kładł się na ciemną powierzchnię morza. Zgiełk w porcie wzrastał się, raz po raz huk eksplozji wstrząsał powietrzem i przewalał się echem odbitym od wzgórz za rufą okrętu;

No —• myślał Worst — teraz im tam ciepło! Chyba nawet w Doprze widać tę lunę.

Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej bułą ugniecionego tytoniu, oddzielił spory kęs i zaczął go wolno przeżuwać. Była to dobra, mocna, ciemnobrunatna prymka portugalska, paląca jak pieprz. Używał jej tylko w chwilach szczególnego napięcia: narkotyki i powolny ruch szczęk działały kojąco, rozpraszały niepokój, usypiały niecierpliwość.

Lecz tym razem i ten środek zawodził, a beczynne oczekiwanie zdawało się przeciągać w nieskończoność.

W jakiejś chwili wzrok jednookiego cieśli zawadził o cień czarniejszy niż ciemne morze zakwitające białawymi grzywami fal u wylotu zatoki. Cień, a raczej dwa cienie sunące równolegle o pół mili od lądu.

„Ibex” i „Toro” — pomyślał Worst.-

Pchnął jednego z chłopców okrętowych z tą wiadomością do Hoogstone'a, który nadszedł zaraz, nim jeszcze oba okręty minęły zatokę*

— Tak, to z pewnością White i Belmont — powiedział spojrzawszy we wskazanym kierunku, — Powinniśmy przyłączyć się do nich

— A co będzie z kapitanem? — zapytał Worst wepchnąwszy prymkę między policzek a dziąsła/

Porucznik zawahał się;

— To jest jego rozkaz — odburknął niechętnie; — Musiałoby mu coś przeszkodzić, skoro dotychczas go nie ma.

Cieśla obracał tę sprawę w głowie, a prymkę w gębie, niezupełnie jeszcze przekonany?

— „Zephyr” miał ruszyć dopiero, jak tamci zaczną — powiedział przestępując z nogi na nogę.

Jakby w odpowiedzi na tę uwagę z dziobowych armat „Ibexa” padły pierwsze dwa strzały, a zaraz potem przemówiło działo z „Toro”, który wysunął się naprzód i manewrował niewidoczny już za osłoną wysokich brzegów;

— Rozkaz jest rozkazem — zaczął Hoogstone i umilkł, gdyż w oddali, z głębi zatoki zabrzmiał triumfalny ryk Slovena, zdolny przyprawić o rozstrój nerwów najmniej muzykalnego słuchacza;

Wprawdzie ani William Hoogstone, ani Broer Worst nie należeli do ludzi wrażliwych na harmonię dźwięków i nie odznaczeni się muzykalnością, ale nawet gdyby tak było, w obecnych okolicznościach śpiew Percy'ego Burnesa wydałby się im zapewne anielskim hymnem. W każdym razie

podział na nich jak cudowny balsam przyłożony do jątrzącej rany, jak otwarte wrota lochu na więźnia odzyskującego wolność, jak widok chłodnego źródła na spragnionego.

— Nie dał się im — mruczał Worst. — He, co? Nie dał się!

Hoogstone nie słuchał tych nabrzmiałych dumą, lecz ubogich treścią uwag; wrócił na szkafut i kazał opuścić talie, aby natychmiast podjąć szalupę na pokład.

Tymczasem „Ibex” i „Toro” znikły z pola widzenia, lecz ich działa grzmiały raz po raz salwami, na które wnet odpowiedział bezładny, ale potężny ogień ciężkich hufnic hiszpańskich. Huk armat łączył się z dudnieniem gromów i łoskotem piorunów nadciągającej burzy, a stokrotne echo toczyło się po ciemnym lądzie i niesione wiatrem wracało na morze.

Wśród tej kanonady, poprzez szum wichru piejącego na wantach, rozległ się okrzyk Slovena, który obwoływał okręt. Odpowiedziano mu z pokładu, a u burty błysnęło żółte światło latarni. Łódź ukazała się na fali, zapadła w cień, ukazała się znowu, kilka rąk chwyciło opuszczone liny, zgrzytnęły haki, zaklekotały bloki i po chwili załoga „Zephyra” usłyszała głos swego kapitana, który bez straty czasu wydawał krótkie rozkazy.

5

Bitwa morska w Kanale Angielskim (lub kanale La Manche, jak tę odnogę Atlantyku skromniej nazywają Francuzi), rozpoczęta zuchwałym nocnym atakiem trzech okrętów kaperskich na całą potęgę Wielkiej Armady, trwała aż do południa następnego dnia.-

Z początku Hiszpanie ogarnięci paniką wskutek pożaru wznieconego w Calais przez płonącą karawelę „Dwunastu Apostołów”, która z „niezrozumiałych przyczyn wpadła w sam środek zatłoczonej przystani, rzucili się do ucieczki i napotkawszy owe trzy okręty przypuszczali, że mają do czynienia z głównymi siłami Anglików. Ale po pierwszej wymianie strzałów zorientowali się, że rozporządzają przygniatającą przewagą, co pozwoliło im ochłonąć i tak dalece podniosło ich na duchu, iż sami ruszyli do ataku. Zapewne gdyby uczynili to natychmiast w sposób bardziej zdecydowany i przy lepszej organizacji taktycznej — trzej śmiałkowie poszliby na dno. Lecz atak nastąpił za późno, a małe okręty Anglików okazały się znacznie zwrotniejsze i szybsze niż potężne karawele hiszpańskie, posługujące się wiosłami przy wykonywaniu trudniejszych manewrów. Kaprowie królowej Elżbiety umieli kasać i umykać w porę, a pościg za nimi nie dawał żadnych rezultatów. Na domiar złego, ku wściekłości i wstydom hiszpańskich kapitanów, ogień lekkich armat angielskich był znacznie celniejszy od salw ciężkich, dalekonośnych moździerzy, czter-dziestoosmofuntowych kartamłw czy też hufnic i wyrządził poważne szkody w omasztowaniu wielkich okrętów, unieruchamiając je i psując szyki. Wreszcie burza, która początkowo sprzyjała Armadzie, obróciła się wkrótce prze-

ciw niej: wiatr zmienił kierunek ze wschodniego na południowo-zachodni i dął z coraz większą siłą, pędząc wysokie, mało stateczne karawele w stronę wybrzeży Anglii;

Wkrótce po północy Niezwyciężona Armada rozproszyła się wskutek tego na przestrzeni jakich trzydziestu mil — od cypla Gris Nez po Hastings I musiała zaprzestać pogoni za trzema bezczelnymi korsarzami, odpowiadając tylko ogniem z poszczególnych okrętów na ich zaczepki. Co gorsza jednak, o świcie na wzburzonym morzu od zachodu ukazały się liczne żagle zwiastujące, iż teraz istotnie nastąpi starcie z poważnymi siłami Anglików.-

Zanim do tego doszło, admirał Medina-Sidonia z największym wysiłkiem zdołał zgrupować dokoła swego okrętu flagowego około czterdziestu karawel, które w bladym świetle wstającego dnia ziały celniejszym ogniem na dużą odległość. Lecz Francis Drake nie chciał wystawiać swojej flotylli na zgubne działanie pocisków hiszpańskiej artylerii; trzymał się poza jej zasięgiem i atakował tylko pojedyncze okręty w oczekiwaniu na przybycie lorda Howarda i Frobishera.

„Złota Łania” lawirowała na czele fregat królowej między południowym wybrzeżem Anglii a głównym zgrupowaniem sił hiszpańskich, podczas gdy eskadra kaperska pod dowództwem Hawkinsa otaczała Wielką Armadę szerokim łukiem od południa; W ten sposób książę Medina-Sidonia chcąc nie chcąc musiał przejść do taktyki obronnej, i to wobec słabszego przeciwnika, który jedynie szybkością swych okrętów nad nim górował. Obie strony zdawały się wyczekiwać na jakąś pomyslną dla siebie zmianę sytuacji, lecz tylko Anglicy wiedzieli, na co mogą liczyć; Hiszpanie zdali się raczej na los szczęścia, które jednak zawiodło mimo przejściowych widoków powodzenia.

Owe złudne nadzieje opierały się przez krótki czas na eskadrze ciężkich sześćsettonowych karawel komandora Bla-

sco de Ramireza. Eskadra ta, rozproszona po ucieczce z Calais, zebrała się nad ranem w pobliżu Boulogne i płynęła na północny zachód, aby połączyć się z admirałem. Mniej więcej na trawersie * Dungenes dostrzeżono ją z okrętu flagowego księcia Sidonii i zauważono, że skierowała się wprost na kordon fregat kaperskich Hawkinsa z zamiarem przebicia się przez nie do sił głównych Armady.-

Dwa spośród sześciu okrętów angielskich, które zabiegły jej drogę, zostały zniszczone salwami Ramireza; dwa inne wycofały się z połamanymi rejami i zdartymi żaglami. Lecz zanim Hiszpanie zdolali ponownie nabić działa, z tyłu, od strony Cieśniny Kaletańskiej, ukazało się całe mrowie wydętych żagli. To lord Howard i Frobisher nadciągali w sześćdziesiąt okrętów na pomoc, aby wziąć we dwa ognie na pół już rozbitą flotę Filipa II.

Eskadra Blasco de Ramireza nie dotarła już do celu: czteromasztowe ogromne karawele, niosące po szesnaście ciężkich dział z każdej burty i po kilkadziesiąt lżejszych falkonetów na trzech lub czterech pokładach artyleryjskich, po odpalonych spiesznie salwach rozpierchły się na wszystkie strony, a wściekły atak Anglików zmieszał również szyki Medina-Sidonii.

Lecz wielka Armada otoczona pierścieniem angielskich okrętów broniła się zawzięcie. Przez pięć godzin trwała kanonada, której huk słychać było od Brighton po Ramsgate i od Dieppe po Dunkierkę. Dymy armat i pożarów przesłaniały chmurne niebo nad hrabstwami Sussex i Kent, a na dnie morza spoczęły na zawsze wraki trzydziestu kilku żaglowców;

Wreszcie gwałtowny sztorm rozpędził zarówno napastników, jak napastowanych. Wyjący wiatr i wzburzone fale stały się groźniejsze od ognia działowego, którego celność zmniejszało kołysanie się okrętów. Anglicy wycofali się z boju i odpłynęli do Portsmouth, za osłonę wyspy Wight, ale Wielka Armada nie miała gdzie się schronić.

Aleksander Farnese, który z powodu blokady portów niderlandzkich nie mógł wyruszyć z wojskami zaokrętowanymi na własnych statkach, doradzał był admirałowi dłuższy postój w Emden. Lecz Medina-Sidonia odrzucił tę radę. Nawet teraz, gdy jego siły stopniały w nierozegranej bitwie, ufał, że Wielka Armada wciąż jeszcze jest Armadą Niezwycięzoną; że przy bardziej sprzyjającej pogodzie rozprawi się z Anglikami, pomści niesławny popłoch w Calais, zdoła wylądować i za jednym zamachem zdobyć heretycką wyspę.; Dlatego zawrócił z wiatrem i popłynął na północ, powziąwszy niedorzeczny plan uderzenia na Anglię od wschodu.;

Jeśli warunki atmosferyczne nie sprzyjały Hiszpanom w ich zamiarach, to nie były wcale łaskawsze dla flotyli Drake'a i Hawkinsa* które dopiero nazajutrz ruszyły w pogoń za Wielką Armadą. Medina-Sidonia zdołał przepłynąć Pas de Calais i zachodziła obawa, że spróbuje wysadzić desant na wybrzeżach Essex lub gdzieś dalej na północy. Należało mu w tym przeszkodzić. Ale wiatr, który osłabł w nocy, za dnia znów się rozpętał.; Na jego wycie porwała się cała potęga Atlantyku i olbrzymia masa wód spiętrzona w grzywiaste fale parła teraz wzdłuż południowych brzegów Anglii. Ciemne chmury leciały po niebie, tłoczyły się, gęstniały w jednolitą szarą masę, na której tle z zawrotną prędkością mknęły drobne, czarne, złe strzępy obłoków niosących gwałtowne szkwały;

„Zephyr”, płynąc na czele straży przedniej złożonej

z „Ibexa”, „Toro” i „Yanneau”, w ciągu wielu godzin do* świadczył ich furii, ale Marten nie pozwoli! zwinąć ani jed« nego żagla. Chciał nadrobić czas stracony i przed wieczorem dopędzić Wielką Armadę, aby następnie powiadomić Drake’a o jej ruchach.

Gdy tylko wyszedł z cieśniny Solent i minął przylądek Needles, by okrążyć wyspę Wight od zachodu i południa, ogromne fale, chyba na milę długie od czuba do czuba, zaczęły z sykiem przelewać się przez pokład „Zephyra”; Sztorm zrywał szalupy, rujnował kasztele, podważał lawety dział,

W jakiejś chwili trzech świeżo zamustrowani marynarze z Portsmouth znikli ze szkafutu bez śladu, bez jednego okrzyku, jak cyfry starte wilgotną szmatą z czarnej tablicy, a Marten, który sam stał przy sterze, przygryzł tylko wargi i zaklął głośno;

Cóż znaczyła śmierć tych trzech ludzi wobec niebezpieczeństwa grożącego „Zephyrowi”! Wobec wążących się losów Anglii!

Nie mógł oszczędzać nikogo i niczego. Za wszelką cenę musiał przebić się na Morze Północne i pędzić dalej na północ, aby dogonić Hiszpanów i na czas uprzedzić Drake’a o ich zamiarach.

Okręt cierpiał i walczył w milczeniu. Kiedy szturmująca fala załamywała się nad pokładem, wstrząsał się od dziobu po rufę i nurkował głęboko, przygnieciony tonami wody, które tratowały go z hukiem podobnym do łaskotu walącego się domu. Potem wynurzał się wolno, nieznośnie wolno, rzekłbyś — z bolesnym wysiłkiem, zrzucił brzemień wody ze szkafutu i jak gdyby chwycił oddech przed następnym ciosem.

Marten cierpiał z nim razem, szczególnie odczuwając mękę owych powolnych wynurzeń spod strasznego ciężaru spienionej kipieli. Serce zamierało mu na myśl, że „Zephyr”; już się nie podniesie, że potworny grzbiet fali zagarnie pochylone maszty i reje, wyluskując kadłub ze wzburzonego od-

mętu i wywracając go do góry dnem. Mimo to ani na cal nie zmienił kursu; ufał, że okręt wytrzyma, że w końcu mimo druzgocącej nierówności sił zwycięży w tej samotnej walce, której jedynym celem było oddalić się na tyle od brzegów, aby móc przebrasować reje na przeciwny ciąg i pomknąć z wiatrem w baksztag;

Gdy wreszcie zdecydował się na ten manewr, za rufą „Zephyra” nie było widać ani zarysów lądu* ani masztów i żagli pozostałych daleko w tyle okrętów. Otaczały go tylko szarosrebrne przesłony dżdżu i spienione odmęty morskie.-

Pierwszej wiadomości o kierunku żeglugi obranym przez admirała Medina-Sidonia udzielili Martenowi rybacy z Wai-ton, w których ręce wpadła karawela „Święty Józef” rozbita wśród licznych wielozmian otaczających wybrzeże Essex.- Niewiele zdołał się od nich dowiedzieć, ponieważ zarówno ze „Świętym Józefem”, jak z jego załogą obszli się zgoła nie po chrześcijańsku, tak iż żywa noga stamtąd nie uszła; W każdym razie z ich opowiadań o tym wydarzeniu można było wywnioskować, że Wielka Armada płynie dalej na północ, nie zamierzając widocznie zawinąć do żadnego z portów niderlandzkich, i że nadal znajduje się w rozszypce.-

Pozostawiwszy więc odpowiednie instrukcje na piśmie dla kawalera de Belmont i przekazawszy rybakom, aby je wręczyli kapitanowi pierwszego angielskiego statku, jaki zbliży się do ich osady, Marten odpłynął również na północny wschód wzdłuż wybrzeży Suffolk i Norfolk;

Sztorm ucichł pod wieczór, a wiatr obracał się z wolna i po zachodzie słońca zaczął wiać wprost z południa, co znacznie ułatwiało żeglugę. Dzięki tym pomyślnym okolicznościom „Zephyr” płynął z prędkością dwunastu, a nawet czternastu węzłów i około godziny ósmej rano znalazł się u wejścia do zatoki Humber;

I tu Marten natrafił na ślady Hiszpanów. Żałosne ślady zaiste, jakich miał ujrzeć jeszcze bardzo wiele. Na płycznach, wzdłuż niskich brzegów ł mielizn tkwiły doszczętnie obrabowane wraki wielkich okrętów, a trupy marynarzy i żołnierzy unosiły się na falach otoczone chmurami mew. Rybacy, chłopci i yeomeni * z Lindsey i Yorkshire, pośród których było wielu katolików, mordowali „papistów” dla marnego zysku lub z obawy przed inwazją zbrojnych szeregów* nie pytając o ich wyznanie i nie okazując litości.

Ten stan rzeczy uspokoił obawy Martena: jakkolwiek plan powstał w głowie wodza Wielkiej Armady, Anglii na razie nie groził żaden desant. Natomiast „Zephyr” wymagał choćby jednego dnia postoju dla uporządkowania takielunku i naprawy uszkodzeń powstałych podczas burzy w kanale La Manche, a także celem połączenia się z resztą straży przedniej i przesłania uzyskanych wiadomości Drake'owL

Spotkanie z Piotrem Carotte'em i Ryszardem de Belmont nastąpiło nazajutrz; Brakowało tylko „Ibexa”, który zawrócił z Walton, by odpłynąć naprzeciw flotyli Drake'a i Haw-kinsa z raportem sporządzonym przez Belmonta;

Ryszard chciał poczekać na jego powrót i dalsze rozkazy admirała, ale Marten naglił do pośpiechu. Pałła go ciekawość, co właściwie zamierza uczynić Medina-Sidonia, poza tym zaś miał niejaką nadzieję, że znajdzie okazję do stoczenia walki z Blasco Ramirezem, który uszedł mu z Calais;

Tak więc trzy okręty znów podniosły kotwice i pozęgło-wały dalej na północ;

Morze Północne pod względem obfitości burz i wichrów niewiele ustępowało Kanałowi Angielskiemu; Toteż Wielka Armada nieudolnie dowodzona przez swego admirała, któ-

ry żeglował bez map i przewodników, topniała z dnia na dzień. Gdy zawiodły próby desantów w Tyneniouth i na wybrzeżach Szkocji w Firth of Forth, stało się jasne, że ani jeden żołnierz hiszpański nie stanie na heretyckiej wyspie; W ślad za skołataną Armadą, jak wataha głodnych wilków za stadem owiec, posuwały się okręty Anglików topiąc odbite od głównych sił, zapóźnione lub zbłąkane kara-wele, a u brzegów gromadziły się kupy zbrojne i wojska szkockich baronów, żądne łupu i krwi rozbitków.

Gdy w połowie sierpnia niedobitki najwspanialszej eskadry ciężkich czteromasztowych żaglowców hiszpańskich weszły do Morray Firth, aby uzupełnić zapasy słodkiej wody, spotkały tam przyczajoną wśród skał małą flotyllę ka-perską pod dowództwem słynnego korsarza Jana Martena i pomimo przewagi swego ognia zostały zmuszone do odwrotu.-

To zwycięstwo odniesione przez czterech kaprów, z których tylko jeden okazał się Anglikiem, wzbudziło podziw i gorącą sympatię mieszkańców Inverness. Rada miejska postanowiła uczcić wielkim bankietem bohaterów owej bitwy, jako obrońców miasta i portu, a kiedy rozeszła się wiadomość, że jest między nimi dobrze tu znany Pierre Carotte, wszyscy poważniejsi obywatele przyłączyli się do tej uroczystości,-

Lecz nie kapitan fregaty „Vanneau” i nawet nie Marten zapisał się na długie lata w pamięci gospodarzy. Największe wrażenie bowiem wywarł na biesiadnikach nieoczekiwany spontaniczny występ Percy'ego Burnesa, przezywanego Slovenem. Zaiste Sloven zdołał nie tylko prześcignąć miejscowych bardów, ale również rozślawić legendarną waleczność swych współziomków lub raczej ich przodków z Sussex;

Stało się to na starym rynku Inverness, gdzie korzystając z niezwykle pięknej, słonecznej pogody rozstawiono stoły przed town-hallem i gdzie Marten mógł się przekonać osobi-

śclei że w opowiadaniach Carotte'a o szkockiej gościnności nie było ani cienia przesady;

Początkowo pewną trudność w porozumiewaniu się i wznoszeniu toastów stanowił powszechnie używany w Górnej Szkocji język gaelicki, którego prawie nikt z przybyszów nie rozumiał; ale Piotr i jego były porucznik, Dingwell, ożeniony z miejscową piękną i osiadły tu na stałe ku zmartwieniu swego kapitana — podjęli się roli tłumaczy przy stole honorowym, a reszta uczestników bankietu zdołała zawrzeć przyjaźń na migi.

O zachodzie słońca kapela góralska zaczęła przygrywać *do tańca*, a w przerwach popisywali się śpiewacy ballad i pieśni Osjana. Te występy artystyczne, przyjmowane przez Szkotów z wielkim aplauzem, natchnęły do czynu Percy'ego Burnesa, który zaprzagnął zapoznać tak wdzięczne audytorium również ze swoim repertuarem i w tym celu przedłożył odpowiednią propozycję Dingwellowi.

Niestety ani Marten, ani żaden ze starszych bosmanów „Zephyra” nie zauważył tych zabiegów, a Dingwell, któremu propozycja Slovena wydała się bardzo na miejscu (ponieważ nigdy w życiu nie słyszał jego śpiewu), przetłumaczył ją lordowi mayorowi miasta. Ten ostatni przystał bez wa-i hania i ku przerażeniu Martena sam przedstawił angielskiego barda zebranym.

Teraz było już za późno, aby zapobiec kataklizmowi: Percy uszczęśliwiony pomyślnym obrotem sprawy zatarł rękę, ce i skłonił się rajcom miejskim, a następnie szepnął coś siedzącemu obok Dingwellowi;

;— Wasza lordowska wysokość — rzekł Dingwell — bosman Burnes pragnie wyjaśnić panu i obecnym tu dostojnikom miasta, że pieśń, którą wam zaśpiewa, pochodzi z czasów Wilhelma Zdobywcy.

,— O, rzeczywiście? — wtrącił uprzejmie lord mayor.,
£2 Tale jest ~ potwierdził tłumacz. — Przy tym cała]

sprawa dotyczy bandy zabijaków, którzy z Wilhelmem przybyli z Normandii, żeby zdobyć zamek warowny Ha-stings,

—Aha — domyślił się lord mayor — to będzie ballada wojenna?

—Tak jest —■ powtórzył Dingwell porozumiewszy się ze Slovenem. — Bosman Burnes uprzedza waszą lordowską wysokość, że sam będzie musiał zastąpić kilku wykonawców, którzy zwykle tę balladę śpiewają w hrabstwie Sussex. W dodatku jest to pieśń nader trudna, ponieważ niektóre jej części pozbawione są słów.-

Lord mayor spojrzał pytająco na siedzącego obok Carotte^, Carotte spojrzał na zrozpaczonego Martena, Marten spojrzał na ubawionego tym wszystkim Ryszarda de Belmont, który rozumiał coś niecoś po gaelicku, ale tylko wzruszył ramionami.

Carotte zapytał:

—Jeśli tam brak słów, to jakże on będzie śpiewał? . ' ' ' .

—Będzie naśladował odgłosy bitwy — wyjaśnił Dingwell porozumiewszy się znów z artystą. ■—• A teraz, wasza wysokość, bosman Burnes chciałby wiedzieć, czy może zacząć?

-K

—Niechby oniemiał — mruknął Marten.

Ale lord mayor poważnie skinął głową, a Sloven bynajmniej nie został dotknięty niemotą; zrzucił wełnianą kurtkę, odwinął postrzępione rękawy koszuli i — zaczął. Zaczął galopować w podskokach tam i z powrotem przed stołem honorowym, co od razu wprowadziło Szkotów w zdumienie, ponieważ nikt jeszcze nie zaczynał w ten sposób ballady. Lecz dobrze poinformowany Dingwell wyjaśnił, że to właśnie „ta banda z Normandii” dosiadła koni i zbliża się do wzgórza, na którym stoi zamek;

Wtedy Sloven porzucił rolę najeźdźcy, wskoczył na brzeg łąwy pomiędzy Hoogstone'a a jakiegoś rajcę w kracia-

etym tartanie * i przysłoniwszy ręką oczy zaczął bacznie rozglądać się dokoła.

— Oho! — rzekł Carotte; — Oto straż na murach zamku. Nie dadzą się tam zaskoczyć!

Sloven skłonił mu się z gracją w podziękowaniu za tę słuszną uwagę, po czym przedzierzgnął się w Wilhelma Zdobycę. Zatrzymał konia i wspiąwszy się w strzemionach z wyrazem zaciętej determinacji na obliczu wznosił rękę, wskazując town-hall;

— Teraz zatrąbi do ataku — szepnął Carotte do Martena. — Słuchaj;

Istotnie Sloven nabrał tchu w piersi, wydał policzki i zatrąbił. Był to sygnał tak przeraźliwy, że zmroził krew w żyłach słuchaczy; Marten podskoczył i opadł z powrotem na stół; podskoczył również kawaler de Belmont; podskoczył lord mayor, a po grzbietach rajców przeszedł dreszcz zgrozy.; Tylko przezorni marynarze z „Zephyra” zachowali spokój, ponieważ znając już tę balladę w wykonaniu Percy’ego Burnesa na czas zatkali sobie uszy;

To co nastąpiło po sygnale do szturm, doprowadziło słuchaczy do zawrotu głowy, bowiem Sloven zmieniał teraz rolę z błyskawiczną szybkością: był watahą rżących i kwiczących rumaków, które cwałowały na złamanie karku po twardym zboczu wzgórza; był kilkoma naraz wachmistrzami, którzy sprawiali szyki i zachęcali swoich ludzi do walki; był to jednym, to drugim, to dziesiątym rycerzem, miotającym wyzwania i przekleństwa; był brzękającymi cięciwami łuków i świszczącymi strzałami; naśladował beczenie stada uciekających w popłochu owiec, krzyk i płacz pastuszków, zawodzenie kobiet, trzask łamiących się oszczepów, zgiełk czyniony przez miecze uderzające po zbrojach i

—

zapewne — skowyt jakiegoś psa, któremu w zamieszaniu obcięto ogon.a

— Do Hcha — powiedział ogłuszony Carotte — mam nadzieję, że wreszcie któraś ze stron wygra tę bitwę.;

Przez krótką chwilę Marten przypuszczał, że nadzieja Piotra się spełni: napastnicy, wrzeszcząc jeszcze ciągle co sił w płucach, cofali się jednak z wolna, aż wrzawa stopniowo ucichła u stóp wzgórza, a Sloven dysząc ciężko opuścił głowę w zadumie;

Marten westchnął z ulgą, a kawaler de Belmont już wznosił dłonie do oklasków, gdy Carotte go powstrzymał;

— Obawiam się, że to nie koniec — szepnął;

Jakoż Percy ocknął się nagle i skradając się na palcach zatoczył obszerny łuk;

—Wilhelm wysłał oddział, który ich zaatakuje od skrzydła

— domyślił się Carotte;

—Niech go diabli wezmą — zgrzytnął Marten, ale jego życzenie utonęło wśród okrzyków obrońców, którzy dostrzegli flankującą watahę;

Percy Burnes stał się teraz hrabią Hastings i pośpiesznie przegrupowywał swe siły; W tym celu biegał zdyszany między stołami —? to jest między obronnymi murami zamku — i z mieczem w dłoni wydawał grzmiące rozkazy celem odparcia ataku. Te jego zabiegi okazały się Jednak bardzo na rękę Wilhelmowi Zdobywcy, w którego zaraz się przedzierzgnął, bo oto znów zarżały konie i zaczęła się szarża na zamek.

Przy równoczesnym ataku flankowym i frontalnym Carotte przestał się orientować w toku bitwy; Ale była ona zacięta. I głośna. I długotrwała. Tak dalece, że Marten zamierzał już wystąpić w roli Opatrzności, aby ją przerwać;

Powstrzymał się jednak od tego kroku, widząc na twarzach załogi „Zephyra” uśmiechy ulgi, które zdawały się zwiastować rychły koniec pieśni, Otarł czoło z kroplistego po-

tu i spojrzął po radnych miasta. Widocznie i oni mieli dosyć: wyglądali na bliskich omdlenia.:

Wreszcie głos Burnesa zamarł w ostatnim akordzie. Percy kłaniał się, a jego rzecznik, Dingwell, wstał i zwracając się do lorda mayor przemówił:

— Wasza wysokość, bosman Burnes pragnąłby wiedzieć, czy jego ballada podobała się waszej wysokości oraz obecnym tu dostojnikom.

Marten poczuł, że robi mu się gorąco. Ten bałwan dopominał się komplementów i pochwał!

Lecz lord mayor okazał wiele taktu.-

—To była bardzo piękna pieśń. — tłumaczył Dingwell jego odpowiedź. — Niezwykła pleśń, oddająca z wielkim realizmem groźne zdarzenia. Słyszało się ryk oszalałych mułów.;

—Mułów?! — zdumiał się Percy. — Tam nie było żadnych mułów!

—Nie było? — zmieszał się tłumacz, a jego brwi utworzyły dwa wysokie łuki na zmarszczonym czole. — Hm.; przysiągłbym, że coś tam strasznie ryczało. Może to były osły.;

—Ależ w całej balladzie nie ma ani jednego osła! — zaprotestował Burnes.

—Sam jesteś osioł, Percy — powiedział z przekonaniem Tessari zwany Cyrulikiem. — Przestań wreszcie robić z siebie błazna;

—W każdym razie — ciągnął dalej Dingwell odchrząknawszy kilkakrotnie dla odzyskania kontenansu — w każdym razie to było bardzo piękne. Lord mayor wyraził się, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszał czegoś podobnego,

—Ja myślę — mruknął Belmont.

Triumfalny uśmiech od ucha do ucha rozlał się na twarzy Slovena, natomiast Dingwell poprzez stół posłał alarmujące spojrzenie Martenowi;

— O co chodzi? ~ zapytał ten ostatni;

Były porucznik „Vanneau” nachylił się ku niemu.

—Ten człowiek chce, abym powiedział lordowi mayo-rowi, że druga część ballady dotyczy powtórnego szturm na zamek w nocy. Prosi o ciszę, ponieważ chciałby zacząć od nocnych szmerów, które w panującym gwarze mogłyby ująć uwagi słuchaczy,

—Niech się nie waży otworzyć gęby — odrzekł stanowczo Marten. — Dajcie mu tyle whisky i piwa, ile zdoła pomieścić jego bandzioch. To będzie zapewne bardzo dużo, ale bądź co bądź uratuje nas od zupełnej zguby.

Dingwell ze zrozumieniem zastosował się do tej rady, co zresztą nie nastęcało większych trudności. Popis śpiewaczy znacznie wzmógł pragnienie Percy'ego, a męska połowa ludności Inverness jak najchętniej uprowadziła bohaterskiego barda do świeżo odszpuntowanych beczek, aby z kolei podziwiać jego talent w spełnianiu pełnych kwart jasnego „ale”,

Zażegnawszy w ten sposób niebezpieczeństwo dalszych występów artystycznych Slovena, Marten pod wpływem doskonałego jadła i trunków odzyskał wreszcie zwykły humor i werwę. Był dotąd nieco zwarzony, pomimo zwycięstwa odniesionego nad eskardą Ramireza, ponieważ Blasco "znów mu się wymknął. Uznał jednak w końcu, że nie warto się tym przejmować, bo prędzej czy później „Santa Cruz” wpadnie w jego ręce, a wówczas.:

—Wówczas — powiedział William Hoogstone, który lepiej od innych znał przyczyny tej uporczywej nienawiści —* obetnie mu pan uszy, kapitanie Marten.

—I nos — dodał Carotte z miną ludożercy.

6

Marten nie zdołał wprowadzić w czyn pogroźek swoich przyjaciół, księżę Medina-Sidonia bowiem minawszy wyspy Orkney przeznaczył resztki eskardy komandora Blasco de Ramireza do straży przedniej, a później, gdy Wielka Armada opłynęła od zachodu Irlandię, wysłał go przodem do Hiszpanii z wieścią o nieudanej wyprawie,-

Lecz „nieudana wyprawa” w rzeczywistości była po prostu klęską.; Na skałach Orkad i Hebrydów, we fiordach Do-negal, Connaught i Munsteru pozostała niemal połowa rozbitych przez burzę okrętów, a nawet katolicka ludność tych księstw irlandzkich mordowała Hiszpanów i rabowała wraki ich karawel,

Ramirez wylądował w Lizbonie, po czym drogą na Ibrantes, Guarda i Sałamanca niezwłocznie pośpieszył do Escorialu;

Jechał przez kraj zamieniony w jedną wielką świątynię, w której zgodnie z rozkazem Consejo de Estado odbywały się nieustanne modły o zwycięstwo nad heretykami. Chłopi nie pracowali w polu, stada bydła rozpierzchnęły się po dolinach, ulice miast, place targowe, warsztaty rzemieślnicze i gospody opustoszały, zamarł handel i wszelki ruch; tylko nawy kościołów, zatłoczone wiernymi, duszne od ludzkiego potu i woni kadzidła, rozbrzmiewały błagalnymi śpiewami, a głos dzwonów i organów rozglegał się dokoła,

Ramirez z posępną twarzą uchylał kapelusza przed kościelnymi krzyżami, zsiadał z konia, przyklękał, żegnał się pobożnie i wyciągał za kark z tłumu właściciela miejscowego zajazdu. Jechał prawie bez wytchnienia, dniem i no-

cą, lecz właśnie dlatego musiał często zmieniać konie, które padały pod nim od morderczego cwału po górskich wertepach.-

Po czterdziestu ośmiu godzinach, sam zaledwie żywy, stanął u wrót klasztoru San Lorenzo el Real, aby się dowiedzieć u celu podróży, iż zostanie przyjęty przez króla dopiero po południu, ponieważ Filip II leży krzyżem przed głównym ołtarzem ! nikomu nie wolno do niego się zbliżyć.

Blasco wiedział, że nawet leżenie krzyżem nie odwróci już nieszczęsnego biegu wypadków, ale nie ośmielił się wypowiedzieć głośno tego mniemania. Powiadomił jednak kardynała Albrechta Habsburga o losach Niezwyciężonej Armady, po czym, nie zważając na osłupienie królewskiego sekretarza, zasnął kamiennym snem w wygodnym fotelu jego eminencji^

Przygnębienie w Madrycie i w Rzymie na wieść o klęsce było ogromne. Medina-Sidonia powrócił we wrześniu prowadząc zaledwie połowę okrętów, i to przeważnie tak uszkodzonych, że nie opłacała się ich naprawa. Zginęło ponad dziesięć tysięcy ludzi, a straty materialne sięgały zawrotnych sum.-

Wrogowie, a przede wszystkim utrzymywani dotąd w ryzach wasale Hiszpanii, podnosili głowy przygotowując się do nowych buntów i powstań. Gloria monarchii hiszpańskiej zbladła, a przy wtórze sztormów, wśród wycia wichrów i łoskotu karawel rozbijanych o skały Szkocji i Irlandii narodziła się nowa potęga morska — Albion.;

Najwięcej spokoju zachował w tym nieszczęściu Filip II, jakkolwiek wszystkie jego marzenia i plany, główny cel, jaki postawił sobie w życiu — zdobycie Anglii oraz upokorzenie Elżbiety — rozpadły się w gruzy:

Mógł jeszcze wystawić nową flotę, mógł wycisnąć na to

dość złota ze swych poddanych i z bogatego kleru, mógł rzucić na szale wojny skarby Indii Zachodnich i zaciężne armie z Niderlandów, Neapolu i Mediolanu, z krajów niemieckich i austriackich. Należało tylko mężnie znieść dopust boży i wyblagać u Stwórcy błogosławieństwo dla następnej wyprawy.

Ten ostatni sposób, jakkolwiek raz już zawiódł, wydał się Filipowi najpewniejszy, a dla poparcia jego skuteczności wzmożono w całym państwie działalność świętej inkwizycji, która skazywała i paliła na stosach dziesiątki, a nawet setki dysydentów.

Tymczasem w Anglii triumfował zwycięski protestantyzm. Bóg, w którego tam wierzone, zesłał przecież burze i sztormy na „papistów”, okazując tym niezbitcie, że jest po stronie reformacji. Elżbieta, być może, nie podzielała wiary w ten tak prosty wniosek i przypisywała zwycięstwo nie tylko woli Opatrzności, ale nie zdradzała się z tym mniemaniem publicznie. Owszem, była rada, że zasługi jej admirałów i kaprów pozostają w cieniu na korzyść potęg nadprzyrodzonych. Opatrzności nie trzeba było płacić żołą, wystarczały świece i psalmy; natomiast admirałowie żądali pieniędzy dla swoich załóg, a nagród i zaszczytów dla siebie.

Skąpa monarchini targowała się z nimi jak przekupka, klnąc, plując i waląc pięścią w stół. Skoro niebezpieczeństwo minęło, nie miała zamiaru dotrzymywać obietnic. Była na to zbyt rozsądna: w sztuce rządzenia wystrzegala się szlachetnych gestów, które bywają kosztowne. Bohaterom musiało wystarczyć ich bohaterstwo; zasady, którymi ona się kierowała, nie miały z bohaterstwem nic wspólnego, choć nazywano ją królową o lwim sercu.

Serce, a może jeszcze bardziej umysł Elżbiety nakazywały jej obłudę, giętkość i zwlekanie z wszelkimi decyzjami, a nade wszystko — oszczędność. Lecz zaiste musiała posiadać przebiegłość lisa, aby przez dwanaście lat zwodzić wszy-

stkich swą rzekomą miłością dla księcia d'Anjou lub skąpic żołdu ludziom, którzy rozgromili Wielką Armadę..?

Wśród pokrzywdzonych przez królową znalazł się między innymi Jan Marten. W czasie działań wojennych załoga „Zephyra” rzadko kiedy brała zdobycz na Hiszpanach, a okręt ucierpiał znacznie, tak że koszty naprawy pochłonęły cały niewielki udział kapitana. Jego wierzyciele dopominali się natarczywie zwrotu pożyczek wraz z lichwiarskimi procentami i uzyskali w końcu ich spłatę drogą licytacji niegdyś wspaniałej, dziś zrujnowanej i opuszczonej posiadłości w Greenwich.

Aby powetować poniesione straty, „Zephyr” wziął udział w wyprawie Franciszka Drake'a na Lizbonę, lecz to przedsięwzięcie, mające na celu oderwanie podbitej Portugalii od monarchii Filipa II, nie powiodło się i Marten musiał znów udać się o pomoc pieniężną do Henryka Schultza.

Henryk przyjął go w swojej nowej siedzibie, w Holborn, nadspodziewanie uprzejmie, niemal serdecznie.- Okazał się bardzo wspaniałomyślny, gdyż ani razu nie wspomniał o sprawie kupna „Zephyra”, jakby pogodził się z myślą, że nigdy nie zostanie właścicielem tego okrętu. Udzielając Martenowi pożyczki postawił tylko jeden skromny warunek: do chwili jej spłacenia Jan zobowiąże się podczas każdej ze swych wypraw wstępować do Calais, bądź aby tam zostawić jednego z agentów Schultza, bądź też aby zabrać go na pokład w drodze powrotnej do Anglii.;

— Ci ludzie będą się powoływali na niejakiego Lope-za "— dodał Henryk. —• To mój zaufany przyjaciel — wyjaśnił.-

Marten zgodził się bez wahania, ponieważ nie przyszło mu do głowy, że „agenci”. Henryka Schultza mogą spełniać jakieś inne zadania i misje poza interesami handlowymi swe-

go mocodawcy. Dopiero o wiele później zrozumiał, a raczej domyślił się, w jaką kabałę mogły go wplątać na pozór niewinne podróże kilku zamożnie wyglądających, solidnych plenipotentów byłego porucznika "Zephyra"?

To odkrycie nastąpiło po wielu bardziej lub mniej pomyślnych wyprawach korsarskich, które Marten przedsiębrał na własną rękę lub wspólnie z kawalerem de Belmont i z Williamem Hoogstone'em, za cichym poparciem pana Roberta Devereux, hrabiego Essex;

Salomon White, teść Hoogstone'a, czuł się za stary, aby dowodzić „Ibexem” zwłaszcza w trudnych warunkach tlejącej nadal wojny z Hiszpanią; Osiągnął zresztą to* czego pragnął w życiu doczesnym, oraz to, co jak mniemał, zapewniało mu zbawienie: stał się człowiekiem bogatym i wysłał do piekła niezliczoną ilość papistów na wieczne potępienie; Oddał więc swój okręt Williamowi, a sam osiadł na południowym wybrzeżu Devonu, aby do końca swych dni wygrzewać się w słońcu, łowić ryby w cichej zatoce i śpiewać psalmy w miejscowym kościele, który wspierał skromnymi datkami jako szanowany i czcigodny kolator.

Co się tyczy Roberta Devereux, ulubieńca królowej, który jednak ustawicznie popadał w konflikty ze swą monarchią, to stał się on teraz wbrew jej woli przywódcą przeciw-hiszpańskiego stronnictwa w Anglii. Za jego to sprawą Francis Drake przedsięwziął nieudaną wyprawę do Lizbony* aby osadzić na tronie portugalskim don Antonia; za jego sprawą nieszczęsny pretendent do korony zagarniętej przez Filipa II pobierał stałą pensję ze skarbu i mieszkał w Eton oczekując pomyślniejszych okoliczności; za jego sprawą wreszcie korsarze angielscy, a w ich liczbie, także Jan Kuna, zwany Martenem, korzystali ze schronienia we wszystkich portach angielskich i w wielu francuskich;

Wojna z Hiszpanią nie płonąła już wielkim pożarem; ciągnęła się raczej siłą inercji, bez nadziei na określone ko-

rzyści dla jednej czy drugiej strony. Lord Cecil dążył do jej zakończenia, a królowa zdawała się przechylać na jego stronę. Natomiast hrabia Essex usposobiony był raczej wojowniczo. Pożądał sławy, a romantyczny i niespokojny temperament popychał go ku wielkiej przygodzie,- Chciał raz na zawsze złamać potęgę Hiszpanii, a dążąc uporczywie do tego celu, nie gardził ani pomocą korsarzy, ani marnym don Anto-niem, który mógł jeszcze odegrać swoją rolę,-

O tej ostatniej sprawie Filip II myślał podobnie, Don Antonio był nędznym pionkiem w tej grze, ale w rękach Essex'a mógł zaszachować króla, a nawet przyczynić się do jego śmierci. Dlatego to krętą drogą z Escorialu do Flandrii, a stamtąd do Calais i do Anglii zaczął się sączyć strumyk hiszpańskiego złota, za które zubożali dworzanie i słudzy don Antonia knuli spisek na życie pretendenta, Część tego strumyka w tajemniczy sposób przeciekała po drodze do kasy znanego z solidności i zamożności bankiera i kupca gdańskiego Henryka Schultza, przebywającego podówczas w swojej londyńskiej filii, w Holborn, a nieświadomym pośrednikiem w owych przeciekach stał się Jan Marten,-

« Najbliższym sąsiadem Schultza w Holborn był doktor Ruy Lopez^ Żyd portugalski, wygnany z ojczyzny przez inkwizycję; Gdy Henryk Schultz zetknął się z nim po raz pierwszy w roku 1593 wskutek niedomagań wątroby, Lopez cieszył się zasłużoną sławą i zamożnością, był bowiem nadwornym lekarzem królowej Elżbiety, do swoich pacjentów zaliczał młodego Ben Johnsona i sir Waltera Raleigha, a dawniej także Walshinghama i Leicesterę,

Henryk za pomocą pochlebstw i cennych upominków zdobył jego przyjaźń i zaufanie, a następnie uczynił zeń parawan dla swych intryg. W domu lekarza zatrzymywali się rzekomi stronnicy don Antonia pozostający na żołdzie

hiszpańskim, a gdy jeden z nich, niejaki Esteban Ferreira, został zdemaskowany przez szpiegów hrabiego Essexu i aresztowany, Schultz wymógł na Lopezie interwencję u królowej celem uwolnienia „niewinnego”.

Lecz Elżbieta odmówiła, a w kilka tygodni później schwytano innego podejrzanego Portugalczyka, Gomeza d'Avila, który dziwnym zbiegiem okoliczności także mieszkał w Holborn, w pobliżu domu doktora.

Gdy d'Avila został zamknięty w Tower i zobaczył izbę tortur, wyznał wszystko, co wiedział o spisku na życie don Antonia, a gdy zaczęto przypiekać go żelazem — dodał jeszcze sporo z własnej fantazji.

Skutek tych zeznań był taki, że z kolei w ręce Essexu wpadł niejaki Tinoco, świeżo przybyły z Calais. Ten miał przy sobie jakieś podejrzaną listy, których treść dotyczyła wprawdzie transakcji handlowych, ale mogła mieć ukryte znaczenie polityczne.

W krzyżowym ogniu pytań Tinoco kłamał jak z nut. Oświadczył, że przybył do Anglii, aby ostrzec hrabiego o uknutym przez jezuitów spisku na życie królowej. Lecz i on ułękł się tortur. Przewieziony do Tower wyznał, że został wysłany do Londynu przez hiszpańskiego gubernatora Flandrii celem porozumienia się z Ferreira i nakłonienia doktora Lopeza, by zgodził się oddać pewną przysługę Filipowi II.

Pewną przysługę! Cóż to mogła być za przysługa?

Essex raz jeszcze rozpoczął śledztwo. W wymuszonych torturami zeznaniach więźniów raz po raz przewijało się nazwisko nadwornego lekarza królowej. W umyśle hrabiego utwierdziło się mniemanie, że Ruy Lopez jest osiá jakiegoś spisku. Czy to był spisek na życie don Antonia, czy też sięgał wyżej ?

Essex zażądał aresztowania Lopeza. Pierwszego stycznia roku 1594 nadworny lekarz Jej Królewskiej Mości Elżbiety

został osadzony w Essex House, a jego dom w Holborn poddano ścisłej rewizji, która jednak nie dała spodziewanych wyników.

Mimo to Henryk Schultz, przerażony takim obrotem sprawy, nagle zjawił się w Deptford i wymógł na Martenie natychmiastową podróż do Calais, ofiarując się pokryć wszystkie jej koszty.

„Zephyr” podniósł kotwicę, wyszedł z portu i nazajutrz przebył cieśninę. Henryk poczuł się bezpieczny; mógł teraz spokojnie oczekiwać dalszego rozwoju wypadków bądź w Amsterdamie, gdzie prosperowała filia jego domu handlowego, bądź też w Brukseli, gdzie zbiegały się nici intryg politycznych, w których brał udział. Marten natomiast, nadal nieświadomy niebezpieczeństwa, powrócił do Deptford, nie wioząc wyjątkowo tym razem na pokładzie, „Zephyra” żadnego z „agentów” swego wierzyciela.

Tymczasem sprawa Ruy Lopeza utknęła w miejscu. Badał go zarówno Essex, jak jego przeciwnik polityczny, sir Robert Cecil, hrabia Salisbury; ale doktor Lopez odpowiadał przytomnie, wyjaśniając logicznie każdą podejrzaną okoliczność. Obaj Cecilowie: Wilhelm lord Burghley i jego syn Robert doszli do wniosku, że jest niewinny, a Elżbieta podzielała ich zdanie.

Gdy Essex zażądał wszczęcia procesu o zdradę stanu, królowa wpadła w gniew. Zarzucała mu, że jest zuchwały i że jego złośliwe, bezpodstawne oskarżenia godzą nie tylko w niewinnego człowieka, który od wielu lat wiernie jej służy[^] lecz także w jej honor. Przypisywała to przeciwhiszpańskie-mu nastawieniu hrabiego, który dokoła widzi tylko spiski i samych szpiegów, a wszystko to dlatego, aby ją skłonić do nowej awantury wojennej. Wreszcie kazała mu odejść nie dopuściwszy go do głosu.-

Essex wyszedł upokorzony i wściekły, ale Ruy Lopez bynajmniej nie odzyskał wolności. Nawet lord Burghley nie

chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za krok tak ryzykowny;

Wszak niedawno za sprawą Filipa zginął Wilhelm Orański, a w parę lat po nim wyklęty przez papieża Henryk III. Na życiu i rządach królowej Elżbiety opierał się cały porządek panujący w Anglii; jej śmierć oznaczałaby przejęcie władzy przez linię katolicką, zupełny przewrót, upadek, może nawet wytepienie ludzi obecnie stojących u steru.-

Hrabia wiedział o tym równie dobrze jak jego przeciwnicy i postanowił doprowadzić sprawę do końca. Nie mógł wprawdzie wbrew rozkazom Elżbiety poddać torturom jej lekarza, a d'Avila zmarł na mękach w Tower, ale pozostawali mu Ferreira i Tinoco. Ich nowe zeznania wymuszone torturami tak dalece obciążły Lopeza, że nawet Cecilowie zostali przekonani o jego winie;

Essex postawił na swoim: zaczął się proces o zdradę stanu — proces, w którym nieszczęsny stary Żyd nie miał prawa do jakiegokolwiek obrońcy i musiał walczyć sam jeden przeciw całemu zastępowi najzdolniejszych prawników i sędziów o sercach z granitu; Była to zaiste nierówna walka, zwłaszcza że według okrutnego prawa żaden człowiek oskarżony o zdradę stanu nie mógł zostać uniewinniony.

Poddał się wkrótce: wyczerpany długim śledztwem, wielotygodniowym więzieniem i straszliwym niepokojem, na bezustannie powtarzane pytanie, czy obiecał hiszpańskim spiskowcom, że otruje królową — odpowiedział twierdząco.

Wyrok zapadł. Ruy Lopez wraz z dwoma nędznikami, którzy złożyli przeciw niemu fałszywe zeznania, został skazany na śmierć według procedury przewidzianej dla zdrajców. Ale Elżbieta zwlekała dłużej niż kiedykolwiek z wydaniem zezwolenia na egzekucję. Dopiero po upływie czterech miesięcy zgouziła się powierzyć tę sprawę katom.-

Henryk Schultz powrócił do Londynu w pierwszych dniach czerwca roku 1594, Wiedział już, że Lopez go nie zdradził, a ponieważ sam bezpośrednio nie miał do czynienia z żadnym spośród pozostałych spiskowców, czuł się względnie bezpieczny. Niepokoiło go tylko jedno: czy który z nich nie wspomniał podczas śledztwa o "Zephyrze"? W ręku zręcznego prokuratora byłaby to nić prowadząca do kłębka..; Zachowując wszelkie ostrożności, przesłał Martenowi wiadomość o swoim powrocie i zaprosił go do Holborn, a gdy Jan przybył tam nazajutrz, przyjął go wystawnym śniadaniem,

Był w świetnym humorze, co zresztą nie rozpraszało melancholijnego wyrazu jego bladej, twarzy o przymrużonych oczach i długim, zaczerwienionym nosie, Z rozmowy, którą skierował na głośny proces Ruy Lopeza, wywnioskował, że nic mu nie grozi, Marten wiedział oczywiście o planowanym zamachu na życie królowej i o wyroku śmierci na zdrajców, ale najwidoczniej nie został w to wmieszany i nie mogło mu nawet przejść przez myśl, aby miał cokolwiek wspólnego z tą sprawą*

Nagłe olśnienie nastąpiło zupełnie przypadkowo, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, którego Schultz nie mógł przewidzieć, Oto w dniu jego powrotu królowa Elżbieta powzięła decyzję o wykonaniu wyroku, a w chwili gdy wraz ze swym gościem zasiadł do stołu i spełniał pierwszy kielich wina, za oknami wszczął się głośny tumult: straż hrabiego Essexu wlokła trzech skazańców przez Holborn.?)

Henryk, powiadomiony o tym przez służbę, zbladł jak ściana, a Marten wybiegł na ganek zobaczyć, co się dzieje,' Przed domem doktora Lopeza stał wysoki dwukołowy wóz drabiniasty, na który wciągano trzech przerażonych, sponiewieranych ludzi. Sześciu konnych pachołków rozpędzało cisnącą się gawieź. Z tłumu leciały kamienie i odpadki, którymi obrzucano zarówno strażników, jak więźniów,*

Marten już miał odwrócić się od tego widowiska, gdy spłoszone konie pociągnęły wóz galopem, a jeden z więźniów zeskoczył i zaczął uciekać. Konni dopadli go prawie natychmiast i po krótkim szamotaniu się obezwładnili akurat na wprost domu Schultza, przed balustradą ganku. Wtedy Jan ujrzał z bliska twarz tego człowieka i wydał cichy okrzyk zdumienia. Poznał go! Spojrzał na dwóch pozostałych. Jeden z nich był starcem o zapadłych oczach i zmierzwionej, siwej brodzie. Ale drugi...; Ten drugi też wydał mu się znajomy.-

Tymczasem Henryk odzyskał panowanie nad sobą i również wyszedł na ganek, aby nakłonić Martena do powrotu. Lecz Jan nie ruszał się z miejsca.

— Słuchaj — powiedział patrząc mu prosto w twarz. •— Kto to jest? Ten stary?

— Ruy Lopez — odrzekł Schultz. — Przecież...;⁷

— Lopez! — przerwał mu Marten. — Lopez! Czy to właśnie on był tym zaufanym przyjacielem, na którego po woływali się twoi agenci?

— Nie krzycz — syknął Henryk ujmując go za ramię. — Wyjaśnij ci..?

Ale Marten szarpnął się w tył, jakby pod dotknięciem żmii.

— Ci dwaj — mówił dalej wskazując ruchem głowy wóz więzienny — odbyli podróż do Calais i z powrotem na „Zephyrze”. Jeden z nich, ten, który przed chwilą próbował uciec, płynął ze mną dwukrotnie. Pamiętam go, bo przechwalał się swoją siłą i nawet wyzwiał mnie na rękę. Pokonałem go zresztą bez trudu. Ale co to ma znaczyć, u diabła?! Mów!

— Może przejdziemy z powrotem do stołu — odrzekł chłodno Schultz. — Przecież nie dajesz mi dojść do słowa.

— Marten uległ tym razem, a Henryk rozwinął całą sztukę

wytrawnego krętacza, aby go przekonać o swej niewinności, co zresztą udało mu się tylko w połowie.

—Jest rzeczą jasną — powiedział na zakończenie, oblizując końcem języka zasychające wargi — że nie było żadnego spisku na życie królowej, choć możliwe, że próbowano namówić Lopeza, aby sporządził truciznę dla zgładzenia don Antonia.-

—Nie było spisku? — powtórzył Jan.

Schultz spojrział na niego z pobłażliwym lekceważeniem.

—To chyba jasne — odrzekł. — Cóż mógłby zyskać Ruy Lopez na śmierci swojej pacjentki? Prawdopodobnie otrzymałby jakieś marne wynagrodzenie od swych mocodawców, lecz straciłby wszystko inne: łaskę królewską, stanowisko i wielkie dochody, nie mówiąc już o tym, że naraziłby się na wielkie niebezpieczeństwo. Sam pomysł takiego oskarżenia byłby dowodem bezdennej głupoty, gdyby nie jego ukryty cel polityczny.

—Jakież to cel? — spytał Marten.

—Rozpalenie na nowo nienawiści do Hiszpanii — odrzekł Schultz. — Essex nie jest głupi; wiedział, jak zabrać się do tej sprawy; król Filip raz jeszcze usiłował zamordować królową Anglii! Oto co myślą jej poddani, zarówno ci, którzy rządzą, jak ci, którzy są rządzeni;

Marten nie mógł się oprzeć logice tych wywodów, ale miał jeszcze niejaki wątpliwości. Proces, zeznania oskarżonych, dowody ich winy..;

Henryk wyśmiał go. Dowody? Zeznania? Od tego są przecież tortury! Jan powinien by o tym wiedzieć!

Poniewczasie pożałował tych słów: Marten widocznie zrozumiał daleką aluzję. Aluzję do procesu swej matki oskarżonej o czary i babki za to samo spalonej na stosie..-;

To był błąd z mojej strony — myślał Schultz. ~ Nie należy mu o tym przypominać, nawet po tylu latach. Ani o tym, ani o ścieciu Karola Kuny. Trzeba, żeby zapomniał,

jeśli moje plany kiedykolwiek mają się ziścić. On musi wrócić do Gdańska. Wraz z „Zephyrem”. Z moim „Zephyrem”. Ale na to, żeby wrócił, musi zapomnieć,

Tymczasem otoczony eskortą wóz z trzema skazańcami wjechał na plac kaźni w Tyburn, gdzie oczekiwały go tłumy spragnione krwawego widowiska. Lopezowi, który mimo żydowskiego pochodzenia był praktykującym chrześcijaninem, pozwolono zmówić pacierz u stóp szubienicy, Gdy skończył, powstał i spróbował przemówić do tłumu.

— Przysięgam — zawołał — że kocham królową bardziej niż pana naszego Jezusa Chrystusa!

To było jednak wszystko, co zdołał powiedzieć; zagłuszył go wrzask i śmiech gawiedzi, a pomocnik kata zawlókł go na platformę pod szubienicą i założył mu stryczek na szyję. Kat pociągnął za sznur, lecz — zgodnie z okrutnym prawem — odciął wisielca, zanim ten skonał. Nastąpiła teraz kastracja, wyprucie wnętrzości i ćwiartowanie ciała, które jeszcze drgało resztkami życia^

Następny z kolei był Ferreira, po nim Tinoco, siłacz, który wyzwalał na rękę Martena. Ten usiłował walczyć do końca; Słyszał wycie i jęki swych poprzedników, widział tryskającą krew i wszystkie straszliwe szczegóły ich mękt Bronił się nogami i zębami, ponieważ miał związane ręce, a gdy na pół uduszony runął na ziemię po przecięciu stryczka, na którym zawisł, zerwał się natychmiast i zdołał oswobodzić dłonie. Tłum podniecony takim obrotem sprawy przerwał kordon i obiegnął podwyższenie, a Tinoco rzucił się na kata i chwycił go za gardło, Byli jednakowego wzrostu, obaj krzepcy i zręczni, ale rozpacz dodawała sił skazańcowi. Może pokonałby swego oprawcę, lecz dwaj pachołkowie skoczyli słabnącemu na pomoc. Tinoco otrzymał z tyłu cios w głowę, który go ogłuszył, po czym sprawiedliwości stało

się zadość: wykastrowano go, wypruto mu wnętrzności i po-
ćwiartowano umęczone ciało

Cel, o którym mówił Henryk Schultz, został osiągnięty; Nienawiść do Hiszpanów rozgorzała w całej Anglii, a Ruy Lopez —■ niewinna jej ofiara — stał się w oczach społeczeństwa uosobieniem wstrętnych hiszpańskich intryg. Śpiewano ballady o jego podłej zdradzie i haniebnej śmierci, po stokroć mordowano go na deskach wędrownych teatrów, straszono nim krnąbrne dzieci.-

Lecz nie tylko lud angielski pragnął zemsty na Hiszpanach. Hrabia Essex wysłał posłów do króla Francji Henryka IV i do stadhoudera * Zjednoczonych Prowincji Niderlandów, Maurycego Orańskiego, aby ich skłonić do wspólnej akcji zbrojnej przeciw Filipowi. Nad Hiszpanią gromadziły się chmury wojenne, a piorun już wkrótce miał uderzyć;

Część druga

Maria Francesca

Jesień niezwykle urodzajnego roku 1595 nie chciała ustąpić miejsca zimie. Była słoneczna i upalna. W październiku zakwitły powtórnie drzewa i krzewy owocowe, a jeszcze do połowy listopada trwała letnia pogoda.

Ten rok, obfitujący w zbiory, okazał się również pomyślny dla Martena. Załoga „Zephyra” zebrała bogate żniwo już na początku lata, zdobywając abordażem statek hiszpański i „Carmona”, który z Moluków zdążył do Sewilli z ładunkiem goździków i cynamonu. Stało się to w nocy, niemal przy samym ujściu Gwadalkiwiru, a odbyło się tak szybko i sprawnie, że w San Lucar dowiedziano się o rabunku dopiero wtedy, gdy „Carmona” weszła do portu o połowę lżejsza i całkowicie rozbrojona.

Marten nie mógł jej zabrać do Anglii, ponieważ była zbyt powolna, odholował ją więc o kilkanaście mil na północ, rzucił kotwice na płytkich wodach w pobliżu pustynnego brzegu Arenas Gordas i tam przeładował na „Zephyra” tyle, ile mogły pomieścić jego ładownie. Resztę wspaniałomyślnie pozostawił Hiszpanom, zatapiając tylko ich działa i wszelką broń palną;

Następną wyprawę przedsięwziął w cztery miesiące później, wspólnie z Ryszardem de Belmont i Williamem Hoogstone'em. Napadli wówczas na Ciudad Vianna, miasto okręgowe w najbogatszej prowincji portugalskiej Entre-Minho-e--Duero, położone u ujścia rzeki Limia do Atlantyku. Mieszkańcy Vianny nie próbowali nawet stawiać oporu i wykupili się okrągłą sumą dwudziestu tysięcy dublonów*.• Bronił się natomiast zamek Castello da Insua y Vianna, w którym odbywały się uroczystości weselne hidalga Gonzalesa y Dias Tunona z córką kasztelana da Insua. % powodu owych uroczystości na zamku przebywało wiele bogatych rodzin hiszpańskich i portugalskich z okolicznych okręgówAV i prowincji, a waleczni caballeros nie chcieli się poddać.

Mimo to Belmont zdołał sforsować bramę wjazdową i nawet wtargnąć do sali biesiadnej na parterze. Zapewne opanowałby cały zamek, gdyby nie odsiecz przybyła obrońcom z pobliskiej La Guardii. Pod naporem regularnych oddziałów wojska musiał się cofnąć, i to dość spiesźnie, ponieważ od południa, z Oporto, wyruszyła przeciw korsarzom flotylla hiszpańskich okrętów wojennych, aby odciąć im odwrót;

Na szczęście dla Ryszarda, Hoogstone dostrzegł je dość wcześnie i w porę zaalarmował oblegających. Belmont zdążył zabrać z zamku kosztowną zastawę srebrną i nieco klejnotów oraz uprowadzić branke, jedną z druhen panny młodej, po czym „Zephyr”, „Ibex” i „Toro” pod wszystkimi żaglami odpłynęły na pełne morze i znikły z oczu ścigających je Hiszpanów.

Łupy zdobyte przez kawalera de Belmont nie były wprawdzie tak cenne jak okup złożony przez Ciudad Vianna, ale Ryszard wydawał się z nich zupełnie zadowolony, zwłasz-

cza że spodziewał się również okupu w gotówce za uprowadzoną senoritę.

Ani Marten, ani Hoogstone nie zamierzali zaprzeczać jego wyłącznych praw do owej branki, ale obaj pragnęli ją zobaczyć, ponieważ ludzie z załogi „Toro” opowiadali cuda o jej urodzie. Tymczasem Belmont zamknął ją w swojej kajucie i najwidoczniej nie miał zamiaru popisywać się przed nimi tą zdobyczą.-

Marten nie zobaczył jej także po przybyciu do Londynu, co tym bardziej go intrygowało, że Ryszard nigdy dotąd nie ukrywał przed przyjaciółmi tego rodzaju skarbów — owszem, pysznił się nimi i nawet chętnie je odstępował, gdy zaczynały go nudzić.

Mogły być tylko dwie przyczyny takiej zmiany jego postępowania: albo branka okazała się istotnie osobą bardzo wysokiego rodu, co do czasu zakończenia pertraktacji z jej rodziną i otrzymania okupu bezpieczniej było utrzymywać w zupełnej tajemnicy, albo też będąc tylko zwykłą szlachcianką, nie uległa uwodzicielskim zabiegom swego Parysa i pozostawała z nim na stopie wojennej, czego nie chciał ujawniać.

To drugie przypuszczenie było bardziej prawdopodobne; w każdym razie plotki powstałe wśród służby, a następnie krążące wśród przyjaciół i znajomych kawalera de Belmont zdawały się je potwierdzać. Młodziutka donia Maria skutecznie jakoby broniła swej cnoty w oczekiwaniu na wynik rokowań pomiędzy swą rodziną i narzeczonym a Belmontem; ten ostatni zaś nie posunął się do gwałtu, jakkolwiek nic nie wskórał umizgami i galanterią.-

Prawda jednak leżała pośrodku, a Marten dowiedział się o niej częściowo od Piotra Carotte'a, który wraz z Henrykiem Schultzem pośredniczył bardzo okrężną drogą w targach o wysokość okupu.

Schultz w takich sprawach umiał zachować zupełne mil-

czenie* ale Piotra tak świerzbił język, że podczas jakiejś wspólnej hulanki w oberży Dioky Greena w Deptford wypaplał wszystkie szczegóły: Uczynił to zresztą jak zwykle w sposób zabawny* opowiadając z werwą i humorem o perypetiach Ryszarda, jakby sam był ich świadkiem.- Niewątpliwie pragnął oddać Martenowi przyjacielską przysługę, może nawet za milczącą zgodą Belmonta, ale był przy tym trochę pijany, bo działo się to już nad ranem, po spełnieniu licznych toastów, kiedy połowa uczestników przeciągającej się wiecezry chrapała pod stołem. Zapewne dlatego powiedział mu nieco więcej, niż Belmont mógłby sobie życzyć. Marten dotrzymywał mu placu i sam był niezwykle rozmowny; Wspominał ostatnią wyprawę i chlępił się swym powodzeniem, które pozwoliło mu spłacić pożyczkę zaciągniętą u Schultza. Carotte słuchał tego jednym uchem;

— Uniknąłeś zatem wszelkich kłopotów ~ powie działo. ~ Natomiast Ryszard ma ich co niemiara; Ah, les f emmes! — westchnął. — Elles savent s'y prendre pour vous empoisonner la vie...* Ta mała Maria na przykład..:

Pociągnął tęgi łyk wina i natychmiast podsunął! opróżniony kubek w stronę pełnego dzbana, przy którym siedział senny Hoogstone;

— Nalej, przyjacielu — rzekł trącając go łokciem. — Trochę mi zaschło w gardle. On ne jacasse pas au gueule aride!**

Hoogstone trochę się zdziwił, że można mieć „suchy pysk” po wypiciu takiej ilości porto, ale zastosował się do tego żądania, Piotr zaś mówił dalej:

— Nie wiem, czy zauważyliście, że Ryszard odniósł lekką ranę podczas wyprawy na Castello da Insua; Nie? Nic w tym dziwnego, że się nią nie chwalił, bo nie pochodziła

bynajmniej od miecza, tylko od paznokci Marii. Podrapała go w jego własnej kajucie! Musiał być nieco zawiedziony taką jej reakcją, ponieważ mniemał, że po wszystkich walecznych czynach, jakich dokonał, aby ją uprowadzić, należałoby przejść do scen bardziej sentymentalnych, choćby dla samej zmiany tematu. Mais hélas! Les femmes ne sont ja-mais contentes pleinement...*

—• Spojrzał spod oka na Martena i dodał: — Ona dotąd jest niezadowolona, jakkolwiek Ryszard poprzestał na tej jednej próbie i zawarł z nią coś w rodzaju rozejmu — un armistice.,,;

—Może właśnie dlatego!

—Z pewnością nie! — odparł Carotte. — Głównym powodem dąsów pięknej Marie jest zwłoka w rokowaniach o okup. Ojciec panny przebywa na Jawie, a więc dość daleko stąd, a jej narzeczony, który jest twoim dobrym znajomym, chronicznie cierpi na brak gotówki,

—Któż to taki? — zapytał Marten^

—Senor Blasco de Ramirez — odrzekł Piotr z niewinną miną.-

Marten gwizdnął przez zęby, ale Carotte nie poprzestał na tej rewelacji; miał w zapasie jeszcze bardziej nieoczekiwane i niezwykle;

— Może cię to zainteresuje — powiedział opuszczając do połowy powieki, co nadawało mu wyraz naiwności i skromności — że, jeśli wierzyć Ryszardowi i Henrykowi, miałeś także do czynienia z szanownym dziadkiem seniority Marii oraz z jej piękną mamusią, która zresztą obecnie towarzyszy swemu mężowi na Jawie,-

—Ja? — zdumiał się Marten. — Do czynienia?

—Tak — skinął głową Piotr. — Oczywiście musiała tam być kobieta! Piękna kobieta, która w każdej awanturze jest równie konieczna jak sól w kuchni. Ta zresztą posiadała

wszystko, czego potrzeba, aby się o nią pozabijał cały pułk takich galantów, jak ty i Ryszard. Nie chcę przez to powiedzieć, że istotnie doszło do jakiejś zwady między wami, mais tout de raeme.,.*

—Może mi wreszcie powiesz, jak się nazywa cała ta rodzina? — roześmiał się Marten.

—Le grand-pere ** nazywa się Juan de Tolosa, jego córka — Francesca de Vizella, a wnuczka — sefiorita Maria Francesca de Vizella — odrzekł jednym tchem Carotte. — Przed szesnastu laty zagarnąłeś ich troje wraz z portugalskim statkiem „Castro Verde”, na którym uwięziony był Ryszard de Belmont.

—Pamiętam! — wykrzyknął Jan. — Ale, u licha, nie było tam żadnej Marii.

—Była — odparł Piotr. — Tylko nie zdążyła się jeszcze urodzić. Ma teraz lat szesnaście.

Marten przeliczył w myśli owe lata;

—Zgadza się — przyznał, — Ale skąd, u diabła, wiesz o tym wszystkim?

—Dobry Bóg zaopatrzył mnie w nos — odrzekł Piotr. — W nos, który służy do węszenia. Jeśli zaś węszy się z należyтым uporem dla zaspokojenia własnej ciekawości, zawsze coś w końcu się znajdzie. No, a gdy to coś okaże się młodziutką, piękną dziewczyną...-

—Wygląda na to, że sam się w niej zadurzyłeś — zauważył Marten.-

—Ba, gdybym był w twoim wieku! — westchnął Carotte.

—Jesteś chyba niewiele starszy od Ryszarda.

—Jestem zapewne rówieśnikiem Blasco Ramireza. O ile pamiętam, masz z nim pewne porachunki..;

— Nie trzeba mi ich przypominać — powiedział Marten porywczo. — Ten tchórz wymyka mi się raz po raz, ale prędzej czy później rozprawię się z nim po swojemu;

Carotte okazał lekkie zniecierpliwienie: Jan złościł się i nie rozumiał, o co chodzi.

— Przyszło mi na myśl — rzekł z niejakim wahaniem ■ — że mógłbyś przy okazji odpłacić również panu de Tolosa.;;

Marten wybałuszył na niego oczy, lecz po chwili błysk zrozumienia zaświtał mu w głowie. To przecież było jasne i proste: gdyby Maria była w jego mocy, zarówno Ramirez, jak Tolosa musieliby przyjąć wszelkie warunki! Mniejsza zresztą o Tolosę, miał teraz pewnie ze sto lat. Ale Ramirez! Ramirez, narzeczony Marii de Vizella, nie mógłby wykręcić się od spotkania z bronią w rękę!

— Cóż, połapałeś się wreszcie? — spytał Piotr.

Marten spojrział na niego spode łba i nagle roześmiał się;

— Jesteś najlepszym z przyjaciół — powiedział. — Ale co zrobimy z Ryszardem?

Carotte wzruszył ramionami;

— To już twoja sprawa. Jesteś z nim w bardziej zażyłych stosunkach niż ja. Mogę ci tylko tyle powiedzieć, że Ryszard nie jest zachwycony ani uporem Marie, ani zwłoką w rokowaniach o okup, którego wysokość z pewnością będzie znacznie mniejsza, niż się początkowo spodziewał.

— Rozumiem — odrzekł Jan. — Pojadę do niego;

. Kawaler Ryszard, de Belmont mieszkał w wynajętym domu z ogrodem w pobliżu Kensingtonu. Ów dom, wzniesiony przez budowniczego, który widocznie uwielbiał wzory podmiejskiej architektury liverpoolskiej, odznaczał się na zewnątrz wybitną brzydotą; natomiast duży ogród — raczej

park ciągnący się za nim ~ był piękny i starannie utrzymany;

Marten przybył tam usposobiony bardzo wojowniczo* ponieważ rozpatrzywszy na trzeźwo postępowanie Belmonta doszedł do wniosku, że Ryszard okazał się wobec niego nie- lojalny, ukrywając pochodzenie swej branki oraz fakt, iż Blasco de Ramirez był jej narzeczoną?

— Prawdziwy przyjaciel nie postępuje w ten sposób — oświadczył wyłożywszy to, czego dowiedział się od Carotte'a;

Kawaler de Belmont poczuł się nieco dotknięty, nie tyle treścią, ile tonem tej wypowiedzi. Wyprostował się w trzcinowym fotelu, na którym siedział w cieniu drzewa, podczas gdy Marten chodził tam S z powrotem po trawniku, raz po raz zatrzymując się przed nim i przemawiając doń podniesionym głosem;

— Doprawdy? — spytał ironicznie; — I dlaczegóż to?

— Dłatego — odrzekł Jan — że szczerą przyjaźń nie chwieje się pod wpływem pierwszej lepszej spódniczki. Chyba że...:

— Że co? — spytał znów Ryszard wstając-

— Chyba że blizny po paznokciach na twarzy odpowiadają podobnym bliznom w sercu — roześmiał się Marten z przymusem;

De Belmont uśmiechnął się również, ale nie był to uśmiech wesoły, a w jego słowach zmów zabrzmiała ironia.

— Nie jestem ani tak romantyczny, ani tak kochliwy, jak ty — powiedział. — Mógłbym ci przypomnieć czasy, w których sam zaniedbywałeś przyjaciół dla pewnej spódniczki lub raczej może dla pewnego saronga ukrywającego powabne kształty indiańskiej piękności. Nie miałem o to do ciebie urazy, choć z jej powodu omal nie zostałeś kacykiem Amaha — dodał pogardliwie;

Ten cios był celny: Marten poblądł z gniewu i odruchowo położył dłoń na głowni rapiera.

—Gdybym to usłyszał od ciebie w innym miejscu —' powiedział zduszonym głosem — dałbym ci odpowiedź za pomocą tej klingi.

—Służę ci •— skłonił się Ryszard. — Wydaje mi się, że ten ogród jest miejscem równie stosownym, jak każde inne? Jeśli życzyś sobie mieć świadków.?:? — obejrzał się w stronę domu i urwał.

Marten poszedł za jego spojrzeniem i zobaczył piękną dziewczynę wspartą łokciami na poręczy balkonu. Nie wątpił ani przez chwilę, kim jest to urocze zjawisko w powiewnej sukni z białego jedwabiu, choć nie mógł mu się lepiej przyjrzeć, kawaler de Belmont podjął bowiem przerwana myśl S wskazując mu strzyżony gazon pod gankiem, powiedział głośno:

—Moglibyśmy poprosić Marię Franceskę na świadka tego spotkania*

—Jeśli się zgodzi..-? — mruknął Martetn zrzucając kaftan i odwijając rękawy koszuli,

—Przypuszczam, że tak — odrzekł Ryszard, po czym stanąwszy pośrodku trawnika zwrócił się wprost do niej: — Seniorita, przedstawiam ci kapitana Martena* o którego walczności i rycerskości słyszałaś nie tylko ode mnie?

Maria Francesca potwierdziła ten anons lekkim skinieniem głowy i zerknęła ciekawie na groźnego korsarza, który patrzył na nią chmurnym wzrokiem?

— Kapitan Marten — ciągnął dalej Ryszard nieco przesadnym, na pół ironicznym tonem — jest spragniony twego towarzystwa, i to tak dalece, że każdą aluzję o jakiegokolwiek innej damie w twojej obecności poczytuje sobie za obelgę. Ponieważ miałem nieostrożność wspomnieć jedną z nich, pożąda mojej krwi i pragnie ją wytoczyć w twoich oczach. Oczywiście będę się bronił i proszę cię, seniorita, w imieniu własnym oraz w imieniu kapitana Martena, abyś zechciała

osądzić, czy walka odbywa się według wszelkich honorowych prawideł i zasad.

Skłonił się, a gdy Maria znów przyzwalająco skinęła głową, wyciągnął szpadę z pochwy i skłonił się powtórnie — najpierw senori-cie de Vizella, potem Martenowi, który uczynił to samo dobywając swego rapiera.

Zmierzyli się wzrokiem. Belmont z ironicznym uśmiechem, Marten z twarzą nabiegłą krwią od miotającego nim wzburzenia spowodowanego drwinami przeciwnika.

Jan natarł pierwszy, z impetem, który zmusił Ryszarda do uskoczenia w tył. Rapier zafurczał dwiema fintami * pozorującymi cięcie w szyję i w prawy bok, po czym błysnął nad głową kawalera de Belmont i trafił na paragę; stal zgrzytnęła o stal. Belmont pokazał zęby w uśmiechu-, ale nie odpowiedział atakiem na atak; ugiął tylko trochę bardziej nogi w kolanach, jakby przygotowując się do riposty. Wtedy Marten natarł znowu i znów jego rapier natrafił na szybką zasłonę. Ale tym razem odpowiedź nastąpiła błyskawicznie: Belmont z tercy zamarkował przejście do kwarty, jak do pchnięcia w gardło, lecz ominął paragę Martena ciałnym młyńcem nad jego głową, aby ciąć go w prawy policzek.

Nie udało mu się: Jan był czujny i zwinny jak żbik; wystarczył krótki ruch jego dłoni i szpada dźwięknęła o klingę rapiera.

Teraz Ryszard musiał wyżyć całą swą zręczność i umiejętność władania bronią, aby nie ulec gwałtownemu natarciu przeciwnika. Marten następował zaciekłe, a jego ciosy i pchnięcia sypały się jak grad.

Belmont cofał się. Nie miał czasu na ripostę. Wiedział,

że nie zdąży cię skutecznie i pewnie, nie odsłaniając się bodaj na mgnienie oka, ale wiedział również, że wówczas cios Jana uprzędzi go z pewnością. Cofał się więc nadał i czekał sposobnej chwili.

Wtem potknął się i przyklęknął, aby nie upaść.

Koniec! — przeleciało mu przez głowę.

Usłyszał świst rapiera, ale klinga nie musnęła go nawet: Marten w ostatnim ułamku sekundy zdołał zwichnąć luk młyn ca, aby go nie zranić.

Ryszard zerwał się natychmiast i z galanterią złożył mu salut szpadą.

Zaledwie stanął w pozycji prima, Jan znów zaatakował, lecz chybił o cal. Ten drobny błąd wystarczył jednak Bel-montowi. Koniec jego szpady rozciął rękaw śnieżnobiałej koszuli Martena i zabarwił go krwią.

Było to tylko draśnięcie niewarte skrzywienia ust, a Jan bynajmniej nie uznał się za pokonanego i już chciał zaatakować ponownie, gdy z balkonu rozległ się rozkazujący głos seniority:

— Arretez-vous, caballeros! Cela suffit! *

Belmont usłuchał natychmiast i opuścił szpadę salutując nią pięknego arbitra, a potem, wsunąwszy klingę do pochwy, zwrócił się do Martena z wyciągniętą dłonią.

— Mam nadzieję, że nie bardzo się gniewasz? — zapytał z ujmującym uśmiechem. — Miałeś sposobność nadziać mnie na ten piekielny rożen, co nie byłoby wcale zabawne. Ale skoro tego zaniechałeś..;

Jan wzruszył ramionami, ale podał, mu rękę przelożywszy rapier do lewej.

— Nie miałem zamiaru cię zabić — odrzekł na pół już ułagodzony i skłonny do zgody. — Nie mam zwyczaju ko rzystać z tego rodzaju sposobności;

— Schowaj zatem swój szpikulec — powiedział Ry szard — i pozwól ujawnić się samarytańskim pierwiastkom w charakterze Marii. Nie wątpię, że je posiada, ponieważ jest bardzo pobożna, a wszak Pismo Święte zaleca opatrywać rannych, nawet wrogów..; Może się mylę, ale w każdym razie jest tam coś o miłosierdziu i o nieprzyjaciółach,;

Maria Francesca śpieszyła już z opatrunkiem, a Marten poddał się jej zabiegom trochę zmieszany i niespodzianie dla siebie samego — wzruszony.

— Kto by pomyślał! — westchnął Belmont przyglądając się temu z uśmiechem.- — Kto by pomyślał, że to dra pieżne stworzenie potrafi zdobyć się na tyle delikatności i słodczy! Bon Dieu *, czemu ten nicpoń nie wyprul mi flaków!

Na kilka dni przed spotkaniem Martena z Piotrem Ca-rotte'em w obozisku Dicky Greena Maria Francesca de Vizella miała szczególnie silny ^,atak pobożności", jak jej praktyki religijne określał sceptyk i niedowiarek Belmont. Klęcząc w swojej sypialni, której drzwi zamykała na zasuwę w prze-1

sądnej obawie przed natarczywością Ryszarda, zaklinała Madonnę z Alter do Chao, by rozkazała Janowi Martenowi przybyć do domu kawalera de Belmont. Ale polecając tak gorąco tę sprawę Najświętszej Pannie, miała przecież oczy i uszy dość czujnie otwarte, aby nie tylko wypatrzeć Carotte'a, lecz także podsłuchać jego rozmowę ze swym wytwornym ciemię-żwcielem, a wreszcie oczarować poczciwego kapitana i skłonić go do działania;

O Janie Martenie słyszała niejedno, będąc jeszcze dzieckiem. Głównym źródłem tych informacji była jej młoda i ładna piastunka Joanna, dawna prima camerista pani de Vizella, zdegradowana wskutek niełaski swego chlebodawcy do roli niańki. Gdy Joanna mówiła o Martenie, jej aksamitne czarne jak noc źrenice wilgotniały, a głos drgał wzruszeniem, ów dziki rozbójnik i prostak, wspomniany czasem z pogardą przez panią de Vizella, przybierał postać młodego rycerza o szlachetnym sercu i gorącej krwi, rycerza* któremu nie zdołałaby się oprzeć żadna kobieta. Był bogaty jak król, wolny jak orzeł, odważny jak lew. Drwił ze śmierci, której zaglądał w twarz, wzbudzał popłoch wśród swoich wrogów, a miłość wśród przyjaciół. Był przy tym wspaniałomyślny i szczodry.;

Mała sefiorita wolała wierzyć Joannie i zachowała ten obraz w pamięci. Gdy zaręczono ją z Blasco de Ramirezem, często myślała o swym nieznanym narzeczonemu w podobny sposób, wyobrażając go sobie na wzór owego rycerza, ponieważ Blasco też był kapitanem wspaniałego okrętu i także walczył na morzu.

Ujrzała go dopiero ukończywszy lat piętnaście i trochę się rozczarowała. Ramirez nie był piękny, miał małe, biegające oczy i wąskie zaciśnięte usta pod kręconymi wąsami, które pachniały słodkawą pomadą, tak samo jak jego miękka, czarna bródka i przeredzone włosy. Wydał jej się stary, w każdym razie znacznie starszy', niż sobie wyobra-

żała. Minął już czterdziestkę i pierwsze zmarszczki osiadły mu na twarzy;

Powitał ją — tak jak czynił wszystko — nieco hałaśliwie, szybko i nerwowo. Można było przypuszczać, że podlega nieustannej irytacji z powodu nienadążania otaczających go zjawisk fizycznych za własnymi myślami. Jego sposób mówienia był wybuchowy, prędko i zwięzły, a krótkie zdania grzmiały jak salwy działowe. Gdy słuchał czyichś wywodów, czynił to z uprzejmie hamowaną niecierpliwością. Wydawało się, że odgaduje myśli swego rozmówcy i ma na nie gotową odpowiedź.

Zapewnił Marię, że uczyni ją szczęśliwą, wypowiedział parę komplementów i ofiarował jej złotą szkatułkę z pa-chnidłami, po czym rozmawiał już tylko z jej ojcem, Emi-liem de Vizella. W ciągu następnego roku jego wizyty nie były częste, ale zainteresowanie narzeczoną wzrastało, w miarę jak z pączka rozwijała się w niezwykle piękny kwiat. Świetny komandor eskadry ciężkich karawel Jego Królewskiej Mości Filipa II był niemal zakochany i starał się to okazać, nie wątpiąc, że zyskał wzajemność Marii Franceski. Ona zaś przyjmowała jego hołdy łaskawie i życzliwie, może głównie dlatego, iż żaden z młodych szlachciców z okolicy nie dorównywał mu wojenną sławą i stanowiskiem.

Ślub miał się odbyć w zimie, po adwencie, w którym to czasie oczekiwano przybycia do Lizbony jego ekscelencji Emilia de Vizella z małżonką; ostatnie miesiące panieństwa senorita spędzała w dobrach swego dziadka nad Limią; los zrządził, że jako drużna jednej ze swych rówieśnic znalazła się w Castello da Insua y Vianna w dniu napadu Belmonta na ten zamek.

Zostawszy branką korsarza, bynajmniej nie upadła * na duchu i nie oddała się rozpacz. Była dumna i odważna, jak jej matka, a przy tym romantyczna. Z początku napaść na zamek, strzelanina i nawet walka wręcz na sali biesiad-

nej oraz uprowadzenie na pokład „Toro”⁴ zdały jej się podniecającą przygodą. Oczekiwała zakończenia, które przecież musiało выпаść według niezmiennych kanonów obowiązujących w romansach: przybycia floty hiszpańskiej pod dowództwem Blasco de Ramireza, bitwy morskiej, zwycięstwa nad rozbójnikami. Tymczasem nic podobnego nie nastąpiło, natomiast w kilka godzin później do kajuty, w której była zamknięta, wszedł wytworny, bogato ubrany caballero, ^{AV} którym zaledwie poznała dzikiego salteadora, co z twarzą osmaloną i skrwawioną szpadą wdarł się na czele swych bravi do komnat zamku.

Raczyła go zauważyć, ale nie odpowiedziała na jego dworny ukłon, a gdy się jej przedstawił i zaczął mówić, przerwała mu w połowie pierwszego zdania. Żądała, by niezwłocznie ją uwolnił i odesłał z powrotem do Castello da Insua.

Odrzekł, iż pod pewnymi warunkami uczyni to z pewnością, lecz na razie musi wstąpić do Londynu, a nie chcąc rezygnować ani na chwilę z towarzystwa tak powabnej osoby, prosi ją na obiad przygotowany w sąsiedniej kajucie.

Maria była głodna, ponieważ atak na zamek nastąpił tuż przed śniadaniem, ale oświadczyła, że nie poniży się do spożywania posiłku z piratem i mordercą, który nie dostąpiłby nawet zaszczytu pasania świń u jej ojca.

Ta niezasłużona obelga wyprowadziła Ryszarda de Belmont z równowagi. Zapragnął natychmiast uprzytomnić pannie de Vizella, iż może z nią uczynić, co zechce, nawet jeśli w jej mniemaniu nie jest godny zostać świniopasem don Emilia.

Skończyło się to jednak raczej niesławnie: za jeden wymuszony pocałunek Ryszard zapłacił trzema głębokimi za drapaniami na policzku i wypadł z kajuty wściekły zarówno na senoritę, jak na siebie samego; _____

Madonna z Alter do Chao okazała się godna pokładanego w niej zaufania: przy niejkiej pomocy Piotra Carotte'a nakłoniła Martena — legendarnego rycerza z opowieści Joanny — aby przybył do Kensington i upomniał się o uciśnioną cnotę.

Był zaiste wspaniałym mężczyzną, znacznie młodszym od Ramireza, a także od kawalera de Belmont, przy czym odznaczał się niezwykle urodą. Gęste, ciemne, lekko sfalowane włosy opadały mu na kark, regularne łuki brwi rozpinaty się pod szerokim czołem jak skrzydła sokole, a w chmurnej, opalanej na brąz twarzy jaśniała para niebieskich oczu jak dwa wielkie chabry wśród dojrzałej pszenicy. Gdy przenikliwe spojrzenie tych bystrych oczu spoczęło na Marii, serce jej uderzyło mocniej, a policzki i szyję objął ciepły rumieniec.;

Nie zrozumiała ani słowa z burzliwej rozmowy, jaka toczyła się pomiędzy Janem a Ryszardem po angielsku, lecz instynkt mówił jej, że chodzi o nią. Toteż przemówienie Belmonta skierowane do niej po francusku niezbyt ją zaskoczyło. Za to pojedynek, którego była świadkiem i arbitrem, zapierał jej dech w piersi. Modliła się do swojej patronki o zwycięstwo Martena, a kiedy Belmont upadł, była niemal pewna, że skończy się to jego śmiercią. Ale Madonna z Alter do Chao miewała swoje kaprysy i nie wysłuchała jej tym razem. Co prawda była to po części wina błękitnookiego rycerza, który okazał się na tyle niemądry, że oszczędził swego przeciwnika. Został zresztą za to ukarany, zapewne również za sprawą Madonny, która, być może, rozgniewała się na niego za zlekceważenie wymodlonej sposobności.

Taki obrót sprawy przestraszył senioritę; mogło się zdarzyć, że kawaler de Belmont zabije Martena, a wówczas... Nie! Nie powinna do tego dopuścić! Była przecież jedynym arbitrem tej walki. Skorzystała ze swej roli, aby zapobiec

dalszemu rozlewowi krwi, po czym pobięła opatrzeć ranę szlachetnego rycerza;

^Przemówiła do niego po francusku, w błędnym mniemaniu, że nie włada hiszpańskim. Marten odpowiedział jej dość składnie, z uśmiechem na dużych, wesołych ustach, ocienionych niewielkim wąsem. Nachwytał się trochę francuszczyzny, ale wymawiał francuskie zdania z wymuszoną dokładnością, jakby prowadził siebie za język, z obawą, że lada chwila się potfknie. Toteż zaraz porzucił tę gimnastykę i przeszedł na hiszpański, co seniorita przyjęła z widocznym zadowoleniem;

Ich oczy spotkały się kilkakrotnie, a Jan za każdym razem doznawał niezwykłego wzruszenia. Maria Francesca była podobna do matki, a zarazem jeszcze bardziej niż pani de Vizella przypominała mu pierwszą kochankę* Elżę Lengen; Może przyczyniały się do tego jej bujne, złotorude włosy, które upinała wysoko z tyłu głowy na kształt greckiego węzła. Natomiast oczy miała orzechowe, żywe* o zmiennym wyrazie, zdolne patrzeć dumnie i odpychająco, lecz z pewnością także uwodzicielsko i łagodnie. Równe, kształtne zęby, białe jak mleko i lśniące jak perły, ukazywały się przy każdym uśmiechu pełnych ust barwy dojrzewających malin. Poruszała się z naturalnym wdziękiem i swobodą, a jej smukła postać o długich nogach, szczupłych biodrach i stromo zarysowanych piersiach przywodziła na myśl Dianę, boginię łowów i nocnych czarów;

Przewiązawszy ramię Martena, raczyła wreszcie dostrzec również Ryszarda, który świdrował ją wzrokiem z ironicznym skrzywieniem warg;

— Skończyłaś, Marie? — zapytał i nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Martena po angielsku: — Myślę, że moglibyśmy teraz porozmawiać po przyjacielsku przy szklance wina, tak jak dawniej;

— Chętnie — odrzekł Jan. — Przyszedłem tu w/tym celu,

Maria Francesca domyśliła się znaczenia tych kilku słów. Nie wiedziała, co sądzić o tak szybko Zawartej zgodzie dwu przeciwników.

Czy nie popełniła błędu przerywając ich pojedynek? Czuła, że nie powinna spuszczać z oczu Martena. Obawiała się, że jeśli teraz nie zdoła pozyskać go sobie całkowicie, może stracić wyjątkową sposobność. Nie mogła pozwolić, aby się prozumieli poza nią.

—Chcę także wypić kieliszek wina — powiedziała głośno.

—To doprawdy bardzo ładnie z twojej strony, *seno-rito* — skłonił się Belmont. — Przypuszczam, że Jan będzie zachwycony.

Marten potwierdził to mniemanie. Wydało mu się, że pochwycił znaczące spojrzenie Marie, która teraz wyprzedziła ich i zaczęła wstępować na schody tarasu;

Szli za nią ramię w ramię, nie patrząc na siebie i milcząc. W drzwiach do jadalni Belmont przepuścił Martena przodem, po czym klasnął w dłonie, a gdy zjawił się służący, Murzyn, kazał podać wino i jakąś zimną przekąskę.

Maria Francesca umoczyła usta i udając apetyt ogryzała skrzydełko kurczęcia, lecz wkrótce odsunęła talerz. Nie mogła jeść; nurtowały ją na przemian obawa, gniew i wstyd. Żałowała, że wprosiła się tutaj. Marten i Belmont rozmawiali po angielsku przyjaźnie i spokojnie, jakby ta rozmowa dotyczyła spraw małej wagi; jakby nie mówili o niej. Czyżby istotnie znaczyła dla nich tak mało?

Pomyślała ,o swym narzeczonym. Ten człowiek nigdy nie rozmawiał z nią inaczej, niż zalecając się do niej, jak gdyby sądził, że nie jest warta innej rozmowy. Nie znała go prawie; nic o nim nie wiedziała właściwie. Dlaczego dotąd nie przybył, żeby ją uwolnić?

Zmarszczyła brwi i nagle spotkała utkwione w sobie spojrzenie Martena. Przysłoniła oczy rzęsami, trochę zmieszana jego przenikliwym wzrokiem. Poczła napływającą znowu falę sympatii dla tego nieustraszonego korsarza, sympatii, która była różna od wszelkich uczuć, jakich dotąd doświadczała. Lecz jednocześnie uświadomiła sobie swoje przeraźliwe osamotnienie, jakby Marten i Belmont znajdowali się gdzieś bardzo daleko; równie daleko jak Blasco de Ramirez. Wydało jej się, że istnieje pomiędzy nimi trzema jakiś tajny układ, który wyłącza możliwość porozumienia się z którymkolwiek z nich. Po raz pierwszy w życiu opuściła ją zuchwałość i odwaga; Odczuwała tylko lęk silniejszy od wszelkich dotychczasowych obaw i nawet od zgrozy, jakiej czasem podlegała w męczących snach będących odbiciem niedawnych przeżyć.

Żywy, porywczy ruch Belmonta zbudził ją z zamyślenia. Ryszard wstał, a raczej zerwał się z miejsca, aby przynieść talie kart z sekretarzyka stojącego w rogu pokoju.

— Zagramy o wysoką stawkę, Marie — powiedział do niej rzucając karty na stół. — Powinno cię to zainteresować i rozerwać bardziej jeszcze niż gra na szpady; Wprawdzie kapitan Marten proponował mi bez targu sumę równą oku powi, jaki ma złożyć za ciebie twoja rodzina, ale nie biorę pieniędzy od przyjaciół. Niech los rozstrzygnie między nami, skoro twój novio też zbytnio się nie śpieszy.

Twarz seniority pobladła, a potem spłonęła gorącym rumieńcem.

—Mój novio — odparła dumnie — znajdzie cię we właściwym czasie i miejscu, señor Belmont, aby ci zapłacić. Nie tylko złotem, lecz również szpadą. I zaręczam, że nie będzie cię oszczędzał.

—O! — wykrzyknął Ryszard. — Czy obiecujesz mi to w jego imieniu?

~ I w swoim także — tupnęła nogą.-

—Może zdołasz natchnąć go odwagą — westchnął Belmont.
— Mnie nie jest tak trudno znaleźć i skłonić do rozprawy z
bronią w rękę, jak jego. Od dziesięciu lat ucieka przed
Martenem, aż się za nim kurzy. Ale kto wie..:

—Kłamiesz! — krzyknęła głośno. — Blasco nigdy przed
nikim nie uciekał.

Belmont roześmiał się szyderczo.-

— Zapytaj Jana, a jeśli i jemu nie wierzysz, zapytaj
swego przyjaciela, Piotra Carotte'a. On ci chętnie opowie,
jak hidalgo^de Ramirez zmykał z kolegiaty w Ciudad Rue-
da, zostawiwszy tam na podłodze pióra ze swego kapelusza
obcięte rapierem kapitana Martena. Zapytaj również ma
rynarzy i oficerów z „Santa Cruz”, jak to było w Calais
i w Morray Firth, skąd su merced commandore wymknął
się pierwszy, gdy tylko dostrzegł czarną banderę powiewa-
jącą na maszcie okrętu Martena. Racz przy tym pamiętać,
senorita, że w Morray Firth twój querido rozporządzał sze-
ściu wielkimi karawelami przeciwko naszym czterem okrę-
tom, a w Calais miał za sobą prawie całą Wielką Armadę
przeciw kilku bosmanom towarzyszącym kapitanowi Mar-
tenowi.

Maria Francesca patrzyła na niego płonącymi oczyma.
Zaiste, gdyby wzrok mógł zabijać, kawaler de Belmont padłby
trupem albo zamieniłby się w stożek popiołu. Nagle zwróciła się
ku Martenowi.

—Czy nie masz odwagi temu zaprzeczyć?! — zawołała.

—Niestety, senorita, wszystko, co powiedział Ryszard, jest
prawdą — odrzekł Jan. — Ale nie wątpię, że komandor de
Ramirez dotrzymałby mi placu, gdybyś go do tego wezwała.

Senorita miała już na ustach dumną odpowiedź — iż I w jej
kraju wiesza się piratów i rozbójników, nie stacza się z nimi
pojedyneków, ale powstrzymała się w porę. Jeśli miała

liczyć na wspaniałomyślność Martena, nie powinna go obrażać. Podeszła do drzwi otwartych na taras, aby ukryć wzburzenie i uspokoić się nieco. Pomyślała, że do czasu musi grać komedię, musi okazywać nieco sympatii temu zuchwalcowi, Spojrzała na niego przez ramię i z lekkim uśmiechem stwierdziła w głębi ducha, że nie przyjdzie jej to z trudem.

Wtem uświadomiła sobie, że Marten tasuje karty. A jeżeli przegra?...; Ile miesięcy musiałyby w takim przypadku oczekiwać na uwolnienie? Czy Belmont w końcu nie użyłby gwałtu albo czy nie odprzedałby jej komu innemu, na przykład takiemu Schultzowi, który spoglądał na nią z lubieżnym pożądaniem w okrutnych, sennie przymrużonych oczach? Wstrząsnęła się z obrzydzenia. Raczej śmierć — pomyślała dotykając małego sztyletu, który nosiła ukryty w fałdach sukni.'

Przyszło jej na myśl, że powinna w tej chwili błagać swoją Madonnę z Alter do Chao — najcudowniejszą ze wszystkich Madonn, o jakich słyszała lub jakie widywała po Innych kościołach — o wygraną dla Martena. Lecz Najświętsza Panna zajęta słuchaniem jej modlitwy mogłaby nie dopilnować tej sprawy, bo karty zostały już rozdane. Trzeba było działać natychmiast, bez niczyjej pomocy!

Wróciła na środek pokoju i stanęła za krzesłem kawalera de Belmont. Mogła stąd widzieć karty ich obu. Zorientowała się od razu, że grają w monte. Znała tę grę. Szybko zważyła szanse przeciwników; były mniej więcej równe, lecz wynik zależał od figury, jaką teraz wyłoży Marten. Gdyby to miał być dzwinkowy król, Ryszard uzyskałby decydującą przewagę, natomiast żółędna dama zapewniłaby ją Martenowi,-

Jan wahał się widocznie: jego palce błdziły od króla do damy, zatrzymały się przy walecie czerwonym, wróciły do króla...- Ujął tę kartę, ale jeszcze się nie zdecydował ostatecznie; uniósł wzrok w górę, jakby szukając natchnienia,

i ujrzał utkwione w sobie oczy Marie. Były nieruchome, znacznie jaśniejsze niż poprzednio — prawie żółte.

Jak u żmii — pomyślał i poczuł lekki dreszcz przebiegający po grzbiecie.

Marie poruszyła przecząco głową, wskazała palcem na siebie, dotknęła włosów. Pojął, że to jakiś znak. Spojrzał na swoje karty. Dama żółędna w wieńcu dębowych liści miała włosy rude, zwinięte w misterne loki. Wsunął z powrotem króla o siwej brodzie i zdecydowanym ruchem wyłożył damę.

Marie uśmiechnęła się lekko i skinęła głową, a kawaler de Belmont zmarszczył brwi — ■ zrozumiał, że popełnił błąd dopuściwszy Martena do ręki, liczył na inne zagranie i teraz był w kłopotcie: wziąć lewą poświęcając ostatni atut, czy pozostawić przeciwnikowi dalszą inicjatywę?

Zdecydował się na to drugie, a Marten zgarnął karty i znów ukradkiem spojrział na swą sojuszniczkę.

Marie przyciskała dłonią serce.

;

M

— As — powiedziała tylko samym ruchem warg.

Jan wyszedł z asa czerwienego, odebrał Ryszardowi ostatniego trumfa i wyłożył pozostałe forty na stół.

— Ma foi! — westchnął Belmont. — Szczęście sprzyja ci dzisiaj.,; -- — -

Maria Franeesca zawiodła się na swym błędnym rycerzu, który bynajmniej nie okazał się tak szlachetny i bezinteresowny, jak przypuszczała. Co prawda było to nieporozumienie obustronne, on bowiem tłumaczył sobie na swój sposób jej przychylność, tak wyraźnie okazaną podczas partii monte rozegranej u Ryszarda i również doznał zawodu, gdy señorita z oburzeniem odepchnęła jego zaloty;

—Czego, u licha, spodziewałaś się po mnie? — zapytał bardziej zdziwiony niż rozgniewany. — Czy wyglądam na świętego, czy też na niedołęgę? Myślałem..;

—Wyglądasz na łotra! — przerwała mu. — I z pewnością jesteś takim samym łotrem jak twój przyjaciel Belmont! Jakże mogłam tego nie spostrzec! Jak mogłam uwierzyć w bajki o twojej Avspaniałomyślności! Ta głupia Joanna.;-

—Jaka znów Joanna? — zapytał Marten.

—Twoja kochanka zapewne. Dziewka służebna. W sam raz dla ciebie, picaro!

—Aha! — roześmiał się. — Przypominam sobie. Muszę ci powiedzieć, że była bardzo miła i znała się lepiej na ludziach niż..;

—Nic mnie nie obchodzą romanse służby —■ przecięła krótko.

— A jednak to ty wspominasz Joannę, nie ja; Spiorunowała go wzrokiem, lecz po chwili opanowała wzburzenie;

— Czy jedynie dla zaspokojenia kaprysu wyłudziłeś mnie od Belmonta, czy też złakomiłeś się na okup? — za pytała.

— Nie mam zamiaru ani żądać, ani przyjmować za cię-

bie okupu —• odrzekł. — Myślałem, że to rozumiesz, Przecież Ryszard mówił ci o tym.; Potrząsnęła głową.-

— Wiem tylko, że niegdyś wyrzekłeś się okupu za mego dziadka i matkę — powiedziała;

Jan uśmiechnął się. Pomyślał, że zawdzięcza Joannie więcej, niż mógł kiedykolwiek przypuszczać;

— Don Juan de Tolosa pięknie mi za to odpłacił — rzekł. — Sprowadził mi na kark całą eskadrę portugalskich fregat i z pewnością oczekiwał, aż ujrzy mnie w dybach na pokładzie jednej z nich. No, pomylił się. A teraz ty po myliłaś się także, seniorita. Miałem wtedy dwadzieścia lat i wiele złudzeń. Rozstałem się z nimi, ale pozostały mi jeszcze do uregulowania pewne ówczesne, a także wcześniejsze i nieco późniejsze porachunki. Jeden taki porachunek mam z twoim novio, który właśnie dlatego wciąż przede mną ucieka. Otóż przyszło mi na myśl, że gdybym ja był na jego miejscu, to wydarłbym cię nawet z nieba czy piekła. Stałbym do oczu każdemu, czy byłby to zbrodniarz, czy sędzia, zwykły korsarz, jak ja, czy admirał, czy król, czy sam diabeł! Pomyślałem sobie zatem, że gdy Blasco de Ramirez dowie się, iż przebywasz na pokładzie „Zephyra”, sam zacznie mnie szukać i odważy się wreszcie stoczyć ze mną walkę, której dotąd frak starannie unika.

Maria Francesca patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, których wyraz i odcień zmieniały się co chwila. Była w nich duma i pogarda, gniew i podziw, może nawet króciutki przebłysk uśmiechu.

—Możesz być tego pewien — powiedziała, gdy skończył. — A co potem?

—Jak to co? — zdziwił się Marten.- — Nie przypuszczasz chyba, że to się skończy na zadrapaniu skóry, tak jak z Ryszardem? Jeden z nas będzie musiał opuścić ten piękny świat. Wydaje mi się, że ja na nim pozostanę.;

— A co się stanie ze mną?

— Mam nadzieję, że do tego czasu pozyskam twoje względy, seniorita.

Twarz Marii oblała się rumieńcem, a z oczu strzeliły błyskawice gniewu, ale wybuch nie nastąpił.

—Nie można powiedzieć, żeby ci brakowało tupetu *— powiedziała wzgardliwie.

—Nie można — zgodził się Jan. — Będziesz musiała do tego przywyknąć.

Madonna z Alter do Chao w ciągu kilku tygodni zimy wysłuchiwała na przemian gorących modłów, obelg i wyrazów skruchy swej imienniczki, seniority de Vizella, więzionej w kajucie na rufie „Zephyra”. Maria Francesca nie była cierpliwą petentką: gdy o coś prosiła, oczekiwała, że prośba zostanie szybko spełniona; jeśli Madonna zwlekała z załatwieniem sprawy, spotykały ją wyrzuty, a czasem nawet wymysły i pogróżki. Ponieważ jednak i te nie skutkowały, seniorita znów uderzała w pokorę, biła się w piersi i błagała o przebaczenie.

Pewnego dnia przyszło jej na myśl, że Najświętsza Panna może się czuć dotknięta brakiem swej świętej podobizny w tej tak pięknie urządzonej kajucie. Nad łóżkiem seniority wisiał bowiem tylko prosty krzyż z hebanu, wykładany masą perłową.-

Tak, z pewnością! Madonna była przyzwyczajona do większego splendoru w sypialni Marii Franceski. Należało to naprawić,-

Marten miał nie lada kłopot ze spełnieniem żądania swej zakładniczki. Skąd w protestanckiej Anglii wytrzasnąć obraz, który zadowoliłby jej wymagania?

Zwrócił się z tym do Schultza, który obiecał, że sprowadzi z Francji lub z Rzymu kopię jednej z Madonn Rafaela, a tymczasem dał mu niewielki obrazek z Matką Boską Częstochowską zakupiony na gdańskim jarmarku.

Marten kazał go oprawić w bogato złożone ramki i zadowolony z efektu udał się do kajuty Marii.

Zastał ją w jak najgorszym nastroju, znudzoną i zniecierpliwioną z powodu nieprzybycia krawczyni, która tego ranka miała wykończyć dla niej nową suknię. Oświadczyła mu, że niewola w domu kawalera de Belmont wydaje się jej obecnie rajem w porównaniu z losem, na jaki skazał ją Marten. Nudzi się! Za całe towarzystwo musi jej starczyć Leonia, stara, półgłucha Murzynka, która nawet nie potrafi jej uczesać. Nie ma do kogo otworzyć ust. Jej życie na „Zephyrze” jest tak jednostajne, że przyglądanie się czyszczeniu mosiężnych okuć i szorowaniu pokładu może w nim uchodzić za spektakl, a spacer z rufy na dziób i z powrotem — za pełną przygód podróż. Zapyłała wreszcie, jak długo jeszcze Jan zamierza ukrywać się ze swym okrętem w tym nędznym, cuchnącym porcie, gdzie przecież nie może spodziewać się spotkania z Blasco de Ramirezem. Czyżby go obleciał strach? Czy może rozmyślił się i czeka na okup, ceniąc sobie wyżej złoto niż honor walki z hiszpańskim caballero?

— Czekam na twój pierwszy dobrowolny pocałunek, Marie — odrzekł z uśmiechem — i nie dbam o wszystko inne, z hiszpańskim caballero włącznie.

— O, możesz długo czekać! — powiedziała wzgardliwie, lecz jednocześnie spojrzała ukradkiem w lustro. — Nie tacy jak ty próbowali się do mnie zalecać.

— Przypuszczam, że nie tacy — odparł. — Może dlatego im się nie powiodło.

Ten jego spokój i pewność siebie wyprowadzały ją 2 równowagi. Pragnęła mu dokuczyć, poniżyć go. Ilekroć

wiedziała, że przyjdzie, ubierała się ze szczególną troskliwością, spędzała wiele godzin przed lustrem przy czesaniu i upinaniu włosów, podkreślając swe wdzięki, jakby w obawie, że mogłyby ujść jego uwagi.

Niech ją podziwia, niech się napatrzy, tym bardziej będzie się czuł upokorzony nieosiągalnością swych pragnień.

Marten istotnie patrzył i głośno wyrażał swój podziw, lecz wcale nie wydawał się upokorzony lub nieszczęśliwy. Przeciwnie: był najwidoczniej dobrej myśli, a jego wesołość i uprzejmość stanowiły nieskruszoną tarczę przeciw wybuchom gniewu, obelgom i dąsom, jakich mu nie szczędzono w tej walce na słowa.

— Przyniosłem ci bardzo sławną Madonnę — powie dział w stronę pleców seniority, nad którymi pieniała się korona kowa kreza. — Malował ją podobno święty Łukasz z Antiochii, tak przynajmniej utrzymuje Schultz, który zna się na tych sprawach lepiej ode mnie. Ale ł ja o niej wiele słyszałem. W Polsce ten obraz słynie z cudów.

Płecy i kreza Marie obróciły się do ściany, a na Martena spojrzwały OTzechowe oczy, w których zamiast gnieAvu zabłysła ciekawość.

Ten błysk trwał zresztą krótko. Maria Francesca patrzyła przez chwilę w niemym zdumieniu na ciemną twarz Matki Boskiej, po czym cofnęła się o krok i z najwyższym oburzeniem tupnęła nogą.

—To ma być wasza Madonna?! — krzyknęła. — To?!

—Ależ tak — odrzekł Jan zdziwiony jej wybuchem. — Oczywiście ten obraz nie jest oryginałem, ale..;

—Błuźniesz! — zawołała. — Najświętsza Panna nie była Murzynką! Ta jakaś Mulatka mogłaby co najwyżej być pomysłówką u naszej Madonny z Alter do Chao! I to ja miałabym się do Niej modlić? Por Dios! Możesz ją ofiarować Leonii, nie mnie!

Tym razem Marten poczuł się dotknięty, jakkolwiek nie był ani praktykującym, ani wierzącym katolikiem. Dlaczegoż by to Matka Boska z Częstochowy miała być gorsza od owej Madonny z Alter do Chao?! Z pewnością nie była ani Murzynką, ani Mulatką i z pewnością słyęła cudami bardziej niż ta portugalska!

Już miał wyrazić na głos to mniemanie, gdy oniemiała z oburzenia Maria Francesca odzyskała mowę i wybuchnęła potokiem skarg zmieszanych z przekleństwami i obelgami pod jego adresem;

Oto jak z nią postępuje! Więzi ją na swym okręcie nastając na jej cnotę: kryje się tchórzliwie przed jej narzeczonym, przechwalając się zarazem, że go zabije; szydzi z jej uczuć religijnych, a może nawet dybie na zbawienie duszy, podsuwając jej plugawe obrazy, malowane z pewnością nie przez świętego Łukasza, lecz przez Kalwina lub samego antychrysta! Oto do czego jest zdolny, choć udaje zakochanego! Jego rzekoma miłość, lub raczej brudna namiętność, zalatuje piekielną siarką; Gdyby istotnie miał w sercu bodaj odrobinę litości dla niej, uwolniłby ją natychmiast; Lecz jest daleki od takiej szlachetności. Jest tyranem. I tchórzem. Ona zaś nie może nawet pomodlić się do swojej patronki, ponieważ nie posiada Jej podobizny, jaką można zobaczyć na każdym okręcie chrześcijańskim...

— Będiesz ją miała! — przerwał tę tyradę Marten. — Będiesz miała swoją Madonnę z chrześcijańskiego okrętu. Będzie to pierwszy wasz okręt, jaki napotkam^

Henryk Schultz ze swej podróży do Gdańska przywiózł nie tylko obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, lecz przede wszystkim cały splot własnych marzeń, ledwie wyklutych pomysłów i projektów, jakie rysowały mu się w głowie pod wpływem zasłyszanych w Polsce pogłosek i wiadomości politycznych. Głównym ich źródłem był nuncjusz papieski Malaspina lub raczej jego sekretarz, Pedro Alvaro, któremu Henryk zawdzięczał także liczne inne protekcje i stosunki;

Alvaro wtajemniczył go w sprawę dojrzewającego konfliktu zbrojnego pomiędzy Szwecją a Polską, konfliktu spowodowanego właściwie sporem dynastycznym Zygmunta III i jego stryja, Karola Sudermańsldego, o tron szwedzki. Tym sporem interesowały się jednak niemal wszystkie dwory europejskie, a zarówno papież, jak Filip II snuli w oparciu o Polskę daleko sięgające plany.-

Klemens VIII, który zasiadł na stolicy apostolskiej w roku 1592, postanowił zaprowadzić nowy ład w Europie i dążył do tego z konsekwentnym uporem. Europa musiała pozostać katolicka — żadna ofiara nie była zbyt wielka, gdy chodziło o osiągnięcie tego celu, o zgniecenie heretyków i dysydentów. Dlatego wbrew życzeniom Filipa II „syn marnotrawny” Kościoła katolickiego, król Francji Henryk IV, były hugonotą, prześladowcą jezuitów, otrzymał absolucję papieską. Dlatego też Polska w zamierzeniach Klemensa VIII miała stać się nie tylko taranem przeciw Turkom, lecz także poważną sojuszniczką w dziele rozgromienia Anglii;

Tam zaś, gdzie chodziło o uderzenie w Anglię, drogi dyplomacji papieża i Filipa II zbiegały się. Toteż zarówno

Watykan, jak Escorial popierały pretensje katolickiego króla polskiego jako przyszłego sojusznika. Odzyskanie bowiem tronu szwedzkiego przez Zygmunta Wazę oznaczałoby po pierwsze przywrócenie katolicyzmu w tym państwie opanowanym przez protestantów, po wtóre zaś — powstanie poważnej katolickiej siły morskiej na północnym wschodzie, która mogłaby szachować Anglię z portów polskich i szwedzkich.

Pierwszym krokiem do osiągnięcia tego celu miało być porozumienie Zygmunta III z Filipem II i opanowanie Elfs-borga przy pomocy floty hiszpańskiej.

Elfsborg, położony na wprost przylądka Skagen u wejścia z Kaltegatu na Morze Północne, a Kalmar i Gdańsk u wejścia na Bałtyk stałyby się wówczas kluczowymi bastionami potęgi morskiej państwa polsko-szwedzkiego, pozostającego pod berłem Zygmunta III, w ścisłym sojuszu z papieżem i Hiszpanią,; a może również z Francją.

Cała ta kombinacja polityczna rozpałała umysł Henryka Schultza, ponieważ dostrzegał w niej ogromne możliwości pomnożenia swego majątku i znaczenia, co jednak było związane z równie wielkim ryzykiem. Schultz przewidywał mianowicie, że kupiecki, pokojowo nastawiony, a przy tym w swej większości protestancki senat Gdańska będzie się opierał zamierzeniom królewskim. Wprawdzie sojusz Zygmunta z potęgą hiszpańską i papieską wydawał się Schul-tzowi niezwykły, ale wszak podobnie niezwykła Wielka Armada Filipa II uległa flocie samej tylko Anglii. Tu oprócz Anglii wchodziła w grę Szwecja i Dania; Może również Niderlandy, a może nawet niepewna Francja...: Gdańsk niejednokrotnie krzyżował plany królów polskich; stawał okoniem i wygrywał. Czy ulegnie tym razem?

Gdybym się do tego przyczynił — myślał Henryk — zyskałbym wdzięczność i błogosławieństwo Ojca Świętego. Otrzymałbym najwyższe godności w senacie. Jako stronnik

królewski mógłbym zostać burmistrzem, a może koronnym namiestnikiem Gdańska. Miałbym ogromną władzę. Rządziłbym portem i miastem. Obsadzałbym urzędy i stanowiłbym prawa. Kontrolowałbym cały handel zbożem i zapewniłbym sobie wielkie dochody. Stałbym się najbogatszym kupcem w Polsce, a może nawet w Europie. Moje statki handlowe i okręty kaperskie zachodziłyby do wszystkich portów świata. Gdybym się przyczynił do okiełznania Gdańska, otwarłaby się przede mną najpewniejsza droga do zaszczytów, bogactwa i władzy, a także — za wstawiennictwem Ojca Świętego — do zbawienia duszy.

Pod wpływem tych myśli i spekulacji Henryk Schultz coraz bardziej skłaniał się do przeniesienia swej głównej kwatery z Londynu do Gdańska, gdzie zresztą mieściła się centrala jego licznych przedsiębiorstw.

Była to solidna trzypiętrowa kamienica stojąca w pobliżu ratusza na Długim Rynku, całkowicie zajęta przez biura i kantory, z bankiem na parterze. Wymieniano tam pieniądze i na wzór lombardzki udzielano pożyczek pod zastaw towarów, a w głębokich piwnicach przechowywano zapasy złota, kosztowności, akty i weksle zamknięte w okutym skarbcu.

Schultz urządził sobie na trzecim piętrze tego domu niewielki, lecz wygodny apartament prywatny, w którym mieszkał, ilekroć przebywał w Gdańsku, ale myślał teraz o kupnie większej posiadłości poza miastem, gdzie mógłby zbudować rezydencję odpowiadającą jego majątkowi i stanowisku. Rezydencję, klóra zaćmiłaby przepychem podobne siedziby najpierwszych patrycjuszów gdańskich — Ferberów, Zim-mermannów, Kleefeldów czy Wedecke'ów. Odkładał zresztą tę sprawę na później; musiał na razie załatwić pilniejsze.

Jedną z takich spraw pilnych było nabycie w śródmieściu, nie opodal portu, jakiegoś domu, który pomieściłby składy cenniejszych towarów importowanych przez Schultza, a przechowywanych dotychczas w wynajętych pomieszcze-

niaeh, nie zawsze dobrze zabezpieczonych i odpowiednich. Henryk po dłuższych pertraktacjach kupił i przeznaczył na ten cel starą czynszową kamienicę przy ulicy Powroźniczej, należąca do spadkobierców stryja Gotlieba, po czym zawarł umowę z przedsiębiorcą budowlanym o jej przeróbkę i odnowienie;

Dom, odrapany i brudny, z przeciekającym dachem, był jednak zbudowany solidnie i miał na tyłach obszerny podwórzec, gdzie stały jakieś drewniane budy, szopy i komórki. Mieściło się w nim parę warsztatów rzemieślniczych oraz całe mnóstwo rodzin przeróżnej biedoty stłoczonej w ciasnych stancjach, na poddaszu i nawet w owych budach pomiędzy śmietnikami. Gdy wśród tej rzeszy gruchnęła wieść, że nowy właściciel zamierza eksmitować i wyrzucić wszystkich na bruk, wszczął się lament, a przed wspaniałym przedprożem kamienicy na Długim Rynku, wzdłuż żelaznej balustrady kutej w fantazyjne kwiaty i liście od rana do wieczora wystawali zrozpaczeni ludzie w złudnej nadziei, że Schultz da się ubłagać i pozostawi im dach nad głową, choćby ten dach przeciekał nadal jak dotąd.

Henryk bynajmniej się tym nie przejął. Wszystkie kontrakty najmu, z wyjątkiem jednego, wygasały w ciągu najbliższego kwartału — sprawdził to, zanim podpisał umowę kupna. Miał za sobą prawo i zapewnioną pomoc ze strony rady miejskiej przy usuwaniu opornych lokatorów. Co się tyczyło owego jednego kontraktu o dalszą trzyletnią dzierżawę dwu niewielkich izb na parterze, gotów był przystać na pewne odszkodowanie za jego unieważnienie.

Kontrakt opiewał na nazwisko Jadwigi Grabińskiej, wdowy po Janie z Grabin, który przez pewien czas dowodził jednomasztową kogga kaperską „Czarny Gryf”, należąca do Gotlieba Schultza. Henryk przypomniał sobie zarówno ten niewielki statek, jak nazwisko jego kapitana. Były to dawne dzieje, sięgające czasów, gdy jako jedenasto- lub dwu-

nastoletni sierota, przygarnięty przez stryja marzył, aby zostać kaprem.

Postanowił rozmówić się osobiście z wdową, lecz jako człowiek przezorny polecił dostarczyć sobie wszelkich informacji o niej i o jej położeniu materialnym. Gdy je otrzymał, ironiczny uśmiech ukazał się na jego ustach, Jadwiga Grabińska bowiem nazywała, się z domu Paliwodzianka;

Teraz stanął mu przed oczyma warsztat powroźniczy Macieja Paliwody, w którym bywał niemal codziennie, przyprowadzając tam cudzoziemskich szyprów po zakup lików % do żagli albo lin do uzupełnienia takielunku. Jadwiga była wówczas jasnowłosym dziewczętkiem podobnym do Św.; Agnieszki, on zaś uwielbiał ją i wyobrażał sobie, że zyskawszy jej wzajemność, kiedyś, w przyszłości pojmie ją za żonę. Te dziecinne marzenia rozwiały się wkrótce za sprawą Janka Kuny, który pewnego dnia zjawił się w warsztacie mistrza Paliwody ze swym ojcem i natychmiast oczarował dziewczynę. Lecz losy ich trojga potoczyły się jeszcze inaczej, niż można było wówczas przypuszczać: Henryk został chłopcem okrętowym, a później sternikiem na „Zephyrze”, Jan jego kapitanem, a Jadwiga żoną innego Jana —■ Jana z Grabin.-

Ten ostatni porzucił był już podówczas służbę u Gotlieba Schultza, który zresztą sprzedał „Czarnego Gryfa”. Był kaprem króla Stefana Batorego i pod rozkazami pana Ernesta Weyhera odznaczył się w wojnie przeciw Gdańskowi, a szczególnie w bitwie o Głowę, podczas której został dwukrotnie ranny; Wkrótce potem stracił swój okręt w Zatoce Gdańskiej, ulegając przeważającym siłom Duńczyków, którzy pod dowództwem admirała Klettona przybyli tam w jedenaście okrętów, lecz zdołał się uratować i z kilku towarzyszami dopłynąć do brzegu na ledwie skleconej tratwie. Był to jed-

nak brzeg gdański...; Jana z Grabin i sześciu jego bosmanów oczekiwało tu surowe prawo wymierzone przeciw kaprom koronnym.

Ale senat miejski miał licznych nieprzyjaciół wśród pospólstwa, nieprzyjaciół, którzy upatrywali w osobie Batorego wyzwoliciela spod ucisku patrycjatu. Kramarze, drobni kupcy, rzemieślnicy i biedota stali po stronie króla. Należał do nich także Maciej Paliwoda, który udzielił tymczasowego schronienia królewskiemu kaprowi,-

Jadwiga była wtedy ładną siedemnastoletnią panną, a od wyjazdu Janka Kuny upłynęły cztery lata bez żadnej wieści. Dziecinne uczucia zbladły, choć nie zatarły się w jej pamięci. W dodatku Jan z Grabin żywo przypominał młodego Kunę. Nie namyślała się długo, gdy poprosił o jej rękę, a w rok po zawarciu tego związku obdarzyła go dorodnym chłopcem, któremu na chrzcie dano na imię Stefan na cześć króla.

W tym samym roku 1577 wybuchły w Gdańsku zamieszki, które przeobraziły się wkrótce w otwarte powstanie pospólstwa i biedoty przeciw rządowi miejskiej arystokracji. Na czele tego ruchu stanął drobny kupiec, Kasper Góbel, a jednym z dowódców ochotniczych oddziałów zbrojnych został Jan z Grabin.

Patrycjat gdański, który nie uznawał Batorego i opowiadał się za elekcją cesarza niemieckiego Maksymiliana, dostał się niejako we dwa ognie: w mieście powstały do walki cechy rzemieślnicze i biedota, z zewnątrz groziło wkroczenie wojsk Rzeczypospolitej. Siedemnastego kwietnia za-ciężne pułki Gdańska poniosły klęskę nad Jeziorem Lubie-szowskim, a w czerwcu zaczęło się regularne oblężenie miasta. Rajcowie ugięli się przed potęgą królewską: delegacja rady z burmistrzem na czele udała się do Malborka, aby złożyć hołd Batoremu.

Potem patrycjat już bez trudu rozprawił się z bunlowni-

kami przy pomocy niemieckich rajtarów i duńskiej piechoty. Przywrócono dawny ład, a kilkadziesiąt głów spadło pod toporem kata.

Macieja Paliwodę ominął len los, ponieważ stary majster padł od kuli w ataku na ratusz. Jego zięć wraz z żoną i dzieckiem uszedł do Pucka i znÓAv zaciągnął się do floty pana Weyhera. Lecz teraz nastały złe czasy dla kaprów królewskich: polskie siły morskie topniały, a sejmy zaniedbywały ich odnowę. Najlepsi kapitanowie porzucali służbę w puckiej eskadrze i przenosili się do Szwecji lub do Inflant. Tam też, pod rozkazy admirała Fleminga, udał się Jan z Grabin.

Tymczasem w roku 1586 zmarł Stefan Batory, a w następnym objął tron i rządy Zygmunt III. W Gdańsku zapomniano o buncie zgniecionym przed dziesięciu laty, majątki kupieckie nadal rosły, bogacił się ten i ów spośród kramarzy lub znaczniejszych rzemieślników, lecz na ogół pospólstwo żyło po dawnemu, a biedota cierpiała swą biedę jak przed laty.

Nie ustały też pomniejsze zatargi senatu z Rzeczapo-spolitą, choć bandera królewska zaczęła znów pojawiać się w porcie. Gdy we wrześniu roku 1593 Zygmunt Waza wyruszał z wizytą do swego szwedzkiego królestwa, a Fleming przyprowadził mu do Gdańska flotę finlandzką złożoną z dwudziestu siedmiu okrętów, na jednym z nich przybył kapitan Jan z Grabin, aby znów osiedlić się w rodzinnym mieście.-

Handlowa flota Gdańska rozwijała się w tym czasie gwałtownie, a zapotrzebowanie na doświadczonych szyprów było większe niż kiedykolwiek. Toteż Jan niezwłocznie otrzymał dowództwo dużego pełnomorskiego statku „Fortuna” stanowiącego własność pana Rudolfa Zimmermanna, a Jadwiga Grabińska dzięki protekcji armatora mogła z powrotem zamieszkać w daAvnym warsztacie ojca na ulicy Powroź-niczaj.

Nie było to wprawdzie mieszkanie, o jakim marzyła, lecz po odnowieniu i niewielkich przeróbkach stało się zupełnie wygodne, a nawet ładne. Mogła uważać się za szczęśliwą, że pan Gotlieb Schultz zgodził się wynająć ten lokal córce Macieja Paliwody, który tu mieszkał i pracował niemal przez pół wieku. W Gdańsku przybywało bowiem znacznie więcej ludności niż pomieszczeń w czynszowych kamienicach.

Stefan Grabiński miał wówczas lat piętnaście i wyrastał na dorodnego młodzieńca. Był jedynakiem, podobnie jak Janek Kuna, i podobnie jak tamten rwał się na morze; Nie wzbraniano mu tego: miał przecież kiedyś zostać szyprem jak ojciec. Pływał więc z nim razem na „Fortunie” od wczesnej wiosny do jesieni, a miesiące zimowe poświęcał nauce u bakalarzy gimnazjum miejskiego;

W tę pogodną, niemal szczęśliwą egzystencję nagle uderzył grom: podczas pamiętnego sztormu na Bałtyku w kwietniu roku 1595 holk „Fortuna” wpał na skały Krlstianso w pobliżu Bornholmu i uległ rozbiciu. Załoga uratowała się; zginął tylko szyper, Jan z Grabin, którego zwłok nie znaleziono.;

Henryk Schultz przyjął Jadwigę Grabińską w swoim gabinecie biurowym na pierwszym piętrze domu przy Długim Rynku. Był tak dalece uprzejmy, że wstał, aby ją powitać, gdy nieśmiało weszła do tego sanktuarium; Ujrzał przed sobą szczupłą, przedwcześnie postarzałą kobietę w ciemnej sukni z krótką pelerynką na ramionach i z małą karbowaną kryzą okalającą szyję.-

Nie poznałbym jej — pomyślał;

— Na wiek! wieków — odrzekł na jej zbożne powita-nie, pochylając głowę.

JVVskazał krzesło prosząc, aby usiadła. Przyszło mu na

myśl, że gdyby Opatrzność nie czuwała nad jego losami, ta kobieta mogłaby teraz być jego żoną.

A może żoną Jana Kuny? — pomyślał *zwilżając usta* końcem języka.:

Wyraził swe współczucie z powodu jej wdowieństwa, zapytał o syna. Odpowiedziała nieśmiało, jakby z wysiłkiem, zaciskając nerwowo splecione dłonie. *Tytułowała go* „waszą wielmożnością”.

Przerwał jej z łaskawym uśmiechem: zauważył, bez wielkiego nacisku zresztą, że ten tytuł jest zbyteczny; znają się przecież od *lat dziecinnych*.;;

Ośmieliło ją to, ale nie zdobyła się na przemawianie do niego po imieniu, tak jak on to czynił zwracając się do niej.

Co mógł dla niej uczynić? Och, bardzo wiele! Przede wszystkim mógłby — gdyby zechciał — pozostawić jej nadal dwie izby w swojej kamienicy.

— Zastanowimy się nad tym — odrzekł przychylnie. — Cóż jeszcze?

Zaczęła mówić o synu. Miał już osiemnaście lat i dostateczną praktykę morską, aby zostać głównym bosmanem lub choćby żaglomistrzem. Gdyby żył jego ojciec.;;

Henryk uniósł brwi w "górze.

—Wydaje mi się, że jego ojciec nie zawsze służył wiernie interesom naszego miasta — powiedział znaeząco. — Słyszałem, że brał czynny udział w buncie Góbla przeciw senatowi..-;

—Ale Stefana jeszcze wtedy nie było na świecie — odrzekła Jadwiga spuszczać oczy, — Urodził się zaraz po powstaniu.-

Henryk pobłażliwie skinął głową.-

— No tak, no tak. Mniejsza z tym. Zajmę się nim, jeśli istotnie na to zasługuje. Przypuszczam, że Zimmermann mi go odstąpi. Czy pamiętasz „Zephyra”, Jadwigo? Dowodzi

nim jeden z najznakomitszych kapitanów. Zdaje się, że kiedyś nie był ci obojętny...

Spojrzał na nią zmrużonymi oczyma i uśmiechnął się z melancholijną ironią, bo twarz Jadwigi Grabińskiej pokryła się ciemnym rumieńcem.

— Myślę — ciągnął dalej — że Jan zgodzi się przyjąć twego syna. Nie ręczę oczywiście, że natychmiast zrobi go sternikiem czy głównym bosmanem, ale... Sam niegdyś marzyłem, żeby służyć na tym okręcie. Nie mogę powiedzieć, abym się zawiodł: to był dobry początek.

Jadwiga chciała mu dziękować, ale powstrzymał ją gestem dłoni. Był w nastroju marzycielskim.

— Przypuszczam — mówił wolno, na pół do siebie — że prędzej czy później „Zephyr” przejdzie na moją własność. Lubię ten okręt. Przywiązałem się do niego. Marten... to jest Jan Kuna z pewnością nic na tym nie straci, prze*ciwnie: może tylko zyskać. Gdyby twój Stefan potrafił mi w tym dopomóc.; Kto wie... mógłby w przyszłości sam objąć dowództwo.

Umilkł na chwilę, lecz jego myśli płynęły nadal tym, samym torem.

Marten przy wszystkich swych zaletach doskonałego marynarza byłby zapewne dość niesfornym podwładnym — rozważał w duchu. — Natomiast młody Grabiński pozostawałby pod moim wpływem, a, pod fachowym kierunkiem Jana stałby się wkrótce bardzo dobrym szyprem. Poznałby „Zephyra” na wskroś. Miałbym w nim oddanego sojusznika, bo zawdzięczałby mi więcej niż komukolwiek. Jeśli pokieruję właściwie tą sprawą, będę mógł wyciągnąć z niej podwójną korzyść: „Zephyr” przejdzie na moją własność wraz z młodym, uległym kapitanem.

— Przypuszczam, że prędzej czy później tak się sta nie ~ powiedział głośno.

Stefan Grabiński zaledwie mógł uwierzyć w szczęście, iakie °o spotkało. Za sprawą szlachetnego, jakże bezinteresownego towarzysza lat dziecinnych matki — szeroki, pełen przygód świat otworzył się przed nim jak pod dotknięciem różdżki czarodzieja. To nic, że ów czarodziej nie wydał mu się na pierwszy rzut oka ani pociągający, ani tak wspinały, iakim *go* sobie wyobrażał. Musiał być przecież człowiekiem wielkiego serca i rozumu, skoro doszedłszy do znaczenia i majątku nie zapomniał o biednej wdowie i zapewnił jej byt spokojny? a jego, Stefana, postanowił wykierować na szypra.

Jadwiga Grabińska pożegnała syna łzami, lecz były to nie tylko łzy spowodowane rozstaniem; płakała z radości. Henryk Schultz dotrzymał obietnicy: zabierał Stefana do Anglii, ponadto zaś powierzył jej dozór nad utrzymaniem porządku i czystości w swych składach przy ulicy Powróż-niczej, gdzie nadal mieszkała, i wyznaczył wynagrodzenie, które pobierała w kasie jego domu handlowego na Długim Rynku.

Nie oczekiwała aż takich dobrodziejstw. Wydawało jej się, że nie zasłużyła na nie, i uważała się teraz za dozgonną dłużniczkę Schultza. Niegdyś prosiła młodego Jana Kunę, aby wyjednał u ojca przyjęcie biednego sieroty, Henryka, na chłopca okrętowego; dziś ten sierota odpłacał jej ze szczodrobliwością, o jakiej można było usłyszeć chyba tylko w podniosłych kazaniach wygłaszanych z ambony u Panny Marii.

Marten z roztargnieniem wysłuchał prośby Henryka Schultza. Dopiero gdy padło nazwisko panięskie Jadwigi, z niejakim zaciekawieniem zapytał o jej losy, a potem wyraził gotowość przyjęcia Stefana Grabińskiego na okręt — tymczasem na próbę, jako zwykłego bosmana.

Chłopiec przybył na pokład „Zephyra” nazajutrz,

w chwilę po scenie, jaką Maria Franeesca zrobiła Martenowi z powodu obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Jan wypadł z kasztelu na rufie w stanie wielkiego wzburzenia i natknął się na Stefana, który z zadartą głową przyglądał się dwu najwyższym rejom grotmasztu;

— Co tu robisz, gapiu? — spytał szorstko." Stefan spojrział na niego zaskoczony. Nie zrozumiał pytania, j nia zadanego po angielsku, ale natychmiast domyślił się, z kim ma do czynienia. Wymienił swoje nazwisko.

—Aha, to ty — powiedział Marten po polsku i przyjrzał mu się uważnie. — Jak długo służyłeś na okręcie?

—Trzy lata jako truxman *, rok jako młodszy marynarz i rok jako bosman, panie kapitanie.-

Jan wyciągnął do niego rękę, którą Stefan uścisnął, trochę zdziwiony tym gestem.-

— Znałem twoją matkę — powiedział Marten. — I pa na Macieja Paliwodę. To był majster! — dodał z uśmiechem i znów spojrział na chłopca, jakby szukając w jego rysach i postaci rodzinnego podobieństwa do Jadwigi.

Ujął go za ramię i pociągnął do swojej kajuty;

— Chodź, porozmawiamy.-

Zaczął go wypytywać o ojca, o służbę na morzu, o stat-, ki i okręty, o Gdańsk, o wiadomości, jakie Stefan posiadał.

Chłopiec odpowiadał śmiało i pewnie. Podobał mu się. Swym junackim wyglądem trochę przypominał mu ukochanego starszego brata, Karola, który został powieszony, a potem ścięty przez gdańskiego kata, gdy Jan miał dziewięć lat.

To straszne wspomnienie odżyło teraz w jego pamięci wraz z nienawistną postacią Zygfyda. Wedecke, który głównie przyczynił się do wykonania wyroku na jedenastu trux-manach kaperskich.

Zdarzyło się to w czerwcu 1568, gdy Mikołaj Kuna do-

wodził jeszcze kogga „Czarny Gryf”, należąca do Gotlieba Schultza, a pozostającą wraz z innymi okrętami kaperskim! pod rozkazami pana Sharpinga. Tą samą kogga, którą później dowodził Jan z Grabin,

Wieczorem szesnastego czerwca niewielka flotylla polska, ścigana przez szwedzką eskadrę admirała Larssona i zaskoczona przez burzę w Zatoce Gdańskiej, schroniła się pod osłonę Latarni *, po czym za zezwoleniem komendanta tej twierdzy, pana Zandera, weszła do portu.

Przed świtem Sharping rozkazał wysłać na ląd chłopców okrętowych po zakup żywności. Napotkali oni parę wozów podążających na targ, lecz ceny stawiane przez chłopów wydały im się zbyt wygórowane, skutkiem czego doszło do zwady, a nawet do bitki. W rezultacie zapalczywi, niezbyt karni młodzieńcy dopuścili się rabunku i zabrawszy kilka klatek z drobiem oraz skrzynek z jajami, wrócili na okręty.

Gdy admirał Sharping dowiedział się o tym, kazał ich zamknąć w areszcie i zamierzał przekazać sprawę pod sąd Komisji Morskiej. Lecz poszkodowani chłopcy poskarżyli się tymczasem radzie miejskiej, a burmistrz Ferber wysłał silny oddział z rozkazem ujęcia winnych i stawienia ich przed gdańskim sądem ławniczym.

To bezprawne żądanie, poparte groźbą otwarcia ognia z dział Latarni na okręty kaperskie, postawiło Sharpinga w trudnej sytuacji. Zanim mógł porozumieć się z przewodniczącym Komisji Morskiej, kasztelanem Kostką, zanim zdołał przedsięwziąć cokolwiek, pachołkowie miejscy z pomocą straży portowej i zbrojnych oddziałów z fortu wdarli się na okręty i uprowadzili jedenastu podejrzanych truxmanów. Znalazł się między nimi także Karol Kuna, który zresztą wcale nie brał udziału w nieszczęsnej wyprawie po żywność,

Protesty kasztelana, kompromisowe propozycje zbadani! i ukarania kaprów przez wspólny sąd nie odniosły skutku. Na burmistrza naciskali rajcowie, a zwłaszcza pan Zygfryd Wedecke, z którego folwarku pochodziła część owych kirj zrabowanych woźnicom. Ława zebrała się doraźnie, po odczytaniu aktu oskarżenia przyjęła do wiadomości zeznania świadków i szybko przesłuchiwała podejrzanych, nie dając zresztą wiary tym, którzy zaprzeczali swego udziału w zajściach. Wszystkich skazano na śmierć.

Dwudziestego trzeciego czerwca odbyła się egzekucja[^]] Na słupach wbitych w ziemię przy Wysokiej Bramie k{« i jego pomocnicy zatknęli jedenaście głów uwiecznionych 108 urągawisko królowi polskiemu w słomiane wieńce.

Prawie dwa lata głowy te patrzyły z góry na miasto,! choć już na sejmie lubelskim delegacja Gdańska usłyszała oskarżenie o zbrodnię stanu i choć dwunastego sierpnia roku 1569 aresztowano burmistrzów: Ferbera i Projtego, a także j rajcę Giesego i burgrabiego Kleefeld, by ich osadzić w wię- 1 zieniach sandomierskim i piotrkowskim. Jednakże dopiero w marcu następnego roku Komisja Morska wydała dekret' | potępiający sąd nad kaprami i jego wyrok jako zbrodnię popełnioną na żołnierzach króla, a w nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego kwietnia rada miejska wJM konała zarządzenie królewskie dotyczące zdjęcia głów ze słu-fl pów i urzędzenia im chrześcijańskiego pogrzebu.

Ferber, Kleefeld, Projte, Giese i Zander nie żyli już od dawna. Nie udałoby się zapewne dojść dzisiaj nazwisk wsz» stkich pozostałych ławników, którzy pod ich naciskiem .wn dali haniebny wyrok na jedenastu młodych marynarzy. LeJM pozostał jeszcze Zygfryd Wedecke, który był główną, choć ukrytą sprężyną owego sądu i którego nie dosięgła żadna kara.

Jan Kuna poprzysiął mu zemstę i powtórzył lę przysięgę po śmierci matki zamęczonej w lochach gdańskiego ratusza- >

Nie zapomniał o tym; nienawiść żyła na dnie jego serca przez te wszystkie lata, podczas których odnosił zwycięstwa i podlegał klęskom, doznawał przygód, bogacił się i trwonił zdobycze, zyskując coraz większy rozgłos na morzu.

Czy nie nadszedł czas spełnienia przysięgi? — zadał sobie pytanie.

Henryk Schultz namawiał go, by powrócił do Gdańska. Król polski, Zygmunt, gotował się do wojny, wystawiał nowe listy kaperskie, a Henryk kusił widokiem walki przeciw gdańskiemu .senatowi, który musiał zostać wpierw ujarzmiony. Podobnie przemawiał ten młody chłopak, Stefan Grabiński, gorący stronnik królewski;

Marten słuchał go z coraz większym zainteresowaniem, a teraz zapragnął dowiedzieć się czegoś bliższego o swym wrogu.-

— Czy znasz pana Zygfrieda Wedecke? — zapytał;

— Znam — odrzekł Stefan. — To znaczy widywałem go nieraz. Jest już bardzo stary. Jego syn, Gothard, został niedawno kapitanem portu. Obaj uważani są za najzacieklejszych nieprzyjaciół króla i pana starosty puckiego, Jana Weyhera, który teraz jest starszym nad kaprami;

Jan uprzytomnił sobie, że Zygfried Wedecke istotnie musi już mieć ze siedemdziesiąt lat.

Pozostało nam niewiele czasu na rozrachunki — pomyślał; — On stoi nad grobem.;

Wtem usłyszał jakiś szmer za plecami i obejrzał się; W drzwiach, oddzielających jego kapitański salon od kajuty zamienionej na sypialnię seńority de Vizella, stała Maria Francesca we własnej osobie, pogodnie uśmiechnięta, jakby już dawno zapomniała o gwałtownej awanturze, dąsach z powodu nieprzybycia krawczyni i wszystkich swych żalach oraz upokorzeniach.

— Kim jest ten ładny chłopiec? — zapyła patrząc

z upodobaniem na Stefana,' który zarumienił się pod jej spojrzeniem.

Martenowi wcale nie w smak było to nagłe wtargnięcie, a poza tym bynajmniej nie wybaczył jej obelg, którymi go uraczyła.

—Cóż cię to obchodzi? — mruknął.

—Och, rzeczywiście niewiele — odrzekła przenosząc wzrok na niego. — Właściwie chciałam tylko zapytać, kie*] dy zamierzasz wyruszyć, aby zdobyć dla mnie prawdziwą Madonnę.

—Zdobyc dla ciebie Madonnę? — powtórzył zdumiony.

—Czyżbyś już o tym zapomniał? Madonnę z hiszpańskiego lub portugalskiego okrętu, który napotkasz i zdobędziesz.

—Ach, tak! — Marten zmieszał się nieco, ale gniew opuścił go zupełnie. — Bądź spokojna; dotrzymuję obietnic — powiedział z uśmiechem. — Będziesz ją miała przed upływem tego miesiąca. Najdalej za tydzień wyruszamy naj morze.

Obejrzał się na Stefana, który najwidoczniej nic nie rozumiał z tej rozmowy prowadzonej po hiszpańsku.

— Możesz teraz pójść do głównego bosmana — powie dział do niego. — Znajdziesz go zapewne na pokładzie. Na zywa się Tomasz Pocięcha i jest uprzedzony o twoim przy byciu; zajmie się tobą.

Potem znów zwrócił się do Marii:

—Ten chłopiec przyjechał z Polski, jeśli cię to interesuje — rzekł. — Jego matka za pośrednictwem Schultza powierzyła mi opiekę nad nim.

—Doprawdy? — zdziwiła się seniorita. — Czy jest twoim synem?

Marten wzruszył ramionami.

— Skąd ci to przyszło do głowy! Po raz ostatni widzia łem jego matkę dwadzieścia pięć lat temu.

Cł Musiała się na ciebie zapatrzeć — powiedziała Maria Francesca. — Podobny jest do ciebie, choć ma jasne włosy.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i skinąwszy głową cofnęła się za próg.

W Essex House, w prywatnym gabinecie sir Roberta, odbywała się ściśle poufna konferencja, w której oprócz hrabiego brali udział jego dwaj przyjaciele i powiernicy: Antoni Bacon i sir Henry Unton oraz kawaler Ryszard de Belmont.

Właściwa narada polityczna została zakończona przed przybyciem tego ostatniego. W takich sprawach hrabia nie zasięgałby *jego* zdania, jakkolwiek darzył go wielkim zaufaniem i nawet wtajemniczał w niektóre swoje zamiary i plany. Kawaler de Belmont został wezwany, jak początkowo sądził, jedynie w celu konsultacji co do sposobu jak najszybszego przesłania pewnego listu niejakiemu Antonio Perezowi, byłemu ministrowi i doradcy króla Filipa II.

Ow człowiek znajdował się w tym czasie u boku Henryka IV, który według najświeższych wiadomości udał się do dóbr rodzinnych Bearn i przebywał w Pau. Najlepszą komu-

nikaeję z tym południowo-zachodnim księstwem francuskim stanowiła droga morska do Bayonne, odległej od Pau o osiem- j dziesiąt mil angielskich łądem. Lecz zarówno Bayonne, jak inne pomniejsze porty w południowej części Zatoki Biskaj- i skiej były trudno dostępne z powodu hiszpańskiej blokady; j a list do Pereza żadną miarą nie powinien był wpaść w ręce Hiszpanów. Przy tym był pilny. Sefior Perez musiał go otrzymać najdalej za tydzień, jeśli miał wykonać polecenie Essexa 1 przed wyjazdem króla do Paryża.

Antonio Perez był zaiste człowiekiem niezwykłym, prze-de wszystkim dlatego, że chyba on jeden tylko w całej Hisz-¹] panii zdołał ująć cało z rąk świętej inkwizycji, jakkolwiek zaj przestępstwa, jakich się dopuścił, groziła mu niechybnie kara] spalenia na stosie.

Zaczęła się ta sprawa od zamordowania sekretarza Don Juana d'Austria, Escoveda, którego Filip podejrzewał o knucie niebezpiecznych intryg politycznych. Don Antonio sprzątnął Escoveda przy pomocy swych bravi, lecz wywo- j łało to takie oburzenie, że król postanowił raczej poświęcić swego ulubieńca, niż go osłaniać, zwłaszcza iż Perez pozyskał względy księżnej Eboli, która odtrącała króleAvskie zaloty. Urażony monarcha oskarżył go o konszachty z hu-gonotami w Bearn i kazał go aresztować, a słudzy inkwizycji pochwycili Pereza w jego rodzinnym mieście Sara-gossie, dokąd uciekł przed gniewem majestatu.

Pobyty w lochu więziennym bynajmniej nie skruszył Pe-1 reza. Podczas śledztwa przede wszystkim zaprzeczył prawa | inkwizycji do sadu w Saragossie, gdzie według odwiecznych! zwyczajów i przywilejÓAv obowiązywała jurysdykcja korte-j zów aragońskich, a poza tym pozwolił sobie na znieważeni-króla i nawet samego Boga;

— Skoro Bóg Ojciec pozwolił Filipowi postąpić wzgl dem mnie tak zdradziecko, zasłużył na to, abym mu obcią nos! — wykrzyknął.

Inkwizytorom oczy wyszły na wierzch, a uszy zwiędły „na takie bluźnierstwo, Zapisano je w protokole z następującą uwagą:

„Zdanie to w najwyższym stopniu obraża Boga i króla, będąc zarazem herezją lionńską, której wyznawcy utrzymują, że *Bóg* jest istotą posiadającą ludzkie ciało i wszystkie jego członki. Obwiniony nie może się tłumaczyć, że miał na myśli osobę Jezusa Chrystusa (który miał nos, gdy stał się człowiekiem), ponieważ zdanie powyższe odnosi się wyraźnie do pierwszej osoby Trójcy Świętej”;

Już ten epizod wystarczyłby do zaprowadzenia bluźniercy na stos, co też nastąpiłoby z całą pewnością, gdyby nie nagle interwencja tłumu podburzonego przez rodzinę Pe-reza. Mieszkańcy Saragossy w obronie aragońskich praw sądowych zbrojnie wtargnęli do więzienia, poturbowali inkwizytorów i zatłukli na śmierć królewskiego gubernatora, a uwolniony don Antonio drapnął do Francji.

Dla Aragonii źle się to skończyło: wojska Filipa II zajęły kraj i stanęły garnizonem w Saragossie; dawne przywileje ostatecznie zostały zniesione, a na *quemadero* spłonęło siedemdziesięciu dziewięciu buntowników..-;

Lecz sprawca i główny winowajca tych wypadków żył i działał, a sytuacja polityczna zarówno we Francji, jak w Anglii sprzyjała jego zabiegom. Potrafił wkręcić się na dwór Henryka IV i za pośrednictwem Antoniego Bacona dot rzeć do Roberta Devereux, hrabiego Essexu,- Miał w zapasie setki skandalicznych opowieści o knowaniach Filipa II, był pozbawiony jakichkolwiek skrupułów, gdy chodziło o zdradę tajemnic dyplomatycznych monarchii hiszpańskiej, oraz władał znakomicie wytworną łaciną, która wzbudzała podziw wśród najwyższych sfer rządzących.

Tymczasem sprawa wojny z Hiszpanią zaczynała dojrzewać, Henryk IV czuł się ustawicznie zagrożony przez Hisz-

panów od północy, a także od wewnątrz, gdzie Filip II wspomagał przeciw niemu Ligę Szesnastu i później Ligę Katolicką; hrabia Essex ze wszystkich sił i wszelkimi sposobami dążył do decydującego uderzenia, które nie tylko zabezpieczyłoby Anglię przed zakusami Escoriału i Rzymu, lecz otworzyłoby jej drogę do bogactw Indii. Dla Antonia Pe-reza było jasne, że w tych okolicznościach należy połączyć siły Francji i Anglii, aby wspólnie zadać cios potędze hiszpańskiej — cios, który powaliłby także zniechęconego wroga, Filipa.

Na przeszkodzie jego planom i zabiegom stała jednak królowa Elżbieta. Stan wojenny z Hiszpanią, który nie był otwartą wojną (jeśli nie liczyć ustawicznych drobnych działań angielskich korsarzy), doskonale odpowiadał jej usposobieniu. Natomiast zawarcie zbrojnego przymierza z królem Francji budziło jej obawy: mogło, a nawet musiałyby pociągnąć za sobą znaczne wydatki na zbrojenia, a także ryzykowną ekspedycję wojsk na kontynent. Na to królowa nie mogła się zdecydować: rokowania wlokły się miesiącami, a „dziewica o lwim sercu” zachowywała się raczej jak piskorz niżli jak lwica, zwodząc posłów i stosując najróżniejsze wykręty, aby tylko odwlec krok ostateczny.

Lecz wczesną wiosną roku 1596 wojska hiszpańskie zaczęły odnosić coraz to nowe zwycięstwa w Niderlandach i zagrażać oblężeniem Calais. A Calais w ręku Filipa II była to dla Anglii nader niebezpieczna pozycja w układzie strategicznym. Tę właśnie chwilę postanowił wykorzystać hrabia Essex, aby zmusić swą protektorkę do działania.

Antoni Bacon wygotował list do señora Pereza, list, który miał przeczytać również Henryk IV. W przejrzystych aluzjach dawano w tym piśmie do zrozumienia, że jeśli król Francji rzeczywiście życzy sobie szybkiego przymierza z Anglią, powinien zagrozić Elżbiecie, iż wobec jej niezdecydowania zawrze oddzielny pokój z Hiszpanią.

Ten właśnie list i dalsze ustne instrukcje dla jego adresata miał dostarczyć do Pau wysłannik hrabiego Essexu.

— Musi to być człowiek, który dobrze zna stosunki na dworze francuskim i umie się zachować w dworskim towarzystwie — powiedział hrabia patrząc na Belmonta. — Człowiek zręczny, który już niejednokrotnie spełniał podobne misje i który potrafiłby zbadać, jaki skutek odniesie ten list. A przede wszystkim taki człowiek, który zdoła dotrzeć do Pau na czas, to znaczy w ciągu tygodnia. Mój wybór padł na pana, kawalerze de Belmont. Chciałbym wiedzieć po pierwsze, czy zgodzi się pan wyświadczyć mnie i Anglii tę przysługę, a po wtóre, czy pan zna dostatecznie szybki okręt i odpowiedniego kapitana, który zdołałby w cztery dni dopłynąć do Bayonne.

Ryszard de Belmont znał takiego kapitana i taki okręt. Zapewnił również hrabiego, że gotów jest dotrzeć nawet do Hadesu i dopilnować samego Charona, aby wykonał jego zlecenia, po czym, wyposażony w pieniądze i wtajemniczony we wszystkie szczegóły owej politycznej intrygi, udał się wprost do Deptford, na pokład „Zephyra”.

Marten przyjął go przyjaźnie, a dowiedziawszy się, że Ryszard pragnie odbyć dość ryzykowną podróż na „Zephyrze” do Zatoki Biskajskiej, ucieszył się szczerze.

— Doskonale! — wykrzyknął. — Właśnie się tam wybieram w poszukiwaniu dewocjonaliów, a w szczególności obrazu Madonny.

Belmont roześmiał się ubawiony tak niezwykłym celem wyprawy korsarskiej.

— Nawróciłeś się, niedowiarku — zapytał — czy też Marie nie może się obyć bez swojej patronki?

— To drugie — westchnął Jan. — Ale musimy jeszcze zaczekać na suknie, które zamówiła. Są jej podobno ko-

niecznie potrzebne do zachowania równowagi ducha, choć zapewne nie tak niezbędne do zbawienia jak obraz Najświętszej Panny. Co do mnie, zależy mi przede wszystkim na tej równowadze. Jeśli jedwabne fatałaszkę mogą się przyczynić do uśmierzenia wybuchów gniewu i złagodzenia dąsów, gotów jestem czekać na nie jeszcze tydzień lub na-; wet dwa.

— Zatem aż tak źle z tobą.; — rzeki Ryszard kiwając głową-

f- Nawet znacznie gorzej — zapewnił go Marten tyfr samym żalnym tonem. —■ Nigdy się po sobie tego nie spodziewałem. Ale mówiąc poważnie, dokąd właściwie i po co wybierasz się na Biskaje?

Belmont powiedział mu w ogólnych zarysach o celu swe podróży.-

r- Muszę wylądować w Bayonne najdalej za czter, do pięciu dni — dodał, — Czy myślisz, że da się to zrobić?

— Jeśli chodzi o „Zephyra” — tak. Jeśli chodzi o se noritę de Vizella i jej krawcową — nie.

—Może jednak zdołamy ją przekonać, że mogłaby na razie poprzestać na strojach, które posiada. Nie będzie prze cięż występowała na żadnych bankietach i przyjęciach w te, podróży.;;

—Przekonać ją? — przerwał mu Jan. — Równie dobrze; mógłbyś spróbować przekonać mewę, że nie powinna latać i pływać, tylko chodzić na szczudłach. To na nic. Musimy ją postawić przed faktem dokonanym i przygotowa się na najgorsze,

Belmont doznał prawdziwej ulgi; był już naprawdę zai niepokojony, że Jan nie zechce wyruszyć natychmiast z powodu kaprysu Marie. Spojrzał na niego z uśmiechem.

— No, w takim razie nie jest z tobą jeszcze całkiem źle — ppowiedział.

fet Jest — zaprzeczył Marten. — Właśnie dlatego musz"

udawać, że nie dbam o nią tak bardzo, jak by mogła przypuszczać. Inaczej przepadłbym z kretesem. Jeżeli mamy zdążyć, powinniśmy jutro przed świtem podnieść kotwicę. — Doskonale — odrzekł Ryszard. — Wieczorem przywiozę swoje kufry z Kensington. Przypuszczam, że uda mi się również zdobyć szczudła dla twojej mewy, Może jednak zechce na nich chodzić — dodał.

Senorita Maria Francesca de Vizella obudziła się z głębokiego snu, gdy słońce stało już wysoko nad horyzontem. Nie od razu uświadomiła sobie, że okręt kołysze się bardziej niż zwykle i że fala jakoś inaczej szumi i pluszcze pod oknami kajuty. Dopiero cisza panująca dokoła, brak zwykłego gwaru portowego, który często z rana płoszył senne marzenia, zwróciły jej uwagę. Uczyniła znak krzyża, odrzuciła kołdrę i hamując niecierpliwość uklękła przy łożu, aby odmówić pacierz. Lecz w tej właśnie chwili dostrzegła rozłożony na krześle kompletny strój męski: obcisłe spodnie z jeleniej skóry ze srebrnymi klamrami, lekkie czerwone buty z safianu, wiśniowy aksamitny kaftan, śnieżnobiałą koszulę z małą półsztywną kryzą, pilśniowy kapelusz z obfitym pióropuszem i krótką szpadę w bogato ozdobionej pochwie.

Porwała się z klęczek i zlustrowała kajutę szybkim spojrzeniem, a potem z determinacją otworzyła szafę, w której wisiały jej suknie i leżała cienka bielizna.; Nie, nikt się tu nie ukrywał, była sama. Lecz ktoś musiał wejść, podczas gdy spała. Leonia? Nie, Leonia przychodziła tylko na wezwanie; zresztą którędy by weszła? Czyżby drzwi nie były zaryglowane?

Spojrzała na zasuwę, która była zamknięta; spróbowała nacisnąć klamkę, ale drzwi nie ustąpiły: zasuwę trzymała.-

Nie mogła tego pojąć. Nie było przecież Innego wejścia, a wczoraj wieczorem, gdy układała się do snu, z całą pew-

nością nie było na krześle tego wykwintnego męskiego stro-**ja!..**

Obejrzała go teraz dokładnie. Wszystko to było nowe, prosto z igły. Mimo woli przyłożyła kaftan do piersi spoglądając w lustro. Byłoby jej ładnie w tym kolorze i kroju. Przymierzyła kapelusz. Wydał jej się trochę za duży, lecz pomyślała, że to sprawa odpowiedniego uczesania. A spodnie? Zapewne pasowałyby jak ulał. Wyciągnęła szpadę o srebrnej rękojeści. Była lekka jak piórko, pięknie cyzelowana. Ale skądże się tu wzięło to wszystko?!

Raz jeszcze rozejrzała się po swojej sypialni; spostrzegła, że cienkie zasłony na oknach są zaciągnięte. Idąc, aby je rozsunać, zatoczyła się mimo woli: okręt kołysał się bardziej, niż jej się początkowo wydało. Wyrzała na zewnątrz. Dwie skiby spienionej wody rozchodziły się w lewo ! na prawo. Kilka mew żeglowało na jasnym błękitnie nieba, a w oddali brzeg zasnuwał się lekką mgiełką.

— Płyniemy! — powiedziała na głos.

Nie wiedziała, czy ma się tym cieszyć, czy martwić; gniewać się czy też przyjąć ten fakt spokojnie.

Dlaczego Marten nie uprzedził jej, że wyrusza? Co go|| do tego skłoniło? Dokąd zmierza?

Ciekawość nurtowała ją, niby jakiś prąd wibrujący we wszystkich nerwach, aż swędziały koniuszki palców i piekły uszy;

Wtem usłyszała głosy komendy i kroki nad głową. Machinalnie spojrzała w górę, na kasetonowy pułap. W jednym z kwadratów między belkami dostrzegła jasną szczelinę światła, a u przeciwległej krawędzi — zawiasy ukryte w boazerii. A więc można się tu było dostać przez klapę otwieraną z pokładu na tylnym kasztelu, niekoniecznie przez drzwi! Przygryzła wargę, a jej spojrzenie znów zatrzymało się na wiśniowym kaftanie i kapeluszu z piórami. Czy to miał być jej kostium podróży?

A moje suknie! — przypomniała sobie.

Lecz w tej chwili sprawa sukien wydała jej się o wiele mniej ważna niż wczoraj; niemal bez znaczenia.

Wróciła do krzesła, gdzie leżał ów męski ubiór, który tak ją intrygował i tak się jej podobał. Dotykała palcami miękkiej, matowej skóry, powąchała ją. Lubiła zapach garbnika. Miała wielką ochotę odziać się w ten strój i prawie natychmiast jej uległa.

Rzeczywiście, wszystko pasowało doskonale do jej figury. Naciągnęła buty i przypasała szpadę. Ujęła się pod boki, stanęła przed lustrem, obróciła się w lewo, w prawo, wykręcając głowę, aby zobaczyć, jak wygląda z każdej strony. Uśmiechnęła się zadowolona, zrobiła kilka kroków tam i z powrotem. Czowała się niemal całkiem swobodnie w tym przebraniu. Wsparła lewą rękę na gardzie szpady, złożyła niski ukłon swemu odbiciu, po czym usiadła, aby zczesać włosy.

Zaplotła je w dwa warkocze i umocowała ciasno dokoła głowy, pozostawiając za uszami \< na karku zwisające loki. Włożyła kapelusz. Przymierzała go w rozmaity sposób, tak aby można go było zdjąć i nałożyć z powrotem nie posługując się zwierciadłem. Osiągnąwszy i to, wypróbowała wszelkie rodzaje ukłonów: z zalotnym uśmiechem, z powagą, z lekką pogardą, z szacunkiem, łaskawie i lodowato.

Teraz nałożyła na policzki nieco szminki, przyciemniła powieki i lekko umalowała usta. Przyjrzała się sobie krytycznie, wyrwała szczypczykami jakiś niesforny włoszek z brwi, poprawiła loki,

Jestem ładna — pomyślała z uznaniem. — Może nie doskonale piękna, ale bardzo ładna i zgrabna. To znacznie ważniejsze niż piękność.

Poruszała się z wdziękiem, coraz swobodniej, oswoiwszy się już nawet ze szpadą, która z początku trochę jej zawadzała. Raz jeszcze spróbowała dobyć ją z pochwy i złożyć się jak do natarcia, tak jak to czynił kawaler de Belmont

podczas pojedynku z Martenem. Potem wykonała salut w stronę lustra i...; rozległ się brzęk kryształowego flakonu z wodą różaną, który przysł w kawałki...;

Trochę ją to zmieszało. Pozbierała odłamki szkła z dywanu i postanowiła, że Marten musi nauczyć ją swych szermierczych sztuczek;

Wreszcie oderwała się od lustra i odiyglowała drzwi, aby przejść przez korytarz do kajuty kapitańskiej, lecz ponieważ Martena tam nie było, wyszła na pokład, Ujrzała tu przede wszystkim Ryszarda de Belmont, który prowadził ożywioną rozmowę z Tomaszem Pocięchą i żaglomistrzem Hermanem Staufflem. Stali wszyscy trzej wsparci plecami o reling przy lewej burcie i nie patrzyli w jej stronę, tak że mogła przyglądać się im przez chwilę nie zauważona;

Belmont, jak zawsze wykwintny i wyświeżony, opowiadał im coś zabawnego, posługując się przy tym okrągłym gestem, oni zaś wtręcali rubaszne żarty, śmiejąc się głośno. Kulista, wygolona czaszka Stauffla połyskiwała w słońcu, jego pełna, rumiana twarz zdawała się tryskać zdrowiem, a niewinne niebieskie oczy — życzliwością dla całego świata. Maria Francesca w żaden sposób nie mogła wyobrazić sobie tego pogodnego, nieco otyłego — jak się zdawało — człowieka w zamęcie bitwy, kiedy zręczność i szybkość, bezwzględność, siła i odwaga decydują o życiu lub śmierci. Herman Stauffl wydawał jej się poczciwcem, który nie potrafiłby skrzywdzić muchy i raczej sam pozwoliłby sobie rozpruć brzuch, niż zadałby komukolwiek cios, nawet we własnej obronie.

Co innego główny bosman Pocięcha I Ten był silny jak niedźwiedź, to od razu rzucało się w oczy; wystarczyło spojrzeć na jego bary i olbrzymie łapska porośnięte jasną, siwiejącą szczeciną. Równie groźnie wyglądał cieśla, Broei Worst, przed którym odczuwała nieuzasadnioną, dziecienną obawę, może z powodu jego ślepego oka, zaszłego bielmem;

Miał rzadki rudy zarost na ospowatej twarzy i ustawicznie poruszał mocną, wydatną szczęką żując prymkę.

Rozpoznawała jeszcze kilku innych: wysokiego, czarnego Włocha o ironicznym spojrzeniu, którego przezywano Cyrulikiem, niechlujnego cwaniaka Slovena, który odznaczał się poza tym baraním głosem i zmiłowaniem do śpiewu, oraz wesołego, usłużnego Klopsa, który tytułował ją „panią kapi-tanową” mrużąc przy tym oko w taki sposób, że za każdym razem miała ochotę spoliczkować go za to.

Tych sześciu stanowiło — jak jej się wydawało — trzon całej załogi, liczącej około siedemdziesięciu ludzi. Wśród pozostałych byli zupełnie młodzi i dojrzały, brodac i bez zarostu, ciemni i o jasnej cerze, przeważnie rośli i dobrze zbudowani, lecz tych już nie potrafiłaby rozróżnić. Wszyscy mieli na głowach ciasno związane czerwone chustki, a w dni świąteczne lub jeśli schodzili na ląd — jednakowe kapelusze; ubierali się też na takie okazje w łośiowe spodnie z frędzlami u kolan i granatowe kaftany z cienkiego sukna. Wielu nosiło w uszach złote kolczyki i na palcach kosztowne pierścienie, a niektórzy podpinali rondo kapeluszy zekierami, jakich nie powstydziliby się niejeden szlachcic-

Senorita de Vizella musiała przyznać, że na żadnym innym okręcie korsarskim w Deptford nie widziała tak porządnie odzianej, dobrze wyćwiczonej i karnej załogi.- Żaden też inny okręt nie lśnił taką czystością jak „Zephyr”,-

Nie myślała zresztą o tym w tej chwili. Jej uwagę zajęli Marten i Stefan Grabiński. Szli przez główny pokład w stronę rufy, obaj wysocy, szczupli w biodrach i rozrośnięci w barkach, stawiając pewnie długie, mocne nogi, jakby stąpali po nieruchomej ziemi. Stefan był trochę niższy i szczuplejszy, jasny, o nieco jeszcze dziecięcym wyrazie ładnej twarzy. Jan miał cerę ciemniejszą, a rysy męskie, lecz przy swych trzydziestu siedmiu latach wyglądał jak starszy brat tamtego. Obejmował go lewą ręką z tyłu za ramiona, a prawą wskazy-

wał reje i rozpięte na nich żagle, wyjaśniając mu zapewne jakiś manewr. Obaj mieli na sobie ubiór podobny do odzieży bosmanów i marynarzy, z tą różnicą, że byli obuci, a ich jednakowe koszule z miękkiej wełny lśniły w słońcu niepokalaną białością.

Gdy zaczęli wstępować[^]po trapie prowadzącym na rufę, kawaler de Belmont, Pociecha i Stauffl ruszyli na ich spotkanie, po czym wszyscy razem zatrzymali się na skraju schodni, jakby mieli odbyć jakąś krótką naradę czy też wysłuchać poleceń Martena.

Maria Francesca, dotąd przez nich nie zauważona, stała w cieniu półotwartych drzwi kasztelu i zawczasu bawiła się wrażeniem, jakie robi ukazując się nagle ich oczom. Postąpiła parę kroków naprzód i ujmując się w boki powiedziała:

— Witam was, senores.

Zwrócili się do niej jednocześnie i przez krótką chwilę patrzyli na nią w milczeniu. Belmont przerwał je pierwszy; pochylił się w niskim, trochę przesadnym ukłonie i odpowiedział na powitanie, za czym dodał, iż czuje się szczęśliwy widząc ją w dobrym zdrowiu, wesołym humorze i kwitnącej urodzie. Marten i Stefan skłonili się również, a Pociecha i Stauffl naśladowali ich z wybałuszonymi oczyma i ustami otwartymi z podziwu. Cofnęli się zresztą zaraz i tylko z daleka rzucali ukradkowe spojrzenia na tę piękną damę przebraną za chłopca, która — jak się domyślali — zawładnęła sercem kapitana.

Stefan Grabiński, zarumieniony i zmieszany jak zwykle, '< ilekroć spoczęło na nim wejrzenie orzechowych oczu senority de Vizella, chciał również odejść, lecz Marten zatrzymał go przy sobie.

— Por Dios! — zawołał głośno, zwracając się do I Marii. — Wyglądasz jak królewicz z bajki, seniorita!

Maria Francesca uśmiechnęła się łaskawie.

—Słyszałam dotąd tylko o królewnach pilnowanych przez smoki i potwory — powiedziała. — Kto ośmielił się wejść do mojej sypialni, aby mi przynieść to przebranie? — zapytała marszcząc lekko brwi.

—Potwór, który cię więzi i strzeże — odrzekł Marten ze skruczą, uderzając się w pierś, aż jęknęło.

—Nie wyobrażasz sobie, Marie, jakiego miał stracha, że się obudzisz i sprawisz mu łaźnię — roześmiał się Ryszard. — A jednak nie zgodził się, abym go wyręczył, Seniorita zdawała się go nie słuchać.

—Żądam, aby kłapa nad moją kajutą została zaopatrzona w zasuwę i zamknięta od wewnątrz — powiedziała do Martena.

— Wcale sobie nie życzę, abyś mógł tam wchodzić nieproszony. Poza tym chciałabym wiedzieć, dokąd płyniemy i dlaczego wyruszyłeś tak nagle, nie uprzedzając mnie o tym.

—Żaden smok, o ile mi wiadomo, nie uprzedzał zakłętej królewny o swych zamiarach lub ich nagłych zmianach — odrzekł. — Postąpiłem więc zgodnie ze swym wstrętnym smoczym charakterem. To jedno. Po drugie — przyrzekam, że i nadal nie będę wchodził nieproszony do twojej kajuty, jeśli zaczniesz mnie do niej sama zapraszać, i to pod nieobecność Leonii. Po trzecie — płyniemy do Zatoki Biskajskiej, aby zgodnie z twoim życzeniem zdobyć pierwszy napotkany statek czy okręt portugalski lub hiszpański i zabrać z niego obraz Madonny.

Maria Francesca zacisnęła usta. A więc ważył się na to! Dotychczas nie dowierzała, by miał spełnić swą pogroźkę. Jeśli wspominała o tym, to dlatego, aby mu dopiec. Wydawało jej się, że nie zechce narażać „Zephyra” jedynie dla zaspokojenia takiej zachcianki. Lecz on nie rzucał słów na wiatr i teraz ogarnęła ją obawa. Nie o „Zephyra” i nie o niego samego; może o ten okręt, który miał być zdobyty? Legendy o nieustraszoną korsarzu narzucały się znów jej

pamięci. Jakże mogła powątpiewać w prawdziwość tego. co opowiadała Joanna!

A jeżeli spotkamy okręty wojenne?... — pomyślała. — Jeżeli Marten uwikła się w bitwę z przeważającymi siłami... Jeżeli „Zephyr” spotka na swej drodze eskadrę Blasco de Ramireza... Jeżeli ulegnie..-;

Czuła, jak serce jej uderza silniej i jak przenika ją dreszcz lęku. Lęku o kogo? Nie o siebie przecież! Więc ^ o życie narzeczonego? Chyba także nie. Obawiała się raczej, aby nie stchórzył, niż aby nie zginął. To drugie zniosłaby znacznie spokojniej i łatwiej. Ale o kogóż się lękała w takim I razie?

Pomyślała, co by ją czekało, gdyby rzeczywiście Mar-; tena spotkała klęska. Byłaby wówczas wolna; powróciłaby do Lizbony i zapewne wyszłaby za komandora de Ramireza. A potem? Przebywałaby albo u matki, albo u dziadka, jak dotąd, ponieważ Blasco z pewnością nie zabierałby jej z sobą na morze, a młodej małżonce nie wypadałoby miej !j szkać samotnie. Z tej samej przyczyny musiałaby zrezygno- ■ wać z udziału w bankietach, balach i przyjęciach, a w każ-1 dym razie ograniczyć takie wystąpienia do ściśle rodzinnych. I Z kim mogłaby pokazywać się w teatrze lub na corridos j i corrida de toros? Jakże ostrożnie musiałaby postępować, j aby uniknąć plotek i zgorszenia z lada powodu!

Czyż mogła jednak myśleć o zerwaniu tego narzeczeń-stwa i dokonaniu innego wyboru? Byłoby to skandalem. Jej ojciec, don Emilio nie pozwoliłby na coś podobnego; kłamka już zapadła. Podważał ją tylko zuchwały korsarz, lecz przecież nie mogła zostać żoną tego człowieka.

Sama myśl o tym napelniała ją zgrozą. Marten zapewne nie był nawet szlachcicem i w swej własnej ojczyźnie z pewnością nie należał do hombres finos. Poza tym był niedowiarkiem, a może nawet kumał się z diabłem.

Lecz był sławny, I — musiała to przyznać — urodziwy^

jak żaden inny mężczyzna. Podobał jej się bardziej niż kawaler de Belmont, choć tamten miał pańskie maniery i pochodził z rodziny szlacheckiej. Gdyby Marten był hidalgiem lub przynajmniej cudzoziemskim hrabią.;

Skarciła się w duchu za te grzeszne rozważania. Wszak sama błagała Madonę — Madonę z Ałter do Chao! — o wyzwolenie z rąk tego nikczemnika, który wygrał ją w karty jak dziewczkę lub niewolnicę;

I to ja sama mu w tym dopomogłam! — pomyślała ze wstydem. Co za hańba! Na szczęście nigdy się nie dowie o moich myślach — uspokoiła swe wzburzenie.. I nigdy, przenigdy mnie nie zdobędzie — dodała.-

Lecz to ostatnie postanowienie miało posmak lekkiej goryczy i melancholii. Aby się go pozbyć, seniorita Maria Francisca de Vizella przerzuciła się od rozważań o swej przyszłości do chwili obecnej i przypomniawszy sobie w porę, że jest na czczo, oświadczyła, że chętnie zjadłaby śniadanie^

6

Najmłodszy z bosmanów „Zephyra”, syn Jana z Grabin, zwany Stefanem Grabińskim, od kilku dni doznawał wielkiej rozterki uczuć i myśli. Przede wszystkim z powodu

Henryka Sehultza, któremu zawdzięczał tak nieoczekiwany i pomyślny zwrot w swoim młodym życiu, a do którego mimo to czuł instynktowną niechęć.

Owa niechęć obudziła się już podczas ich parotygodniowej podróży z Gdańska do Londynu. Schultz poświęcał wiele godzin na rozmowy ze Stefanem, trzymając go przy sobie w kajucie lub przechadzając się z nim po tylnym pokładzie. Udzielał mu rad i nauk na przyszłość, popierając je przykładami z własnego życia lub przytaczając przykłady niewłaściwego postępowania innych, przy czym wśród „innych” czasem można się było domyślać osoby Martena. Te kazania, jak Stefan nazywał je w duchu, mogłyby go zaciekawiać i może przekonać, gdyby nie były gęsto naszpikowane wygłaszanymi z namaszczeniem morałami i gdyby poprzez zawołowane aluzje nie zmierzały do jednego celu: do ostrzeżenia niedoświadczonego młodzieńca przed zgubnym wpływem jego przyszłego kapitana, wartogłowa, awanturnika i niedowiarka, Jana Martena. Schultz bowiem uznawał wprawdzie znakomite zdolności dowódcy „Zephyra” na morzu i w bitwach, lecz odmawiał mu zarówno umiarkowania i rozsądku, jak wszelkich zalet, którymi zdobywa się szacunek zacnych, porządnych ludzi i łaskę opatrności.

Na przekór tym usiłowaniom swego dobroczyńcy Stefan bynajmniej nie powziął z góry jakiegokolwiek nieufności do Martena. Przeciwnie: zuchwały, szczodry, nawet rozrzutny korsarz wyrastał w jego wyobraźni na bohatera, podczas gdy Schultz wydawał mu się coraz bardziej oschły, zarozumiały i wyrachowany. Zbyt często przypominał mu o obowiązkach wdzięczności za to, co uczynił dla jego matki wdowy po „buntowniku” i co czynił teraz dla niego samego. Zbyt jasno dawał mu do zrozumienia, czego po nim oczekuje. Zbyt przejrzysto liczył na jego pomoc przy zawładnięciu „Zephyrem”.

Chłopiec słuchał i milczał, lecz często płonął ze wstydu,¹

nie mogąc się zdobyć na szczerą odpowiedź. Czasem przychodziło mu na myśl, że na opak rozumie słowa i intencje szlachetnego, wspaniałomyślnego człowieka, za jakiego jeszcze do niedawna uważał Henryka Schultza; że fałszywie go osądza; że sam jest zepsuty i nikczemny; że — być może — Marten istotnie zasługuje na potępienie i tylko on tego nie umie dostrzec, nie znając go przecież tak dobrze jak szanowny, pobożny opiekun, który co niedziela przystępuje do spowiedzi i komunii, a zatem ma z pewnością czyste sumienie i prawy charakter.

Biedził się z tymi myślami i wątpliwościami, lecz nie zdradzał ich przed Henrykiem. Wydawał się skutkiem tego milczący i niezbyt rozgarnięty, co zresztą bynajmniej nie stawało na przeszkodzie dalekim planom Schultza. Owszem, wolał go mieć raczej trochę ograniczonym niż nad miarę bystrym i inteligentnym, byle potrafił w przyszłości dowodzić takim okrętem jak „Zephyr”. Co do tego ostatniego nie miał wątpliwości: podczas podróży mógł sam stwierdzić, że Stefan już teraz zna się na żegludze lepiej niż niejeden 7. gdańskich szyprów, a opinie o nim poufnie zebrane w Gdańsku potwierdzały to mniemanie.

Za rok lub dwa pod kierunkiem Martena wydoskonali się w morskim rzemiośle — myślał. — Marten go polubi; Jest do niego trochę podobny. Nie za wiele, ale trochę; tyle ile trzeba. Jest dostatecznie zdolny do tego fachu i dość naiwny, abym mógł nim pokierować, jak zechcę. Będę miał z niego pociechę. Za dwa lata mógłby już dowodzić „Ze-phyrem”.-

Stefan nie myślał o zdobyciu tak wspaniałego stanowiska, zwłaszcza na „Zephyrze”, i to już po dwu latach. Gdy poznał Jana Martena, niemal od pierwszego wejrzenia prysły wszelkie wątpliwości, tak usilnie podsuwane przez Schultza: Marten okazał się właśnie taki, jakim go sobie wyobrażał i wymarzył. Nie prawil mu kazań i morałów, ze

szczerym zainteresowaniem wypytywał go o matkę i bynajmniej nie zdawał się potępiać Jana z Grabin oraz Macieja Paliwody za ich udział w walce pospólstwa z gdańskimi pa-trycjuszami. Przede wszystkim jednak mówił o wielkim świecie, niezmiernych oceanach i dalekich lądach, o żegludze i nawigacji, o wiatrach i burzach, o bitwach, manewrach i kierowaniu ogniem działowym;

— Na to, aby zostać prawdziwym marynarzem — po-j wiedział kiedyś — na to, aby dowodzić okrętem i zwyciężać zarówno w bitwach z ludźmi, jak z żywiołami, musisz poznać nie to, czego twój okręt dokonać nie może; musisz raczej przeniknąć, do czego jest zdolny, jeśli się z nim właściwie obchodzisz, i jeśli siebie także stać na wielki wysiłek^ na męstwo, na wytrwałość i odwagę. Rozumiesz tę różnicę? Musisz wierzyć, że okręt cię nie zawiedzie, jeżeli ze swej strony zrobisz wszystko, aby mu pomóc-

Stefan uczył się codziennie, podczas każdego manewru, jak należy pomagać „Zephyrowi”. Żaden okręt bałtycki nie miał tylu i takich żagli jak „Zephyr”; żaden nie miał tak wysokich masztów i tylu rej; żaden też nie żeglował przy tak silnych wiatrach z taką ilością płótna, leżąc na burcie i lecąc przez fale jak zrywający się łabędź. Zaiste każdy -z jego bosmanów, pełniących służbę przy kole sterowym, był mistrzem w utrzymywaniu go na kursie; mistrzem, w którego rękach pulsowało serce okrętu: jeden nieostrożny obrót koła, chwila nieuwagi, niewłaściwe sparowanie natarcia fali, mogły w tych warunkach pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki, aż do wywrócenia „Zephyra” na bok czy nawet do góry dnem. Toteż podczas gwałtownej wichury, gdy okręt pędził pod wszystkimi żaglami z prędkością piętnastu czy szesnastu węzłów, u steru stawali tylko najbardziej doświadczeni marynarze, a gdy gotowano zwrot na przeciwny ciąg, często sam kapitan ujmował uchwyty koła. Często też w takich przypadkach przywoływał Stefana, oddawał mu ster

w ręce, a sam stojąc za jego plecami opierał mu dłonie na barkach.

— Jak pokierowałbyś manewrem? — pytał zbliżając twarz do jego twarzy.

Uważnie wysłuchiwał odpowiedzi, czasem ją uzupełniał jakąś uwagą, tłumaczył, dlaczego tak, nie inaczej, ale najczęściej uśmiechał się tylko i z uznaniem potrząsał głową. — Ten chłopiec miał wrodzone zdolności do morskiego rzemiosła; był stworzony na marynarza; potrafił natychmiast ocenić wspaniałe zalety „Zephyra” i bardzo szybko pojął, w jaki sposób najlepiej je wykorzystać. A przy tym pokochał ten okręt. Był z niego równie dumny, jak sam Marten i służył mu z całym oddaniem, nie oszczędzając sobie żadnego trudu, zawsze gotów do pracy bez wezwania, ponad przypadające na niego obowiązki i czynności.

Wyprawa do Bayonne rozpalila jego wyobraźnię. Zdawała się zapowiadać najbardziej niezwykle przygody, o jakich marzył. Marten pokrótce wyjaśnił mu cel tej podróży, a zwłaszcza jej trudności w związku z hiszpańską blokadą południowo-zachodnich wybrzeży Francji; Wspomniał też mimochodem o swoich własnych zamiarach dotyczących zdobycia obrazu Madonny na pierwszym napotkanym statku hiszpańskim lub portugalskim, lecz właśnie ta niejako uboczna sprawa jeszcze bardziej podnieciła ciekawość Stefana, wprowadzając go w zdumienie swą zuchwałością;

Nawet kawaler de Belmont wyraził pewne zastrzeżenia co do czasu, w jakim Marten zamierzał wykonać swój pomysł: jego zdaniem w drodze do Bayonne należało raczej unikać walki, niż ją wszczynać, i to dla tak błahego powodu. Lecz Jan odpowiedział, że przyrzekł zdobyć ów obraz przy pierwszej sposobności i nie zamierza teraz się cofać, choćby od tego miały zależeć losy Anglii i Francji wraz z konszachtami hrabiego Essexu, Antonio Pereza i Henryka IV.

—• Pamiętaj, że obiecałeś również najdalej za pięć dni dopłynąć do Bayonne — rzekł na to Belmont,

— Pamiętaj, bądź spokojny — odparł Marten, a Stefan] pomyślał, że za nie w świecie nie wyrzekłby się udziału w tej wyprawie^

Pomyślał także o tym, co tak usilnie wkładał mu do głowy Henryk Schultz: miał przecież w miarę sił i możliwości] nakłaniać Martena do porzucenia korsarskiego rzemiosła] w obcej służbie i do powrotu na Bałtyk.

Nie wierzył, aby mu się to udało, ale pomijając już tę] zasadniczą kwestię, nie miał na to najmniejszej ochoty! Działałby wbrew sobie, wbrew własnym pragnieniom i ma^ rzeniom,, które oto dopiero zaczynały się spełniać.

Jestem niewdzięczny — myślał. — Ale przecież niczego nie obiecywałem.

Mimo to czuł się winny. Z jednej strony — ponieważ! wiedział już, że jego dobroczyńca zawiedzie się na nim,] z drugiej — ponieważ uważał, iż do pewnego stopnia dał i się wciągnąć w zмовę przeciw Martenowi.

Powinienem mu to wyznać — myślał dalej. — Martena powinien o tym wiedzieć. Lecz byłaby to zdrada wobec szla-j chętnego opiekuna matki, wobec człowieka, który mi zaufał.

Gryzł się tym coraz bardziej, nie umiejąc znaleźć roz- strzygnięcia. Za późno dostrzegł, w jak dwuznacznej sytuacji] postawił go Schultz, prowadząc z nim przyjazne rozmowy] i napomykając o swoich planach na przyszłość. Teraz kręcił] się jak w błędnym kole bez wyjścia.

Dlaczego nie zapytał wówczas wprost o wyjaśnienie tycia wszystkich jego aluzji i niedomówień? Czemu pozostawił go j w mniemaniu, że je rozumie i że zgadza się na przyjęciej narzuconej sobie roli? Dlaczego starał się uwierzyć w czy-J stość jego intencji wbrew instynktowi, który go ostrzegał?!

Gdybym wtedy znał kapitana, nie zawahałbym się ani3 przez chwilę — pomyślał.

Ale czy znał go teraz? Znowu ogarniały go wątpliwości. Znowu przychodziło mu do głowy, że ulega bardziej swojej naiwnej wyobraźni, zapalowi gorącego serca, niż realnej rzeczywistości i wskazaniom rozumu.

Do wszystkich tych zgryzot nawiedzających go zwłaszcza w chwilach, gdy nie miał nic do roboty lub późno w nocy, gdy spędzały mu sen z powiek, przyłączył się wkrótce niepokój, którego źródłem były spojrzenia i uśmiechy seno-ryty de Vizella.

Marię Franceskę bawiło jego zmieszanie, ilekroć spotykał jej wzrok. Uśmiechała się wtedy tajemniczo i obiecująco, ze świadomą kokieteryą, a Stefan spuszczał oczy i rumienił się nie tylko pod wrażeniem jej piękności, lecz także z gniewu na siebie samego, że tak łatwo i tak bardzo poddaje się owym czarom.

Czasem pytała go o coś lub przemawiała do niego półzartem, aby się przekonać, jakie postępy robi w języku hiszpańskim, którego uczył się zapamiętane, na równi z marynarską gwarą angielsko-holenderską. To mieszało go jeszcze bardziej. Starał się odpowiedzieć rozsądnie, lecz wyobrażał sobie, że musi mieć przy tym minę człowieka, który staje wobec konieczności rozwiązania zawiązanego problemu. Wydawało mu się, że wszystkie znane słowa ulatują mu z pamięci, podczas gdy sytuacja wymaga największej koncentracji sił umysłu. Zdobywał się przecież na wypowiedzenie jakiegoś bardziej lub mniej udanego zwrotu i z gorącym rumieńcem usprawiedliwiał jego niedoskonałość. Senorita uśmiechała się, chwaliła jego wymowę i obdarzała go jeszcze jednym powłóczyстым spojrzeniem, pod którym płonął jak piwonia.

— Zaleca się do was ta damulka — mawiał później i Slo-ven. — Na waszym miejscu przyskrzyniłbym ją w jakimś ustronnym kąciku, żeby z nią pogadać na migi. Szyper nie wzięłby wam tego za zło. możecie mi wierzyć!

Stefan wzruszał ramionami lub zgoła nie odpowiadał na

te zaczepki.- Przysłuchiwał się natomiast ze wzrastającą eie\$ kawością rozmowom starszyny bosmańskiej dotyczących Marii de Vizella.-

Główny bosman, Tomasz Pociecha, uważał ją za czarów-] nicę i przepowiadał, że nic dobrego nie wymknie z jej obe-] cności na okręcie;

— Nic dobrego — powtarzał — ani dla Jana, ani dla] „Zephyra”;

Podobnie myślał Broer Worst, który zresztą pierwszy] w obecności Stefana wyraził swe obawy.; Było to w dniu] wyruszenia z Deptford, gdy Stefan na życzenie Martena wziął! udział w śniadaniu z kawalerem de Belmont i Marią, a po-\$ tern z lekkim zawrotem głowy (zarówno od wypitego wina,| jak od jej spojrzeń) wymknął się na pokład. Worst łypnął na' niego swym jedynym okiem, przesunął językiem kęs prymki I pod lewy policzek I oświadczył, że niczego się tak nie lękajj jak babskich rządów na okręcie;

—; Ba! — wykrzyknął na to Stauffl, który znał jego] żonę. — Wydaje mi się, że u siebie w Rotterdamie też siei ich bałeś. I to nie na okręcie, tylko pod ciepłym kocem albo"! i pod pierzyną. Twoja stara...-

■— Moja stara nie ma tu nic do rzeczy — przerwał inuj] Worst trochę urażony;

■— I pierzyna także nie — wtrącił Percy Sloven, a ko^ rzystając z tego, że dopuszczono go do głosu, prawil dalej A

— Ta sprytna dziewczuszka jeszcze tam naszego szypraj nie wpuściła, jak mi się widzi. Mówię wam, rozumie się *onsą* dobrze na tych sprawach: im później* tym więcej będzie mogła u niego wytargować. Znałem jedną taką. Certowała sięii ze mną chyba z miesiąc i przez ten czas oczyściła mi kieszenie do samego dna.- Ale dziś nie dałbym się już wódzia za nos, jak nie przymierzając nasz kapitan. Na jego iniejseuj powiedziałbym krótko: wóz albo przewóz, moja panienczko,^ i żadnych ceregieli. Możecie mi wierzyć, zaraz by zmięła.4;

—Głupiś — powiedział Tessari ze swym ironicznym orymasem. — Tyle się na tym rozumiesz, ile szympans na cymbałach. Nawet byś gęby nie umiał otworzyć do takiej seniority; A o babskie rządy na „Zephyrze” nie ma się co obawiać, póki Marten nim dowodzi — zwrócił się do Worsta. — Nie ona pierwsza zawróciła mu trochę w głowie, nie ona ostatnia. Ale, jak go wszyscy znamy, żadna tu nie będzie rządzić. Mam rację czy nie? Jak myślicie? — spytał utkwivszy przenikliwe spojrzenie w oczach Stefana.

—Myślę, że tak — odrzekł chłopak trochę zaskoczony tym pytaniem.

—No więc — mruknął Cyrulik, kładąc mu rękę na ramieniu. — Warto, żebyście o tym pamiętali, jak z nią rozmawiacie, panie Grabiński;

Klepnął go przyjaźnie po plecach, odwrócił się i odszedł.

Tymczasem „Zephyr” pod sprzyjającym wiatrem przebył La Manche i ominąwszy brzegi Bretanii skierował się na południowy zachód, jakby w zamiarze dotarcia do przylądka Finistere lub jakby celem jego podróży nie była ani Bayon-ne, ani żaden z portów francuskich w głębi Zatoki Biskajskiej, lecz raczej Azory czy też Madera.

. W ciągu całej następnej doby nigdzie w pobliżu nie ukazał się żaden okręt hiszpański, a dwa żaglowce, którym Marten przeciął drogę, płynęły na północ pod banderą angielską, nie wzbudzając żadnych podejrzeń:

Mimo to cała załoga była w pogotowiu, a seniorita de Vizella nie mogła ukryć podniecenia, jakie ogarniało ją na widok owych statków i z powodu manewrów „Zephyra”, który kolejno przeleciał obok każdego z nich niczym jastrząb upatrujący ofiary.;

Nie zamykała się teraz w swojej kajucie, lecz przeciwnie — niemal cały dzień spędzała na pokładzie, paradując w męskim stroju, ze szpadą u boku i wypytując o każdą zmianę ciągu, o ustawianie i mocowanie żagli i rej nie tylko

Belmonta i Martena, lecz również Stefana, starszych bosmanów i nawet prostych marynarzy, jeśli znaleźli się pod ręką.

Odpowiadano jej na ogół usłużnie, odwzajemniając żart i uśmiech, lub z powagą, rzeczowo, jak to czynili Pocięcha i Broer Worst. Percy Sloven szczyrzył do niej zęby i gadał jak nakręcony, pomagając sobie na migi z braku słów hiszpańskich, których znał niewiele i które niemożliwie prze- J kręcał, co bardzo ją śmieszyło na równi z jego beczelną } szarmanterią. Doznawała przy tym niejakiego odprężenia' i nawet chwilami bawiła się szczerze, zapominając o tym, że każdy następny żaglowiec, jaki zostanie dostrzeżony;! z marsa na fokmaszcie, może się okazać okrętem hiszpańskim, z którym Marten — nie wątpiła już w to — rozpocznie bitwę.

Nie była to zresztą obawa, a z pewnością nie obawa o własne życie. Maria Francesca po pierwsze nigdy by nie uwierzyła, że sama może zginąć, po wtóre zaś ani huk armat, ■ ani zamęt i zgiełk walki nie przerażały jej tak dalece, aby miała lękać się ich na samą myśl o owej rozprawie. Jednak napięcie, jakiś wewnętrzny niepokój, ustawiczna wibracja nerwów nie opuszczały jej niemal od samego rana. Czuła się jak przed burzą; jak na chwilę przed mrokiem ogarniającym] świat, gdy groźne, czarne chmury mają zgasić światło słońca. Wydawało jej się, że oto los — jej własny los czy też przeznaczenie — pochyla się nad nią nisko, krąży dokoła, za- | głąda jej w oczy, owiewa ją swym tchnieniem, waży i waha się, zanim potoczy się gwałtowną lawiną zdarzeń.

Zapytała Ryszarda, czy jego zdaniem jest możliwe, że „Zephyr” spotka na swej drodze eskadrę Blasco de Rami-reza.

— Możliwe — odrzekł. — Ale mało prawdopodobne. Twój novio, Marie, ma z pewnością ważniejsze i bardziej odpowiedzialne zadanie niż pilnowanie wybrzeży francuskich.

— Gdyby wiedział! — westchnęła.

Lecz kawaler de Belmont pochwycił jej spojrzenie spod oka, towarzyszące tym nieco teatralnie wypowiedzianym słowom i uśmiechnął się sceptycznie.

— Założyłbym się, że nie jesteś zupełnie pewna, czy chciałaś go spotkać w tej podróży — powiedział.

Zaprzeczyła, lecz bez wielkiego przekonania: owszem, pragnęłaby zobaczyć na własne oczy, jak Blasco zdobędzie „Zephyra” i jak Marten wraz z Belmontem zawisną na rejach.

— Stanie się tak bez wątpienia — dodała — jeśli tylko siły po obu stronach będą równe; jeśli korsarze nie będą rozporządzać przygniatającą przewagą, jak dotychczas.

— Czy doprawdy wierzysz w to, że kiedykolwiek mieliśmy nad nim przewagę? — zapytał Ryszard.

— Oczywiście. Przecież gdyby było inaczej...

— Pleciesz głupstwa! — przerwał jej podrażniony. — Ilościowa przewaga zawsze była po jego stronie. Zawsze miał więcej okrętów, dział i załogi. Nigdy nie zdarzyło się inaczej. Jeśli chodzi o „Santa Cruz”, to jest on niemal trzykrotnie większy od „Zephyra”. Jego uzbrojenie stanowią trzydzieści dwie armaty, w tej liczbie dwadzieścia cięższych od dział „Zephyra”. Prócz nich flagowy okręt twego wspaniałego komandora niesie na pokładzie ze dwa tuziny hakownic i liczy co najmniej dwustu ludzi załogi, podczas gdy Marten ma ich sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu. Ale każdy marynarz Martena wart jest pięciu innych i poszedłby za nim do piekła, a każde z dwudziestu dział „Zephyra” trafia, ilekroć wystrzeli. Poza tym..;

— To wystarczy — przecięła wyniośle. — Mógłbyś zostać jego clamatore, tak jesteś wymowny. Za mną nie powiedziałabyś jednak ani jednego słowa;

— Och, Marie! — zawołał rozśmieszony tym nagłym zwrotem. — Tobie nie są potrzebni clamatores! Dajesz sobie

doskonale radę nawet z Martenem. Tylko sama z sobą jeszcze nie doszła do ładu, jak mi się zdaje,

U schyłku dnia, na jakieś dwie godziny przed zachodem] słońca, majtek siedzący na marsie zawołał, że wprost od południa zbliżają się trzy okręty, a wkrótce potem Klops,; który wspiał się na najwyższą reję, rozpoznał dwie duże karawele poprzedzane przez dwupokładową galeonę z hiszpańskimi krzyżami na żaglach i czerwono-żółtymi flagami] powiewającymi na wietrze*

Marten wysłuchał jego relacji, przygryzł wąsa I zdawał się przez chwilę rozważać, jak ma postąpić. Czuł na sobie] wyzywające spojrzenie Marii oraz trochę zaniepokojony wzrok Belmonta, a także spojrzenia swojej załogi, ale milczał, jakby się jeszcze wahał, To milczenie przedłużało się, a on patrzył na coraz wyraźniejsze sylwetki okrętów, jakby nie mogąc zdobyć się na żadną decyzję.;

Smuklejsza ł widocznie szybsza galeona wysuwała się coraz bardziej naprzód, wykręcając nieco ku wschodowi; Zapewne jej dowódca zamierzał minąć „Zephyra” z lewej burty, pozostawiając dwu ciężkim karawelom wolną drogę na wprost, tak aby na wszelki wypadek odcięły mu odwrót w kierunku zachodnim, na pełne morze]

Belmont był niespokojny i zły]

Diabli nadali to spotkanie r-] pomyślał. — Nie będzie^ my przecież w pojedynkę atakowali takiej siły.- — Jeżeli Marten ma choć trochę rozsądku, powinien wycofać się póki czas. Żaden z tych okrętów nie dogoni „Zephyra”; Ale Marie.;

~ I cóż teraz będzie? — usłyszał ironiczny, a zarazem triumfujący głos Marie,-

Naturalnie, należało tego oczekiwać — pomyślał. ~ Bę-

dzie go prowokowała, a on.; Diabli nadali! — powtórz! w myśli.

Marten odwrócił głowę.

— Zdobędę ten okręt — powiedział.

Powiedział to tak, jakby oświadczał, że weźmie kąpiel albo że zje obiad.

—• Jest znacznie szybszy od tamtych — dodał jeszcze w formie wyjaśnienia na użytek Ryszarda, — To upraszcza sprawę.-

Kawaler de Belmont nie od razu pojął, o co mu chodzi, ale nie zadawał pytań, a Marie po prostu wybuchnęła krótkim nerwowym śmiechem.

— To będzie twój koniec, głupcze! — zawołała. — Ale nie ośmielisz się, wiem o tym.

Marten nie odpowiedział; nie patrzył już na nią; całą jego uwagę pochłaniała teraz galeona żeglująca ostro do wiatru. Zbliżała się szybko i pomyślał, że musi mieć zręcznego kapitana oraz sprawną załogę, skoro potrafi tak dobrze lawirować.

Mógłby jednak łatwo się jej wymknąć, gdyby tylko zechciał. Miał na to dość czasu. Mógłby po prostu przebraso- wać reje, wykręcić na północny zachód i pożeglować z bocznym wiatrem, zanim obie karawele zdążą się zbliżyć na odległość skutecznego ognia. Lecz wówczas oddaliłby się od szybkiej galeony, a to wcale nie sprzyjało jego zamiarom. Chciał ją mieć blisko: tak blisko, by jej dowódca ani na chwilę nie tracił „Zephyra” z oczu.

Zamiast więc wykonać manewr, którego oczekiwał Ryszard, zwrócił swój okręt w lewo, prosto na wschód.

„Zephyr” z masztami pełnymi żagli pochylił się na bok pod tegim tchnieniem wiatru, jakby składając niski ukłon galeonie, z pełną prędkością zatoczył łuk w bezpiecznej odległości przed lawirującym Hiszpanem i pozostawiając go nieco w lewo za rufą, podniósł się na beidewind.-

Mimo iż wskutek tego prędkość jego znacznie zmalała, hiszpańska galeona zaczęła coraz bardziej zostawać w tyle. Belmont zauważył, że brasują na niej reje na przeciwny ciąg, i znów błysnęło mu w głowie, że Jan zyskuje przez to nową okazję do ucieczki na otwarte morze. Lecz w tej samej chwili Marten wydał rozkaz podciągnięcia do rej kilku żagli na giej Ławach i gordingach, a „Zephyr” znów zwolnił biegu.

Teraz wreszcie oba okręty płynęły z równą prędkością, co zdawało się czynić zadość życzeniom Martena, a zarazem obudziło nowe wątpliwości w umyśle seniority de Vizella.^s Wbrew swym zapoAviedziom, korsarz unikał walki; uciekał; starał się zbliżyć ku brzegom Francji!

Pomyślała, że zapewne chce się schronić pod osłoną dział La Rochelle i że w ciemnościach nadchodzącej nocy może mu się to udać. Doznawała sprzecznych uczuć: triumfu nad nim, a zarazem żalu i rozczarowania.

—Widzę, że niepilno ci do tej rozprawy — powiedziała stając przed nim na pokładzie rufy.

—Nie — odrzekł z roztargnieniem. — Nie ma się co śpieszyć.

Kapitan hiszpańskiej galeony „San Jago” nie żywił szczególnych podejrzeń wobec niewielkiego cudzoziemskiego żaglowca, który samotnie płynął w kierunku południowym* tak daleko od brzegów Francji. Instrukcje, jakie otrzymał, nie przewidywały nawet zatrzymywania takich okrętów i tylko sygnał dowódcy eskadry skłonił go do zmiany kursu. Jego przełożony życzył sobie zapewne, aby kapitan przyjrzał się z bliska temu zgrabnemu statkowi, a może pragnął także przypomnieć tamtemu szyprowi, że na Biskajach i wszędzie w pobliżu Półwyspu Pirenejskiego panuje flota

Króla Katolickiego, której należy się salut każdej obcej bandery.

Lecz ów mały okręt o niezwykle wysokich masztach i nie spotykanym ożaglowaniu nie tylko nie oddał salutu swą dziwną czarną banderą, na której złocił się jakiś zwierz czy też smok, ale zachował się zgoła inaczej, niż tego oczekiwano na „San Jago”. Jego nagły zwrot, bardzo ryzykowny pod pełnym ożaglowaniem, jak go ocenił kapitan galeony, zdawał się wskazywać na to, że cudzoziemski szyper nie ma ani zbyt czystego sumienia, ani ochoty na zawarcie choćby przelotnej znajomości z czerwono-żółtą banderą Filipa II. Zmierzał teraz w stronę Francji i z początku mogło się zdawać, że umknie. Ale widocznie żegluga w beidewiind sprawiała mu niejaki trudności — może z powodu owych zbyt wysokich masztów oraz dodatkowych rej na fok i grocie, a także całego stada żagli trójkątnych, które kolejno musiał opuścić — i oto już się nie oddał, a nawet odległość między nim a „San Jago” zdawała się nieco zmniejszać.

Kapitan galeony nie mógł już porozumieć się ze swym dowódcą, ponieważ obie karawele pozostały daleko w tyle, w samym środku oślepiającego blasku słońca, które opuszczało się coraz niżej nad Atlantykiem. Nie wiedział zresztą, czy płyną w ślad za nim; przypuszczał tylko, że i tany kapitanom manewry okrętu z czarną banderą musiały wydać się podejrzane, a co za tym idzie, że powinien starać się go doścignąć i zatrzymać. Wiedział poza tym, że obcy statek jest znacznie mniejszy od „San Jago”, i liczył, że nie powinien mieć więcej niż piętnaście dział. Przewidywał, że nie będzie się bronił i skapitułuje, gdy tylko znajdzie się w zasięgu ognia galeony.

Ale już wkrótce uświadomił sobie, że ten wyścig jest wyścigiem między „San Jago” a nocą; mały okręt nieznacznie, lecz stale zmieniał kurs ze wschodniego na wschodnio--paludniowo-wschodni, zyskując coraz lepszy wiatr boczny,

a galeona mogła go ścigać tylko w ślad, co z natury rzeczy trwa najdłużej. Na zachodzie słońce przetoczyło się przez pasmo fioletowych chmur i rozlewało teraz na nich krwawe blaski, napęlniając rozjarzonym światłem smugę nieba pomiędzy nimi a mierzchnącym morzem. Na wschodzie i na południu też gromadziły się ciemne obłoki, a zmrok zdawał się spływać z nich na wodę, która czerniała coraz bardziej. Okręt o wysokich masztach i zaróżowionych żaglach wyglądał w tym oświetleniu jak egzotyczny motyl lecący w objęciu nocy. Zaledwie o milę za nim gnała galeona, lecz noc zdawała się szybsza.

W dwie godziny po rozpoczęciu pościgu słońce zgasło i jeszcze tylko przez chwilę wąski pas horyzontu jak rozpalona żelazna sztaba czerwieniał się pod osiadającym z góry popiołem zmroku, aż ostygł zupełnie i zespolił się z morzem. W górze błysnęły gwiazdy;

„Zephyr” płynął pod skróconymi żaglami, nie zmieniając ciągu, lecz tylko obrasowawszy reje na baksztag, a „San Jago” podążał za nim, ciągle o niecałą milę z tyłu.

Można było stracić wszelką cierpliwość i wszelką nadzieję na pomyślny wynik tej pogoni, ale kapitan galeony zawziął się, że jej nie przerwie.

Możemy się natknąć na inny nasz okręt — myślał. — Możemy zapędzić tego hultaja w pobliże lądu, gdzie nie będzie mógł swobodnie manewrować, a wtedy rozpocznie ogień, żeby zwrócić uwagę patrolujących tam naszych fregat; może zająć jeszcze coś nieprzewidzianego, co nam ułatwi schwytanie tego picaro. Nie będę przecież zawracał, mając go przed nosem. Nie zdoła mi ujsć, choćbym go miał ścigać do samego rana. Minęliśmy już dawno La Rochelle i ujście Girondy; gdyby tam chciał szukać schronienia, musiałby wykonać zwrot i mógłbym mu przeciąć drogę. Teraz nie ma już wyboru: pozostaje mu ucieczka na południe, gdzie prędzej czy później ląd zagrozi mu drogę, jeśli przedtem nie spotka

naszych okrętów. Jest w potrzasku, a ja panuję nad jego manewrami. Może zrobić tylko to, co z góry przewiduję, więc nie wolno mi go tracić z oczu i to jest na razie wszystko.

Istotnie w ciągu następnych trzech godzin sytuacja nie uległa zasadniczej zmianie, a nawet pogorszyła się nieco dla ściganych. Wprawdzie wśród panujących ciemności, rozrzedzanych tylko słabą poświatą gwiazd, z marsów „San Jago” nie można było dostrzec, co się dzieje z żaglami i rejami „Ze-phyra”, ale jego sylwetka rysowała się wyraźnie przed dziobem galeony, a odległość między obu okrętami zdawała się jak gdyby trochę mniejsza.

Hiszpański kapitan przypisywał tylko sobie i swej zręczności ten drobny sukces: zauważył w samą porę, że „Ze-phyr” znów nieznacznie zmienia kurs na bardziej południowy, przeciął jego ślad po cięciu łuku. Mimo to jednak nie próbował nawet dać ognia z przednich dział: było jeszcze za daleko.

W każdym razie i to coś znaczyło. Z zadowoleniem zatarł ręce. Jego przewidywania zaczynały się sprawdzać. Gratulował sobie w duchu cierpliwości i wytrwałości. Teraz każdy błąd przeciwnika mógł stać się dla niego wyrokiem zagłady. Należało tylko czuwać i nieustannie mieć się na baczności.

Kapitan czuwał bardzo sumiennie. Co pół godziny zmieniał marynarzy na marsach, co godzinę na stanowiskach manewrowych. Puszkarze drzemali przy działach. Tylko on i jego oficerowie nie zmrużyli oka, wpatrując się w piramidę żagli bielejącą o trzy czwarte mili przed dziobem galeony.

Wtem około północy zaszło coś zdumiewającego; coś, czego ani kapitan, ani żaden z jego ludzi nie umiał sobie w żaden sposób wytłumaczyć. Oto ścigany okręt ni stąd, ni zowąd zaczął się oddalać. Nie zmienił kursu, nie wykręcił na fordewind, nie uczynił nic zgoła, co dałoby się zauważyć, a jednak oddalał się coraz bardziej, z każdą chwilą zyskując

na prędkości, aż rozplynął się w mroku niczym widmo z zaświatów.

Kapitan rzucił się sprawdzić log *, ale bez żadnych wątpliwości stwierdził, że „San Jago” nadal rozwija swą największą prędkość jedenastu węzłów. Cóż więc stało się z tamtym?! Tylko jakaś nieczysta siła mogła nadać mu pęd tak wielki!

Oficerowie i bosmani przecierali oczy i zapewniali się nawzajem, że nie śnią, lecz te zabiegi nie miały najmniejszego wpływu na fakt, że zostali gdzieś daleko w tyle za okrętem, nad którym przecież od pięciu godzin zyskiwali coraz większą przewagę.

Było w tym coś niesamowitego; coś zakrawającego na czary; coś co zalatywało piekielnym smrodem siarki... Ten i ów ukradkiem żegnał się znakiem krzyża, aby odpędzić szatańskie moce, ale czar trwał, a okręt-widmo nie powra-| cał z ciemności, które go pochłonęły.

Kapitan nie wiedział, co ma teraz czynić. Obawiał sięJ że mimo tylu świadków tego niesłychanego zdarzenia nikt] z przełożonych mu nie uwierzy. Okręty, które się widzu o niecałą milę przed dziobem wśród niezbyt ciemnej, czy-|l stej nocy na otwartym morzu, nie znikają nagle, jakby je połknął wąż morski. Z góry można było przewidzieć, co] dowódca eskadry odpowie na tę historię: „Przegapiliście”?] A przecież nie przegapili! Widzieli, jak się oddalał, jak leciał w ciemność prosto przed galeoną!

~ Musi być przed nami — powiedział kapitan. — Mógfl trafić na jakiś prąd, który go uniósł. Lecz jeśli tak się stało, ten sam prąd uniesie i nas. O świcie zobaczymy go znowu.-

Ten jedynie prawdopodobny wniosek uspokoił go znac-j nie. Kazał sterować dalej tym samym kursem i posłał świe-; żą zmianę na marsy, aby wypatrywała pojawienia się wy-

sokich masztów i żagli. Sam także wyteżał wzrok, w nadziei, że lada chwila je dostrzeże. Lecz nie mógł pozbyć się niepokoju i uczucia zawodu, a nawet raz po raz nawiedzał go zabobonny strach przed ową szatańską sztuczką, za jaką zniknięcie małego okrętu uważali marynarze „San Jago”.

W chwili gdy Marten tuż przed północą wydał rozkaz podniesienia wszystkich żagli, seiorita de Vizella znów wyszła na pokład. Nie odzywała się już wcale i nie zadawała żadnych pytań, Jan bowiem nie zważał na nią i nie odpowiadał na jej docinki i drwiny.

Ryszard, który sam tylko dotrzymywał jej towarzystwa przy krótkim i nader prostym posiłku wieczornym, domyślał się już oczywiście, jaki plan powziął Marten. Wyjaśnił to Marii w kilku zdaniach.

—Galeona, która nas ściga — powiedział — jest znacznie szybsza od tamtych dwu ciężkich karawel. Marten płynie tak prędko, aby jej kapitan nie stracił nadziei, że nas dogoni. Gdy go odciągniemy dość daleko, prawdopodobnie nastąpi atak.

—Ale sam mówiłeś, że galeona jest znacznie większa i lepiej uzbrojona niż „Zephyr” — wtrąciła.

—Cóż z tego? Zwycięstwo odnosi się nie tylko siłą ognia i liczebnością załogi, lecz także zręcznością manewru. Mówiłem to także, tylko ty nie chciałaś mi uwierzyć.

—I myślisz, że on zwycięży?

—Przypuszczam, że zwycięży. «*■ I zatopi ten okręt?

—Zapewne.

—• A załoga pójdzie na dno?

—Jeżeli będzie miał dość czasu, pozwoli im spuścić ło[^] dzie i tratwy.

—Zawsze tak robi?

—Jeśli tylko okoliczności na to pozwalają.

—I wszystko to dlatego, żeby zdobyć dla mnie obraz Madonny?

.— Zdaje się, że tym razem tak;

— W takim razie jest większym łotrem, niż mogłam przypuszczać.

Kawaler de Belmont okazał niejakię zdziwienie; Wniosek wyciągnięty z jego wyjaśnień wydał mu się niezbyt logiczny.

—Niektórzy uważają go za człowieka o zbyt miękkim sercu — powiedział. — Czy przypuszczasz, że Ramirez zadowolony byłby się zatopieniem „Zephyra”, gdyby mu się to udało, i patrzyłby spokojnie, jak spuszczaemy łódzie, aby odplynać? Mogę się założyć o wszystko, co posiadam, że poczęstowałyby każdą z naszych szalup dwunastofuntowym pociskiem i powtarzałyby ten poczęstunek tak długo, póki choć jedna deska pływałaby na powierzchni;

—Blasco nie atakowałby żadnego okrętu dla zdobycia obrazu Madonny — odparła gniewnie; — Nie przelewałaby krwi z tego powodu.

Ryszard roześmiał się.

—Nawet gdyby chodziło o obraz Madonny dla ciebie —j dodał. — To rozumiem! Masz rozsądnego narzeczonego, seniorita. Ale myślę, że będąc na twoim miejscu wolałbym Martena.

—Nic nie rozumiesz! — tupnęła nogą rozgniewana.- —4 Twój Marten jest zwykłym rozbójnikiem; Aby w jakiś sposób usprawiedliwić swoje pirackie zbrodnie, powołuje się na mnie; to ja będę przyczyną tej napaści, moja prośba o obraz Madonny. Cóż za przewrotność!

—Rzeczywiście, co za przewrotność! — powtórzył Belmont, patrząc na nią przenikliwie. — Z pewnością prosiłaś go, żeby ci kupił ten obraz przy sposobności na jakimś jarmarku w Artois albo we Flandrii..;

—O nic go nie prosiłam! — uderzyła dłonią w stół. Belmont ze zrozumieniem pokiwał głową.

—Sam się domyślił — powiedział półgłosem. Zapewne pokłóciliby się zupełnie, gdyby nie zwabił ich

na pokład zgiełk czyniony przy stawianiu żagli. Odbyło się to szybko i sprawnie, a „Zephyr” natychmiast odpowiedział głośniejszym szumem fali u dzioba i pomknął naprzód, pozostawiając za rufą spienioną bruzdę, za którą nie nadążała już hiszpańska galeona.

— Uciekasz — szepnęła Maria Francesca stanąwszy za plecami” Martena;

Lecz w tonie tego słowa było tym razem więcej zdziwienia niż drwiny. Mimo to nawet na nią nie spojrział. Był całkowicie pochłonięty zamierzonym manewrem i jego obliczaniem. Odwrócił głowę, ale tylko po to, żeby się przekonać, jak prędko straci z oczu galeonę. Wytężając wzrok dostrzegał jeszcze niepewny zarys jej żagli, potem tylko jaśniejszą plamę na tle ciemności, wreszcie — nic zgoła.

— Idź na dziób — powiedział chrapliwym szeptem do Ryszarda. — Za chwilę zawrócimy przez sztag. Trzeba będzie przebrasować reje.-

Belmont skinął głową. Mijając senioritę de Vizella, przesłał jej krótkie, porozumiewawcze spojrzenie.-

— Zaczynamy, Marie — powiedział półgłosem. — Trzy maj się dzielnie.-

Nie odpowiedziała mu; wydeła tylko wargi z wyrazem dumy i pogardy;

— Maszty i żagle — mówił Marten do głównego bosma na Pociechy. — Maszty i żagle, Tomaszu. Tak jak wtedy pod Oeiras, kiedy to wysadziliśmy na ląd tych dwoje Portugalczyków, ojca i córkę, pamiętasz? Tych, którzy odplacili nam zdradą. Twoja salwa uratowała wówczas „Zephyra”.

Była to najlepsza salwa z całej burly, jaką zdarzyło mi się widzieć. Chcę, żebyś dzisiaj zrobił to samo. Pocięcha poważnie skinął głową.

—Dobrze, kapitanie.

—Gotuj zwrot — powiedział Marten do Worsta.

—Gotuj zwrot! — powtórzyły trzy różne głosy przy masztach.

„Zephyr” leciał przez ciemność pod tęgim północno-i-wschodnim wiatrem, który gnał stada obłoków po niebie przesłaniając gwiazdy. Grzebień wody tryskał spod dzioba, polśniewał nad prawą burtą i opadał z jednostajnym szumem i pluskiem w morze. Pokład unosił się i poddawał jak przy głębokim, spokojnym oddechu.

— Wziąć brasy! — zawołał Marten półgłosem. — Wybie raj!

Sam stanął przy sterze i czekał na ciche komendy starszych bosmanów przy masztach. Maria Francesca patrzyła, jak koło sterowe obraca się między jego dłońmi, zwalnia, znowu wiruje. Poczula, że pokład przechyla się! w przeciwną stronę, i nagle usłyszała w górze głośnie westchnienie dobyte — rzekłbyś — z łona pędzących chmur. Reje obróciły się, żagle napęczniały i pociągnęły, a okręt skłonił się wiatrowi i wstał, aby znowu przyspieszyć pędu.

— Tak zamocować — rozległo się poprzez szum wody i poświst wantów.

— Tak zamocować! — dobiegło jak echo od fokmasztu.

Lecieli teraz z powrotem, zataczając obszerne półkole. Gdzieś przed nimi na prawo w skos płynęła hiszpańska galeona, lecz zapewne tylko Marten mógłby określić miejsce, w którym znajdowała się w danej chwili. Noc była ciemna, obłoki zgasiły słaby blask mrugających gwiazd, morze czerniało jak rozkołysana, falująca warstwa sadzy bez połysku. Minuty upływały w milczeniu, które zdawało się trwać już od wielu godzin, napięte, czujne, cierpliwe, przyczajone

między przednim a tylnym kasztelem jak olbrzymi czarny kot.

Señorita de Vizella poczuła dreszcz zabobonnego lęku. Pokład był jak wymarły. Żaden kształt, żaden cień nie poruszał się na nim; żaden głos czy choćby szept się nie odzywał. Tylko tuż obok wysoka, barczysta postać Martena u steru pochylała się lekko z boku na bok, w przód i w tył, w takt kołysania okrętu, co sprawiało wrażenie, że stoi tam nie żywy człowiek, lecz jakaś na pół materialna zjawą, lekka i zwiewna, poddająca się podmuchom wiatru. Maria wpatrywała się w to widmo szeroko otwartymi oczyma z takim napięciem, że chwilami mąciło jej się w głowie. Stała tak blisko, że mogła go dotknąć wyciągnawszy rękę, a jednak nie czuła jego obecności, jakby duch Martena opuścił swą cielesną powłokę i krążył gdzieś z dala od „Zephyra”, tam gdzie w ciemnościach, na oślep, pod wszystkimi żaglami gnała hiszpańska galeona.

Widzi ją — myślała señorita. — Jest przy niej. Siedzi ją i wie o każdym jej ruchu. Niemożliwe, aby nie używał przy tym czarów. Lecz Najświętsza Panna też powinna o tym wiedzieć. Dlaczego pozwala na te diabelskie praktyki? Czemu nie zamieni go w kamień? JPrzecież tu chodzi o jej ŚAwięty wizerunek! O nią samą!

Jakaś większa fala podbiegła z boku pod rufę, pokład uniósł się i zapadł w bruzdę. Seiiorita instynktownie wyciągnęła rękę, aby utrzymać równowagę, i chwyciła ramię Martena. Było to jak najbardziej materialne, ciepłe, silne ramię o gładkiej skórze, wcale niepodobne w dotknięciu do ramienia widma czy też upiora.

— Och! — krzyknęła cicho i cofnęła dłoń.

Zobaczyła jego twarz zwróconą przez sekundę ku sobie

¹ błysk zębów w uśmiechu.

— Teraz ich mijamy — szepnęła.

Ta krótka uwaga rozwiała jej poprzednie obawy: Mar-

ten był tutaj. cały. wraz ze swą duszą, z zuchwalstweim,' z bystrym spojrzeniem i głosem.

~ Skąd wiesz<> gdzie oni są? — zapytała. /

— Z prostego obliczenia prędkości galeony i „Ze-phy«; ra" — odrzekł cicho. — A także z wielkości promienia łuku, jaki zatoczyłem.

Niezupełnie zrozumiała to wyjaśnienie, ale skinęła głową. Nie były to chyba żadne czary.

Po chwili Marten znów kazał przebrasować reje, wykonał jeszcze jeden zwrot i popłynął z wiatrem w baksztag, jak wówczas, gdy miał galeonę za rufą. Lecz teraz ona go poprzedzała. Wypatrywał w ciemności jej żagli i nie odzywał się już ani słowem.

Maria Francesca milczała również, usiłując przemknąć wzrokiem czarną zasłonę nocy. Nie mogła dostrzec nic zgoła, nawet wówczas, gdy wydało jej się, że Marten mruknął coś i zaśmiał się z cicha, a potem z wolna zaczął przerzucać uchwyty koła sterowego.

Upłynął jeszcze kwadrans, zanim ujrzała to, co on zdawał się widzieć już od dobrej chwili: na wprost dzioba majaczyła w mroku jaśniejsza plama. Z wolna zbliżali się do niej, aż wreszcie można było rozróżnić trapezoidalny kształt żagli rozpiętych nad czarną masą kadłuba, potem wysoki tylny kasztel, potem nawet maszty z kolistymi marsami i sieć wantów z drablinami * biegnącymi od nich ku burtom okrętu.

Gdybym krzyknęła, usłyszeliby mnie — pomyślała Maria Francesca.

Lecz wiedziała, że nie zdobędzie się na żaden ostrzegawczy okrzyk. Nie zdołałaby zapewne wydobyć głosu ze ściśniętego gardła, a zresztą niezwałczona ciekawość tego, co miało nastąpić, wzięła górę nad wszelkimi jej uczuciami,

Tymczasem „Zephyr” nieznacznie wykręcał w lewo, zwracając się prawą burzą ku galeonie, a jednocześnie odległość pomiędzy nimi ustaliła się na jakie sześćset jardów. Wydawało się, że ktoś z hiszpańskiej załogi lada chwila musi go dostrzec. Lecz oni wypatrywali go przed sobą; żadnemu z nich nie przyszło do głowy, żeby mógł znajdować się z tyłu, ^{^i} rufą

Wtem jasnopomarańczowy błysk rozdarł ciemność ukazując na mgnienie oka galeonę, jej pochylone maszty i wielkie, brzuchate żagle oraz dwa rzędy paszcz armatnich sterczących ze strzelnic na obu pokładach artyleryjskich. Rozległ się przeciągły, ogłuszający huk salwy, a jednocześnie „Ze-phyr” odsądził się w lewo, jak pod ciosem wymierzonym w burzę przez bajecznego potwora morskiego. Potem ciemność zatrzasnęła się nad morzem i zgęstniała od dymu, a stamtąd, gdzie przed chwilą była galeona, doleciał łoskot walących się masztów i rej, okrzyki wściekłości i trwogi, a wreszcie pojedynczy jęk dzwonu okrętowego, który zabrzmiał tępo i krótko, jakby spiżowy kielich pękł trafiony pociskiem;

Maria Francesca zerwała się na nogi, gdyż niespodziewany wstrząs rzucił ją na deski pokładu/Pierwszym uczuciem, jakiego doznała zrozumiałwszy, co się stało, był gniew i wstyd. Przeleciało jej przez głowę, że Jan nie ostrzegł jej o salwie z całej burty, aby ją ośmieszyć. Ale natychmiast odrzuciła tę myśl: nawet nie spojrzał na nią; z pewnością nie zauważył, jak upadła. Uchwyty koła sterowego wirowały między jego dłońmi, „Zephyr” zakręcał w prawo za rufą galeony, on zaś stał na szeroko rozstawionych nogach i patrzył wprost przed siebie;

Señorita również spojrzała w tamtą stronę. Hiszpański okręt był zupełnie unieruchomiony: jego tylny maszt został zmieciony z pokładu, a środkowy i przedni utworzyły na dziobie stertę potrzaskanego drewna powiewającego strzępami żagli. Ogołocony kadłub chwiał się na boki dryfując

w poprzek fali. Tu i ówdzie wśród rozbitych kaszteli i szczątków takielunku pełgał płomień wszczyńającego się pożaru;] a przy burtach kłębił się tłum ludzkich postaci usiłując spu-] ścić szalupy i w panice walcząc o miejsca. Wtem Marten zawołał:

—Górne żagle na dół!

—Popuścić fały *! — rozległo się od masztów. — Wy-] bierać giejtawy!

A po chwili:

— Szoty luz! Gordingi luz! Wybieraj! Żywo!

Płótna szamotały się na wietrze, zjeżdżały w dół, ko-fj mendi krzyżowały się wzdłuż pokładu od rufy do dzioba, rozlegały się raz po raz przenikliwe gwizdki bosmanów. „Zephyr” zwalniał, wykrczał, dryfował bokiem, zmierzając] swoją lewą ku prawej burcie galeony. Gdy był już blisko,' z jego marsów gruchnęło kilka strzałów, a Marten oddał! ster w ręce bosmana, który wyłonił się z ciemności tuż obok.J

— Poddajcie się! — zawołał po hiszpańsku. — Daruję wam życie!

W tej chwili na dziobie galeony buchnął żywszy płomień: zajęły się żagle fokmasztu. W czerwonym blasku ognia można było dojrzeć wzdłuż burty „Zephyra” podwój-' ny szereg arkebuźników z tlejącymi lontami i z hakownicami wymierzonymi w tłum marynarzy. Kilku ludzi czekało w pogotowiu, trzymając długie bosaki i liny z hakami, aby za ich pomocą szepić się z galeoną. Oddział abordażowy z toporami i nożami stał na szkafucie, gotów rzucić się do walki wręcz i szturmem zdobyć płonący wrak „San Jago”.

Lecz szturm okazał się niepotrzebny. Hiszpański kapitan; konał przygnieciony szczątkami bezanmasztu, jego dwaj porucznicy zginęli od salwy „Zephyra”, dowódca artylerii był

ranny w brzuch i nieprzytomny, a młodszy oficerowie dowodzący muszkietierami zupełnie stracili głowy i wszelką chęć do stawiania jakiegokolwiek oporu. Kilka białych płacht naraz powiało z pokładu galeony.

Senorita de Vizella odwróciła się do nich plecami, a jej świeże, czerwone usta 'wykrzywił grymas pogardy. Pomyślała, że gdyby Marten zdecydował się zatopić ten okręt wraz z jego załogą, nie przemówiłaby ani słowa w ich obronie,

7

Okazało się* że senorita Maria Francesca de Vizella nie myliła się twierdząc, że na każdym hiszpańskim okręcie można znaleźć obraz Madonny. Bądź co bądź dotyczyło to galeony „San Jago”. Tessari, który na czele oddziału abordażowego wtargnął na jej pokład, znalazł w kajucie kapitana oprócz obrazu przedstawiającego św. Jakuba (patrona Hiszpanii oraz okrętu) również wizerunek Panny Marii z Dzieciątkiem. Nie była to wprawdzie Madonna z Alter do Chao, lecz mistrz, który ją malował, nadał jej twarzy płęć jasną, zgoła niepodobną do smagłej twarzy Matki Boskiej z Częstochowy.

Mimo to senorita z początku nie chciała przyjąć zdobytego obrazu.

- ropleńś świętokradztwo oświadczyła wymośle. — Zrabowałeś go z katolickiego okrętu, przelewając krew chrześcijańską, tak jak rabujesz złoto i cenny ładunek. Nie mogłabym się modlić przed takim obrazem; nie śmiałabym o nic prosić i za nic dziękować Madonnie, która dla mnie ukradłaś.

—Uratowałem ją od zatonięcia — odrzekł Marten. —j Przecież gdybym ją zostawił na „San Jago”, poszłaby na dno razem ze św. Jakubem. Ale skoro jej nie chcesz, wyrzucę ją za burzę.

—Nie ośmielisz się — krzyknęła przestraszona. — Nie" bluźnij!

— Ośmielę się, bądź pewna — powiedział porywczochciał już odejść, gdy chwyciła go za rękę.

— Zostaw ten obraz — szepnęła.

Oddał jej go i odwrócił się ku wyjściu. Będąc już na progu kajuty, usłyszał, że powiedziała cicho:

— Dziękuję;

Obejrzał się, ale nie spotkał jej spojrzenia; stała w tym samym miejscu, trzymając oburącz złoczone ramy i patrząc w łagodne oblicze swej patronki.

Zdawało mi się - - pomyślał. ■ • _ A może powiedział to do niej?...-

Oprócz obrazu Madonny starszy bosman Tessari, zwany Cyrulikiem, znalazł na płonącym „San Jago” kasę okrętową z niewielkim zapasem złota i srebra, sporą ilość broni, amunicji i kul oraz niemal pełne magazyny żywności. Odesłał Martenowi szkatułę z pieniędzmi, wybrał to, co uważał za najcenniejsze i najpotrzebniejsze z pozostałych przedmiotów, obrabował dokładnie hiszpańskich oficerów i marynarzy z nielicznych klejnotów i gotówki, po czym kazał im najpierw przenieść najcenniejszą zdobycz na pokład „Ze-

phyra". a następnie polecił załadować prowiantem S beczkami z wodą szalupy i tratwy, które spuścili na morze, nie bardzo wierząc, że korsarski kapitan rzeczywiście pozwoli im odpłynąć.

Tessari zapewnił ich o tym, wygłaszając krótką przemowę.

— Jesteście wolni — powiedział. — Zawdzięczacie to wspaniałomyślności naszego szypra i dlatego powinniście co dzień zmówić pobożnie modlitwę za jego zdrowie i powodzenie. Zapamiętajcie sobie jego imię — Marten i nazwę okrętu „Zephyr”, a także wygląd naszej bandery. Żadnemu z was nie życzę, aby zobaczył ją po raz drugi, ponieważ ten widok na ogół szkodzi Hiszpanom na zdrowie i często skraca im życie. Możecie to opowiedzieć wszystkim swoim znajomym, aby ich także przestrzec. A teraz radziłbym wam wziąć się do wiosel i płynąć wprost na południe. Tam jest Hiszpania. Jeżeli wylądujecie pomyślnie, zrobicie najlepiej nie wytykając więcej nosa poza jej brzegi. Szczęśliwej drogi, leperos!

Tymczasem ogień objął cały przód galeony, a wkrótce po jej opuszczeniu przez załogę przerzucił się na szkafut i dotarł głęboko do wnętrza. O świcie płomienie zbladły i mogło się zdawać, że pożar przygasa, lecz gdy „Zephyr” oddalił się o jakieś dwie mile, żeglując ku wschodowi, ognisty snop strzelił w górę za jego rufą, a potem huk wybuchu targnął powietrzem i ogołocony z masztów kadłub „San Jago” znikł z powierzchni morza, pozostawiając po sobie tylko ciemny pióropusz dymu wleczony wiatrem na południowy zachód.

Tego samego dnia, po czternastogodzinnej niczym nie zakłóconej żegludze, „Zephyr” znalazł się w pobliżu piaszczystych wydm Grandes Landes, które zaczynają się na północ od Adour i sięgają ujścia Girondy, a nazajutrz o wscho-

dzie słońca, korzystając z przypływu, wszedł w wąską gardziel zatoki i rzucił kotwicę na małej redzie opodal murów Bayonne.

Marten odpłynął na łódź wraz z kawalerem de Belmont, aby go pożegnać i zobaczyć twierdzę oraz miasto rozdzielone na trzy części rzekami Nive i Adour. Nie spodobało mu się tam zresztą. W gospodzie, do której wstąpili, przyjęto ich nieufnie, a poważny nastrój skromnych, milczących mieszkańców, ich umiarkowanie i surowa hugonocka pobożność wydały mu się po prostu nieznośne.

—• Wracam na okręt — oświadczył zawiedziony i zniechęcony. — Jeżeli całe królestwo Bearneńczyka jest tak ponure i smutne, nie chciałbym być jego poddanym.

— Nie bardzo on przypomina z usposobienia swoich hugonotów z Bearn — odrzekł Ryszard. — Ani on, ani jego dwór. Ale tu rzeczywiście jest nudno. Wracaj więc; mnie czas nagli, a konie czekają.

Rozstali się u wrót zajazdu, a w chwilę potem kawaler de Belmont pędził już wyboistym traktem na Puyo i Ort-hez, w kierunku Pau, aby wypełnić misję zleconą mu przez hrabiego Essexa.

Don Antonio Perez przyjął Belmonta nie tając przed nim niecierpliwego pośpiechu. Czytał list Bacona usiadłszy na samym brzegu krzesła, lecz zanim skończył, już wstał, aby przebiec pokój tam i z powrotem, jakby podłoga paliła go w stopy. Zatrzymał się nagle pośrodku, potrzęsął potaku* jęcąc głową i spojrzał na Ryszarda płonącymi oczyma.

— Oto czego nam trzeba — powiedział. — Przybyliście w sam czas: jutro wyruszamy do Paryża, a stamtąd być może do Flandrii. Ale tę sprawę należy wygrać jeszcze dziś, na tychmiast!

Wygrał ją istotnie: Henryk IV podjął intrygę i niezwłó-

cznie wyprawił do Londynu specjalnego posła z poufną wiadomością, że Filip II ofiarowuje Francji pokój na bardzo korzystnych warunkach: pokój, który zapewne zostanie zawarty, jeśli Elżbieta nie zdecyduje się na energiczną pomoc wojskową przeciw Hiszpanii.

Elżbieta jednak pozornie pozostała nieugięta: jej odpowiedź, pełna wyrzutów i skarg, była odmowna. Królowa nie miała ani ludzi, ani pieniędzy; nie mogła nadal pomagać Henrykowi IV.

Ale w rzeczywistości nurtował ją niepokój. W ślad za listem wyjechał do Paryża jej poseł, który miał wysondować istotne zamiary króla Francji. Tym posłem był nie kto inny, jak sir Henry Unton, przyjaciel i stronnik polityczny Essexu. Miał z sobą instrukcje nie tylko Elżbiety, lecz także Antoniego Bacona, uzgodnione z Robertem De-vereux.

Wkrótce królowa Anglii otrzymała dwa niezwykle alarmujące pisma z Paryża: jedno od swego ambasadora, który uskarżał się na rzekomo bardzo oziębłe przyjęcie na dworze francuskim i w całej rozciągłości potwierdzał jej obawy; drugie od don Antonia Pereza, który donosił, że Henryk IV coraz bardziej skłania się do przyjęcia pokojowych propozycji hiszpańskich, a ostatni list Jej Królewskiej Mości przyspieszy zapewne jego decyzję w tej mierze.

Raport Pereza, napisany wspaniałą łaciną, która szczerze zachwycała Elżbietę, kończył się ostrożną uwagą, iż don Antonio wprawdzie nie rozumie polityki angielskiej, lecz przypuszcza, że w postępowaniu królowej kryje się jakaś nie wyjaśniona tajemnica, bowiem *finis principum abyssus multa* *.

I znowu mogło się zdawać, że zamysły hrabiego Essexu

i cała gra dyplomatyczna chybiają celu: Elżbieta nie uległa; postanowiła targować się: oświadczyła, iż mogłaby ostatecznie udzielić Francji pewnej pomocy wojskowej i pieniężnej, jednak pod warunkiem, że król francuski „powierzy jej opiece” miasto i port Calais.

Dla Henryka IV nie była to nęcąca propozycja. „Opieka” angielska oznaczała po prostu cenę, jaką miałby z góry zapłacić za sojusz o niewiadomej wartości. Lecz nie zdążył już odpowiedzieć. Hiszpański korpus po zwycięskim pochodzie przez Flandrię rozpoczął oblężenie Calais, a oddziały piechoty wsparte potężnym ogniem artylerii zdobyły zewnętrzne wały obronne miasta.

Huk dział dochodził wyraźnie poprzez Kanał; słyszano) go nie tylko z Sussex i w Kent, lecz także w pałacu królewskim, a był to zaiste groźny akompaniament do niepokoju i obaw Elżbiety.

Wkrótce miasto poddało się, ale mężny garnizon twierdzy panującej nad portem bronił się nadal. Hrabia Essex! wymógł na królowej decyzję o natychmiastowej interwencji: zgodziła się wysłać go z odsieczą na czele paru tysięcy żołnierzy.

Lecz zanim przybył ze swą nieliczną armią do Dovruj pożałowała tego kroku. Pomyślała, że wprawdzie szczęśliwy los może i powinien uśmiechnąć się Robertowi Deve-reux, ale dlaczego nie miałby uczynić tego samego dla francuskiej załogi twierdzy? A nuż Francuzi zdołają sami obronić port i doczekają się odsieczy z Paryża? Po co w takim razie! wydawać tyle pieniędzy na tę ekspedycję!

Ta myśl tak jej dokuczała, że nazajutrz postanowiła odwołać Essex. W chwili gdy jego wojska ładowały się na okręty ściągnięte zewsząd do Dovru, z Londynu przybył kon-|ny kurier z rozkazem wstrzymującym wyprawę.

Hrabia Essex omal nie oszalał z rozpaczy, lecz nie ośmie-|lii się odplynąć wbrew rozkazom monarchini. Wysiał do niej]

gońca z listem, w którym zaklinał ją, by pozwoliła mu działać.

Elżbieta odpowiedziała odmownie, lecz z niejakim wahaniem; więc ponowił prośbę, przytaczając nowe argumenty. Minął jeden i drugi dzień, kurierzy pędzili tam i z powrotem między Dovrem a Londynem, podczas gdy Hiszpanie szturmowali warownię, a królowa jak zawsze zwlekała z ostateczną decyzją; Wreszcie czternastego kwietnia, gdy już była prawie przekonana, garnizon Calais wywiesił białą flagę; Hiszpanie zajęli twierdzę i port.

Dopiero teraz Elżbieta uświadomiła sobie rozmiary i cenę tej porażki. Calais w rękach Hiszpanów — oznaczało to stałe zagrożenie żeglugi angielskiej poprzez wody kanału La Manche, a także ustawiczne niebezpieczeństwo inwazji, Należało w jakiś sposób naprawić popełniony błąd.

Don Antonio Perez przybył do Londynu wraz z kawalerem de Belmont, a Henryk IV wysłał w ślad za nim księcia de Bouillon w celu przeprowadzenia układu w sprawie angielskiej ekspedycji wojskowej do Francji.

Tymczasem jednak od szpiegów w Hiszpanii nadeszły pewne niepokojące wiadomości, a sytuacja polityczna zdawała się potwierdzać ich prawdziwość. Oto Filip II rzekomo przygotowywał i zbroił nową armadę dla poparcia katolików irlandzkich, którzy knuli jeszcze jeden bunt przeciw Anglii. Wobec tego doradcy królowej wystąpili przeciw projektowi desantu we Francji, natomiast wysunęli plan ataku sił morskich na Kadyks, w celu zniszczenia okrętów hiszpańskich.-

Hrabia Essex opowiedział się również za tym planem, nalegał jednak, aby w wyprawie wziął udział silny korpus lądowy na statkach transportowych. Gdyby atak na zgromadzoną w porcie hiszpańską armadę został uwieńczony zwycięstwem, należało zdaniem hrabiego wysadzić tam potężny desant i za jednym zamachem zniszczyć ten port, na-

stępnie zdobyć Sewillę i ewentualnie także z dwóch stron — od morza i lądu — zaatakować Lizbonę.

Elżbieta zgodziła się, jakkolwiek pomysł Essexu od początku wydawał się jej nazbyt śmiały i ryzykowny. Miała* nowała Roberta Devereux i admirała Howarda dowódcami armii i floty, po czym oddała się nowym wahaniom i wątpliwościom, słuchając wywodów Pereza, który — opuszczony przez Essexu — usiłował nakłonić ją do przyjęcia poprzednich planów.

Tymczasem hrabia wśród ustawicznych sporów i zatargów z lordem Howardem Effinghamem gromadził okręty i wojska w Plymouth. Gdy był już w połowie gotów, z Londynu przybył goniec królowej. Elżbieta rozkazywała, by obaj dowódcy natychmiast stawili się u dworu.

Robert Devereux udał się tam pełen najgorszych przeczuć. Wydatki na zbrojenia znacznie przekroczyły sumy, którymi rozporządzał; brakowało mu ludzi, amunicji, sprzętu: i broni. Nie miał jeszcze dostatecznej ilości okrętów i musiał na kredyt kontraktować statki prywatne, a oto teraz cała ekspedycja zdawała się wisieć na włosku. Na domiar złego z Gujany powrócił jego rywal, sir Walter Raleigh, którego królowa przyjęła nader łaskawie.

Raleigh był groźny. Odkrył rzekomo w Indiach Zachodnich pokłady złota i założył tam angielską osadę, którą nazwał Elżbieta-Wiktoria. Czyżby to jego intrygom należało przypisać nagle odwołanie do Londynu hrabiego i lorda' -admirała? Czy ten awanturnik skłonił Elżbietę do zanie-j chania wyprawy na Kadyks? Czy może sam postarał się* o dowództwo?

Wszystkie te obawy okazały się płonne. Królowa miała wprawdzie szereg wątpliwości, wahała się i zwlekała, lecz wreszcie potwierdziła nominację Essexu i Howarda. Raleigh, na razie przynajmniej, otrzymał inne wysokie, lecz drugorzędne stanowisko, a don Antonio Perez został odsunięty od

łask i wpływów; jego usługi stały się już zbyt cenne: warunki zbrojnego sojuszu z Francją ułożono i podpisano bez jego udziału.

Podczas gdy między Londynem a Paryżem snuto nici intryg dyplomatycznych, a w Madrycie i Escorialu dojrzewały plany wyprawy do Irlandii, Marten nieświadom spraw wielkiej polityki, prowadził własną grę dyplomatyczną na pokładzie „Zephyra” oraz prywatne działania wojenne na wodach Atlantyku.

Jego dyplomacja dotyczyła zdobycia seniority de Vizella, wojna zaś, której sukcesy miały poprzeć tę dyplomację, przyczyniła mu poza tym sławy i bogactw.

Opuściwszy Bayonne, „Zephyr” pożeglował na zachód, ku Azorom, w poszukiwaniu cenniejszych zdobyczy niż ta, która wpadła w ręce jego załogi na „San Jago”. Już w połowie drogi napotkał dwa statki portugalskie, z których jeden zdołał ujść pod osłoną zapadających ciemności, lecz drugi został zatrzymany i zdobyty abordażem, a jego ładunek okazał się wart zachodu: zawierał między innymi cukier, sporą ilość goździków i bawełny.

Marten nie troszczył się o bawełnę; zabrał to, co przedstawiało największą wartość, i pozwolił portugalskiemu kapitanowi odpłynąć do Lizbony. Potem zmienił kurs i skierował się ku Wyspom Kanaryjskim, w nadziei, że natrafi na eskadrę Blasco de Ramireza.

Od pozostałych przy życiu oficerów „San Jago” dowiedział się, że Piamirez ma tej wiosny eskortować Złotą Flotę, i przypuszczał, że w tym celu musiał już opuścić Kadyks, aby ją spotkać gdzieś na zachód od Teneryfy. Gdyby mu się powiodło, gdyby los mu sprzyjał, mógłby zarazem załatwić dawne porachunki z komandorem i pokusić się o wspaniałą zdobycz.

Powiedział Marii o swych nadziejach i zamiarach, ona zaś powstrzymała się tym razem od drwin i pogardliwych uwag.

—Będę się modliła, abyś go spotkał ~ powiedziała cicho.

—I zapewne, abym został pokonany? — spytał.

Nie odpowiedziała; uśmiechnęła się tajemniczo, patrząc, gdzieś w przestrzeń ponad jego głową, po czym nagle przypomniała sobie, że Herman Stauffl obiecał jej pokazać, jak trzeba rzucać nożem, aby ostrze trafiło w cel, i odeszła.

Marten nie wiedział, jak sobie tłumaczyć ten uśmiech i słowa. Czasem wydawało mu się, że z wolna zdobywa jej przychylność; że jej opór słabnie. Lecz gdy próbował się *do* niej zbliżyć, natychmiast odpychała go z pogardą, a gdy tracił panowanie nad namiętnością, która trawiła go jak żar i raz po raz buchała płomieniem — groziła, że raczej przebije się sztyletem, niż mu ulegnie.

Mógłby wprawdzie z łatwością odebrać jej ów sztylecik, który stale nosiła przy sobie, ale nie chciał uciekać się do, gwałtu. Jeśli miał ją osiąść, to nie wbrew- jej woli. Tak postanowił i tak usiłował postępować mimo ironicznych spojrzeń kawalera de Belmont i mimo że zauważył domyślnej uśmieшки niektórych młodszych bosmanów ze swej załogi.

Tymczasem „Zephyr” minął Maderę i płynął teraz nie-j spieszenie, pod skróconymi żaglami w strefie wiosennego pa-j satu, lawirując to lewym, to prawym ciągiem na zachód od wysp Hierro i Palma, oddalając się ku Ihas Acores i za-j wracając znów na południe. Słoneczne, ciepłe dni i rozgwieżdżone noce przeciągały nad wysokimi masztami okrętu, a długa atlantycka fala kołysała go łagodnie i czule, szumiąc u dzioba i pluszcząc o burzę.

Mogło się zdawać, że ta podróż nie jest wyprawą korsarską, lecz przyjemną rozleniwiającą wycieczką dla wypoczynku. Marten grywał ze Stefanem Grabińskim w sza-

hy, uczył Marię Fraiceskę szermierki na szpady, gawędził ze swoimi bosmanami, zabawiał się strzelaniem z łuku do delfinów, a z pistoletu do mew, które w pobliżu wysp pojawiły się gromadnie i krążyły nad okrętem.

Wkrótce jednak sprzykrzyły mu się te błahe zajęcia i rozrywki, a oczekiwanie na niepewną sposobność zaczęło go nużyć. Gdyby miał przy sobie Hoogstone'a, zdecydowałby się w braku innych obiektów zaatakować któryś z mniejszych portów na Wyspach Kanaryjskich. Lecz w pojedynkę, bez pomocy „Ibexa”, nie mógł podjąć takiej próby. Postanowił zatem udać się na północny wschód od Madery, aby czatować tam na statki zdążające z Funchalu do Lizbony z ładunkiem wina.

I tym razem powiodło mu się lepiej, niż przypuszczał. Zaledwie „Zephyr” minął wyspy Salvagos, na horyzoncie ukazały się żagle jakiegoś statku, a w dwie godziny później Tessari rozpoznał trzymasztową karawelę ze skośnym łacińskim żaglem na trzecim maszcie i potężnymi kasztelami wzniesionymi w trzy kondygnacje na dziobie i na rufie, co nadawało krótkiemu, niezgrabnemu kadłubom niejaki podobieństwo do tureckiego siodła o zadartym łuku i oparciu z tyłu. Był to bez wątpienia hiszpański okręt dawnego typu, przerobiony na frachtowiec. Zdązał z południa na północ, głęboko zanurzony, lawirując z niejakim trudem pod wiatr, który dał tego dnia ze znaczną siłą.

„Zephyr” dopędził go z łatwością I przeciął mu drogę, a potem, wywiesiwszy swą czarną banderę, zmniejszył prędkość podciągając na giejtawach żagle do rej, jakby miał położyć się w dryf przed dziobem karaweli.

Hiszpańskiemu kapitanowi od początku nie podobały się te manewry. Gdy ujrzał wypel wojenny ze złotą kuną, nie miał już żadnych wątpliwości co do ich celu i nie czekając na zaczepkę, sam kazał dać ognia z czterech przednich dział.

Pociski przeleciały nad dziobem „Zephyra”, a jeden z nich zerwał dwa kliwry na bukszprycie, których Worsl nie zdążył opuścić.

Lecz była to jedyna salwa, jaką zdołali odpalić puszka* rze Starej karaweli. W następnej sekundzie z pokładu korsarskiego okrętu huknęły trzy oktawy, a w ślad za nimi trzy dwudziestopięcioletnie falkonety z prawej burty.

Skutek tych strzałów przeszedł wszelkie oczekiwanie, tak po jednej, jak i po drugiej stronie. Dolne reje grotmasztu wraz z żaglami runęły na niski, kwadratowy szkafut, a w przednim kasztele ukazała się ogromna wyrwa.

Wśród Hiszpanów powstało zamieszanie, Zanim się opamiętali, „Zephyr” wykreślił i przybił dziobem do ich burty wpierając ogołoczone bukszpryt między wanty usztywniające fokmaszt i rwąc na strzępy żagle. Tessari, za nim Stefan Grabiński i Herman Stauffl pierwsi skoczyli na pokład karaweli. Trzydziestu bosmanów i marynarzy wyroiło się ich śladem, rąbiąc toporami, dźgając nożami i bosakami, strzelając prosto w twarze i w piersi z pistoletów.

Hiszpanie zrazu cofnęli się przed tym natarciem, ale kapitan zdołał tymczasem zorganizować na rufie silny oddział złożony głównie z kanonierów i pchnął go do przeciwataku, wysyłając jednocześnie na marsy kilkunastu ludzi uzbrojonych w muszkiety.

Marten jednak w porę dostrzegł niebezpieczeństwo. Kazał dać ognia z dziesięciu hakownic w sam środek biegnących na pomoc puszkarzy, po czym zwinnie jak kot wspiął się na bukszpryt, przebiegł kilkanaście kroków nad pokładem! karaweli, zjechał w dół po splątanych linach i z obnażonym; rapierem w rękę wpadł pomiędzy walczących.

Korsarze powitali jego nagłe zjawienie się piekielnym wrzaskiem i ruszyli za nim z taką furią, że nadwerżonej salwą z hakownic szeregi Hiszpanów pękły, a potem roz* pierzchły się w nieładzie.

Wtem z góry, z marsów „Zephyra” gruchnęły gęste strzały z rusznic i muszkietów, a hiszpańscy strzelcy, którzy nie zdążyli jeszcze zająć swoich stanowisk bojowych, zaczęli spadać na pokład, bądź ranni i zabici, bądź też tylko szukając ratunku przed pewną śmiercią od celnego ognia.

W kwadrans od rozpoczęcia abordażu hiszpańska załoga została zdziesiątkowana i pokonana. Kapitan, blady z gniewu i upokorzenia, stał teraz przed Martenem, który przyjął jego szpadę i zadawał mu krótkie pytania o cel podróży i ładunek. Karawela była w drodze osiem dni, licząc od opuszczenia Wysp Zielonego Przylądka, gdzie zatrzymała się na Santo Antao dla odnowienia zapasów żywności i wody. Płynęła z Indii Wschodnich, wioząc ładunek ryżu, indy-ga, pieprzu i pachnidła z drewna sandałowego. Była to cenna zdobycz i Marten znów pożałował, że nie towarzyszy mu żaden z zaprzyjaźnionych korsarzy, „Zephyr” bowiem nie mógł pomieścić całego łupu.

Podczas gdy zastanawiał się, co wybrać i jak dokonać przeładunku, za jego plecami, gdzie zbitą ciżbą stali rozbrojeni Hiszpanie pod strażą kilkunastu marynarzy z „Ze-phyra”, wszczął się jakiś tumult i nagle padł strzał z pistoletu. Marten błyskawicznie chwycił za kołnierz kapitana, uniósł w górę jak snopek słomy i trzymając go w powietrzu, obrócił się, aby zobaczyć, co się stało.

Ku swemu zdumieniu ujrzał przede wszystkim Marię Franceskę, która pochyliła się, aby podjąć z pokładu swój kapelusz z pękiem białych piór, a o parę kroków za nią — Stauffla, który raz po raz rzucił lewą ręką dwa noże w tłum hiszpańskich marynarzy.

Oba te rzuty były celne: stojący w pierwszych szeregach chudy, wysoki człowiek o wyglądzie oficera osunął się na kolana, po czym upadł w tył, na wznak. Spod jego ciemnej, spiczastej brody, ponad karbowaną kryzą sterczały obok

siebie dwie kościane rękojeści, a krew tryskała w górę z przeciętych tętnic szyi.

— Strzelił do seńority — powiedział Stauffl w forma wyjaśnienia. — Spóźniłem się o sekundę.

Maria Francesca uśmiechnęła się trochę niepewnie, oglądając kapelusz przestrelony na wylot.

— Skąd się tu wzięłaś? — spytał Marten pobladły z wrażenia. — Jak mogłaś...-

— Zobaczyłam go z daleka — powiedziała, jakby chcąc się usprawiedliwić. — Nie przyszło mi do głowy, że przywita mnie w ten sposób.

— Ten. picaro?! — zdumiał się Marten. — Znasz go?

Skinęła głową.

— To mój kuzyn, Manuel de Tolosa. Nie przypuszczał, że jestem tu wbrew swojej woli. Pewnie myślał, że...;

— Że co? — spytał Marten.

Przez twarz Marii przeleciał lekki rumieniec.

— Och, że co! Mógłbyś się domyślić, co podejrzewała zobaczywszy mnie tutaj w tym stroju. Głupiec! — tupnęła nogą. — Zawsze był głupcem!

Odwróciła się chcąc ukryć łzy nabiegające do oczu,;ra|

Martenowi nagle rozjaśniło się w głowie. Serce zabiło mu gwałtownie, a ciepła fala wzruszenia podeszła do gardła.

Odepchnął hiszpańskiego kapitana i porywczo zbliżył się do, Marii. Lecz ona już się opanowała.

— Nie potrzeba mi ani twego współczucia, ani pomocy — powiedziała spiesźnie. — Proszę tylko o inny kapelusz.

Jan zatrzymał się i popatrzył na nią z podziwem, ponieważ ważyła zaś łzy, które powstrzymywała, nie zdążyły obeschnąć, i jej oczy wydały mu się jeszcze piękniejsze niż zwykle.

— Jesteś po prostu cudowna, Marie! — szepnął gorąco.'

Żarliwość, z jaką wypowiedział te słowa, zdawała się przyspieszać tętno krwi w jej skroniach. Czowała, że znów się rumieni. Aby nie okazać zmieszania, skłoniła mu się prze*

gadnie, opuszczając głowę i przyciskając do piersi ów przestrelony kapelusz, % którym zresztą bynajmniej nie zamierzała się rozstać. Potem, wśród ciszy, jaka od dobrej chwili panowała dokoła, przeszła ostrożnie przez pokład omijając kałuże krwi i wstąpiła na trap przerzucony już między burtami obu okrętów. Dopiero tam zawahała się, jakby przypomniawszy sobie o czymś. Obejrzała się szukając wzrokiem Hermana Stauffla.

— Dziękuję wam, żaglomistrzu! — powiedziała głośno. — Nie za to, że zabiliście Manuela, tylko za to, że chce liście mnie obronić.

Zaledwie wypowiedziała to zdanie, już pożałowała jego niezręczności; wydało jej się zbyt prostackie wobec śmierci człowieka, który bądź co bądź był jej krewnym, a jeśli godził na jej życie, to przecież w obronie honoru rodziny i nazwiska.

Cisza trwała jeszcze przez sekundę, a potem z pokładu „Zephyra” rozległ się grubiański śmiech. Maria Francesea drgnęła jak od ukłucia żądłem osy. Wśród kilku truxmanów porządkujących splątane liny dostrzegła Slovena, który zapewne uznał jej słowa za doskonały żart. Z jego chudej, pokrytej pryszczami gęby nie schodził grymas rozbawienia i uznania dla dowcipu seniority.

Gdy przyśpieszyła kroku mijając młodzików, którymi komenderował, usłyszała jeszcze, jak na swój sposób wychwalał jej wdzięki. Mówił wprawdzie półgłosem, ale tak, aby te zachwyty doszły jej uszu. Wiedział, że oswoiła się już dostatecznie z marynarską gwarą, aby choć częściowo ją zrozumieć i domyślić się reszty. Czuła na sobie jego spojrzenie i dygotała z gniewu i ze wstępu.

Zatrzymała się nagle. Nie mogła znieść tego dłużej.

— Percy! — zawołała gniewnie;

Spojrzał na nią, a potem z triumfującym uśmiechem trącił w bok najbliższego majtka i co żywo poskoczył na jej wezwanie.

Nie zdążył nawet powiedzieć „słucham”, gdy otrzymał jeden po drugim dwa siarczyste policzki. Był tak zdumiony, a poza tym zaskoczony ich siłą, że nie opamiętał się, zanim nie odeszła. Głośny wybuch śmiechu truxmanów podziałał na niego jak wiadro zimnej wody i przywrócił mu do reszty świadomość. Rozejrzał się dokoła i zobaczył wy-! soką postać Martena, który ukazał się na trapie i pytał, co się tu stało.

— Bosman Burnes dostał po mordzie od seniority! *M* wrzasnął radośnie jeden z chłopców.

—• To było warto widzieć — dodał inny ze szczerym podziwem.

Marten roześmiał się.

— Za co? — spytał.

Tego żaden z nich nie wiedział na pewno, nie wyłączaj jąc Słoyena, który nie miał najmniejszego zamiaru zdradzać swoich domysłów i przypuszczeń, żalił się natomiast bardzo wymownie na despekt, który go spotkał.-

Jan nie zamierzał przyciskać go do muru, aby wydobyć prawdę, ale spoważniał. Przypomnił sobie ironiczne uśmiešky i szept, które zauważył wśród młodszych marynarzy. Po-* myślał, że ich przyczyną mógł być niepokromiony języki Burnesa.

— Zrób rachunek sumienia, Percy — powiedział kładąc mu ciężką dłoń na ramieniu, — Z pewnością coś tam znajdziesz. I radzę ci, wystrzegaj się tego na przyszłość, bo na stępnym razem mógłbyś dostać w pysk ode mnie, a to nie skończyłoby się na rumieńcach, jakie cię teraz ozdabiają.

Przeładunek zdobyczy do ładowni „Zephyra” trwał aż nazbyt długo, bowiem do chwili, gdy od północo-wschodu ukazały się sylwetki czterech okrętów płynących wprost z wiatrem ku Wyspom Kanaryjskim.

Marten czekał, aż się zbliżą na tyle, by można było je rozpoznać, a następnie, przekonawszy się, że są to lekkie,

lecz zapewne dobrze uzbrojone hiszpańskie fregaty, umknął im sprzed nosa, pozostawiając ich opiece uszkodzoną i na pół opróżnioną karawelę.

Maria Francesca nawet się tego nie domyślała, a zresztą nie obeszłoby ją to wiele. Wzburzona i wciąż bliska płaczu zamknęła się w swojej kajucie, odprawiła od drzwi Martena, który na próżno do nich kołatał, i usiłowała się modlić, aby odzyskać spokój.

Na nic się to nie zdało: jej myśli ustawicznie wracały to do Manuela, który najwidoczniej uważał ją za kochankę Martena i chciał ją zgładzić, aby położyć kres tej hańbie, to do Slovena, którego sprośne uwagi paliły ją wstydem i gniewem.

Manuel de Tolosa był niegdyś jej wielbicielem i nawet zamierzał starać się o jej rękę. Lecz po pierwsze nie posiadał ani majątku, ani znaczenia, po wtóre zaś nie potrafił zdobyć nawet cienia jej wzajemności. Nie lubiła go: miał sepleniącą wymowę, ograniczony umysł i bardzo wysokie mniemanie o sobie. Wiedziała, że na parę miesięcy przed jej uprowadzeniem z zamku da Insua y Vianna wyjechał na Jawę, gdzie z protekcji don Emilia de Vizella miał przyręczone jakieś nieznaczące stanowisko w służbie wojskowej. Dlatego też, gdy go zobaczyła i poznała wśród jeńców na pokładzie karaweli, chciała się od niego dowiedzieć czegoś o ojcu, a także za jego pośrednictwem przesłać do Lizbony wiadomości o sobie. On zaś — bezmyślny głupiec! — strzelił do niej, zamiast skierować swój pistolet w serce Martena. Zapewne wiedział o jej porwaniu, a ujrzawszy ją u boku korsarza, ze szpadą i w męskim przebraniu, wyciągnął z tego zbyt pośpieszny wniosek.

— Głupiec! — powtórzyła głośno. *- Nie nadawał się tam pewnie nawet na oficera.

Lecz postępek Manuela mniej ją gniewał niż bezczelne zachowanie się Slovena. Ten sprytny cwaniak z pewnością był domyślniejszy niż Manuel: odgadywał to, co ukrywały ściany kasztelu na rufie „Zephyra”, a może po części i to, co działo się w sercu seniority. Tłumaczył sobie jej opór na swój sposób cynicznie i bezwstydnie, myśląc i mówiąc o niej jak o dziewce portowej, z którą chętnie by się przespał. Niej znał innych kobiet, chyba te, które zdarzyło mu się zgwałcić w zdobytych miastach lub na pokładach pojmanych statków. Ją traktował jak zdobycz wojenną swego kapitana, zdobycz tylko na razie nietykalną, ale którą mógłby otrzymać w podarunku, podobnie jak znoszoną kurtkę albo nieprzydatną parę butów. Z pewnością nie wyobrażał sobie, aby Marten odnosił się do niej inaczej.

Gdybym się dostała w ręce takiego łotra — myślała Maria Francesca — chyba nawet Najświętsza Panna nie zdołałaby mnie obronić

8

Gdy „Zephyr” w końcu maja roku 1596 powrócił do Deptford, Marten poczuł się jak przybysz z zapadłej wioski przeniesiony nagle do rojnego miasta, w którym odbywa się

zarazem, doroczny jarmark, odpust, mobilizacja wojsk i ^dzie panuje zamieszanie jak na wiadomość o bliskim potopie- Co chwila dowiadywał się o zdarzeniach, nowinach, pogłoskach i plotkach, od których huczało mu w głowie: zajęcie Calais przez Hiszpanów, zmiana umów kaperskich na korzyść skarbu, niebывały wzrost cen, sojusz z Francją, wojna z Hiszpanią, bunt w Irlandii, nominacja Waltera Raleigha na kontradmirała, wyprawa do Flandrii, sekwestr prywatnych statków, rzekomo przygotowywany dekret o zakazie przywozu wina i eksportu wełny, a poza tym pogoń za płynną gotówką na opłacenie zaległych podatków, które jakoby miano ściągać bardzo bezwzględnie i w bardzo krótkim czasie. Wszystko to stwarzało gorączkową atmosferę i niebывały zamęt.

Nieład panował również w urzędach, na komorze celnej i w kapitanacie portu. Marten otrzymywał tam sprzeczne polecenia i rozkazy, a już z urzędnikami skarbowymi w ogóle nie mógł dojść do porozumienia; ich apetyty i żądania urosły tak dalece, że niemal czwartą część zdobyczy musiał poświęcić na zaspokojenie daAvnych i obecnych pretensji skarbu, a prawie całą resztę sprzedać za pośrednictwem Królewskiej Izby Handlowej, przy czym na połowę należności otrzymał rewersy płatne dopiero w końcu następnego kwartału. Wiedział, że go wyzyskują i oszukują, ale nie mógł nic wskórać w tym chaosie i pośpiechu, zwłaszcza że przywykł zlecać sprawy handlowe Schultzowi. Ale Schultz przebywał w Plymouth wraz z całym sztabem pracowników' .swej londyńskiej filii.

Po trzech dniach targów, kłótni i wyczekiwania w korytarzach urzędów Marten był tak znużony i wyczerpany, że poddał się i podpisał wszystko, co mu kazano, po czym w obecności inspektorów portowych Jej Królewskiej Mości kazał wyładować zdobycz na barki i lichtugi, które następnie miały zaopatrzyć „Zephyra” w balast na drogę do

Plymouth, dokąd miał natychmiast odpłynąć, aby zgłosić się do dyspozycji hrabiego Essex.

Zniechęcony, rozgoryczony i zły, na próżno dopytywał się o cel zamierzonej wyprawy. Oświadczone mu, że dowie się o tym na miejscu i że tam również otrzyma zapas żywności, prochu i kul.

Niezbyt ufał tym zapewnieniom. Przeklinał w duchu warunki umowy kaperskiej, które zmuszały go do podporządkowania się rozkazom. Wiedział z doświadczenia, jak mało może zyskać w regularnych działaniach wojennych i jaką wartość mają obietnice królowej dotyczące wypłaty żołdu. Zaczynał mieć już dość tej służby: Elżbieta zbyt drogo kazała sobie płacić za patent korsarski i za swój prywatny udział w wyposażeniu „Zephyra”.

W powodzi pogłosek przeważało zdanie, że flota pod naczelnym dowództwem Essex ma wyruszyć do Irlandii. Marten wcale nie miał ochoty na wyprawę tego rodzaju. Po raz pierwszy pomyślał, że można by na serio rozważyć propozycje i namowy Henryka Schultza dotyczące powrotu do Bałtyku.

Lecz na to było jeszcze za wcześnie. Musiał przecież najpierw załatwić porachunki z Ramirezem. Gdyby tego nie dopełnił, Maria Francesca mogłaby przypuszczać, że się go uląkł.

Maria Francesca... Na myśl o niej ogarnęło go jeszcze większe rozdrażnienie. Uparła się, aby zatruć mu życie. Tego rana zrobiła scenę z powodu sukien zamówionych przed podróżą do Bayonne, o których nagle sobie przypomniała. Zażądała, by z nią pojechał do Londynu odebrać owe suknie, nie chciała nawet słuchać jego tłumaczeń, że nie ma na to czasu. A gdy stanowczo odmówił, trzasnęła drzwiami i oświadczyła, że nie tknie jedzenia, dopóki to nie zmięknie jego „złotego serca”.

— Złotego, lecz jedynie dla wrogów — dodała. — Bofl dla mnie masz serce z granitu!

Taki zwrot nieoczekiwanie skłonił go do wysiania Jednego z truxmanów po krawczynię, panią Layton, która była Hiszpana, żoną stangreta Jej Królewskiej Mości, i której Anglia zawdzięcza zwyczaj noszenia karbowanych kryz.

Ta Wymagająca dama, rządząca teraz modą na dworze Elżbiety, ceniła się bardzo wysoko. Z pewnością czuła się urażona, że nie przysłano po nią powozu w końcu marca, kiedy suknie seniority de Vizella były już gotowe, i że od tego czasu nikt nie zjawił się w jej pracowni, aby je odebrać. Należało ją ułagodzić jakim upominkiem i Marten wybrał w tym celu złotą bransoletę ozdobioną dużym karbunkulem, który to kamień miał magiczną właściwość zjednywania przyjacieli.

Sefiora Luiza Layton uległa tym czarom i przyjechała do Deptford, a następnie w towarzystwie dwojga dziewcząt niosących pudła z sukniami wstąpiła na pokład „Zephyra” i poprzedzana przez posłańca udała się do kasztelu na rufie; ale cały ten pochód, powóz oczekujący na nabrzeżu, a przede wszystkim niedyskrecja truxmana, który na lewo i na prawo rozpowiadał, kogo to wypadło mu sprowadzić z White Hallu, wywołały nie lada sensację zarówno wśród marynarzy na okręcie, jak wśród portowych gapiów na brzegu.

Marten był zły: wszyscy dokoła mogli ujrzeć na własne oczy i przekonać się, jak dalece ulegał kaprysom seniority, która nawet nie była jego kochanką. Wiedział, że ten stan rzeczy nie jest tajemnicą; że jego najbardziej intymne sprawy są komentowane przez załogę i stanowią przedmiot plotek opowiadanych przy kieliszku w portowych gospodach. Przy tym gniewało go, iż musiał zajmować się takimi głupstwami wśród rzeczywiście poważnych trosk i kłopotów. Na domiar wszystkiego nie otrzymał nawet uśmiechu wdzięczności od Marie, która na widok krawczyni zapomniała o jego istnieniu.

Wieczorem kazał odwieźć się na brzeg i poszedł do Dieky Greena. Już od progu zobaczył Williama Hoogstone'a, który siedział samotnie przy małym stole w pobliżu szynkwasy i bez najmniejszego zapалу spoglądał na kufel cienkiego piwa anemiczną obwódką piany. Marlen wiedział, że go tu spotka: „Ibex” tego dnia rano rzucił kotwicę opodal „Ze-1 phyra” i podobnie jak on oczekiwał na balast, ponieważ także miał wyruszyć do Plymouth. Obaj kapitanowie wymienili już pierwsze pozdrowienia z pokładów swych okrętów i Hoogstone zdążył powiadomić Marlena, że ostatnio powodził się nieszczerze. Teraz ożywił się nieco, ale już po chwili, znowu spuścił nos na kwintę.

■— Cóż cię tak gnębi? — zapytał Jan;

Hoogstone nie od razu odpowiedział. Westchnął, pociągnął łyk z kufła i odstawił go na bok.

— Nie mogę powiedzieć, żebym przepadał za piwem — rzekł z niesmakiem. — Przypomina pomyje, tak źle warzą je teraz. Ale jest przynajmniej tanie.

— O, więc twoje sprawy aż tak kiepsko idą? — zamrą?,* żył Marlen ze współczuciem. — Lubisz whisky?

— Czy lubię whisky! — odrzekł William i wznosił oczy w górę nie tracąc na próżno słów, aby wyrazić stopień sn go zamięłowania do mocnych trunków.

Marten kazał podać kamionkę i dwa kubki.

— Trzy — poprawił go Hoogstone. — Zaraz tu przyjdzie Carotte — wyjaśnił. — Widziałem go w urzędzie skarbowym...

Carotte właśnie ukazał się w progu, jak zawsze rumiany, uśmiechnięty i pełen wigoru. Lecz gdy już uściskali się z Martenem, i on spoważniał. Wszyscy trzej zaczęli utyskiwać na niesłychane zdzierstwo i łapownictwo, jakie rozpano* szyło się wśród urzędników królowej, a także na bezprawne zarządzenia kapitana portu, od których nie mieli się do kogo odwołać.

Hoogstone uskarżał się poza tym na swego chciwego

teścia: Salomon White pozostawił mu wprawdzie dowództwo okrętu i wszystkie związane z tym troski, ale bynajmniej nie zrezygnował z dochodów; był podejrzliwy, bezwzględny i skąpy jak Shylock ze sztuki scenicznej Szekspira, którą można było oglądać w „Globusie” *.

— Jeżeli tak pójdzie dalej — powiedział Hoogstoene — nie opłaci się uprawiać ani handlu na morzu, ani korsarstwo.

Marten zgodził się z nim w zupełności. Ceny na sprzęt okrętowy i na żywność podskoczyły dwukrotnie, przy czym takich materiałów jak płótno żaglowe i farby w Deptford nie można było w ogóle dostać.

Brakowało także wina i wędzonego mięsa. Natomiast towary zamorskie, które na rynku były bardzo poszukiwane, skupowała od korsarzy wyłącznie Królewska Izba Handlowa, płacąc niewspółmiernie mało i w dodatku tylko w polowie gotówką.

~ Moglibyśmy powetować sobie te straty ~ powiedział wreszcie Marten — gdyby chodziło o wyprawę przeciw Hiszpanii. Ale jeśli Essex ma nas poprowadzić na Irlandię...

— Nie wierzę w to — przerwał mu Carotte. — Wiadomo przecież, że Hiszpanie przygotowują nową Armadę. Jeżeli cała nasza flota popłynie tymczasem do Irlandii, któż zaręczy, że Medina-Sidonia nie pokusi się o wylądowanie tutaj albo dajmy na to w Chatham? Pamiętajcie, że mają teraz Calais; są tam gospodarzami.

— Więc przypuszczasz, że chodzi o Lizbonę? — zapytał Marten.

— Raczej o Kadyks — odrzekł Piotr zniżając głos. — Słyszałem, że ma tam wkrótce przybyć Złota Flota z Indii Zachodnich. Podobno hiszpańska eskorta wypłynęła już na jej spotkanie.

'— Ba, i ja o tym słyshałem! — wykrzyknął Marten W Szukałem tej eskorty przez kilka tygodni. Popłynęli chyta aż do Wysp Bahamskich, bo ani przy Azorach, ani w oko. licach Madery ich nie widziałem.

— Mogli być po prostu w jakimś porcie — powiedział Carotte.; —• Na przykład na Terceirze. Nie zaglądałeś tan* chyba?

Marten roześmiał się. Port Terceiry był zarazem twierdzą nie do zdobycia.-

—Nie — odrzekł. — Istotnie tam nie zaglądałem, bo was ze mną nie było. Ale chętnie zajrzałbym do Kadyksu,

—Co do mnie -r powiedział Piotr — to wolałbym nie zaglądać tam, gdzie padają pociski armatnie. Skończyłem z korsarstwem; jestem na to za stary;

—Więc po co wybierasz się do Plymouth? — spytał Hoogstone,'

Carotte wzruszył ramionami.-

—Zmuszono mnie do tego. Gdybym się nie zgodziły zasekwestrowaliby mi „Vanneau”. Pływam przecież pod angielską banderą.- Ale — powiem wam w zaufaniu — mam ochotę zmienić ją na francuską i pewnie to zrobię;

—Myślisz, że w twoim wieku lepiej mieć do czynienia z mężczyzną niż z kobietą — rzekł Marten.;

Carotte uśmiechnął się i skinął głową.-

—Jamais les choses ne se mettent a aller vraiment mal,-s'il n'y a pas une femme sous la roche * — odparł sentencjo* nalnie.; —• Dotyczy to zarówno kłopotów hrabiego Essexa i Henryka IV, jak moich i twoich. — A propos: jak się miewa mademoiselle Marie Francoise?

—Dziękuję — mruknął Marten — spodziewa się.;;

—Oh! Mes felicitations! *| — zawołał Piotr.

-*- Spodziewa się, że jej narzeczony lada dzień ją uwol-ⁿ — dokończył Marten,

Piotr zmieszał się, ale Jan nie wziął mu za złe niewczesnych gratulacji. Popatrzyli na siebie i obaj się roześmieli,

— Na próżno szukałem go dokoła Azorów — westchnął Marten. — Podobno dowodzi tą eskortą. Może istotnie czeka na Złotą Flotę pod osłoną dział Terceiry.

Domysły Piotra Carotte dotyczące pobytu hiszpańskiej eskorty w porcie Terceiry były słuszne. Złota Flota już w lutym wyruszyła z Puerto Bello, gdzie załadowano skarby dostarczane przez cały rok z Nowej Kastylii, ale droga przez Morze Karaibskie do Hawany trwała zazwyczaj parę tygodni, a nieraz po przybyciu do portu trzeba było czekać jeszcze na okręty ze srebrem zdążające z Veracruz. Dopiero po ich przybyciu formował się wielki konwój pod strażą fregat i karawel, które strzegły transportu poprzez cieśniny Florydzką i Bahamską, a potem przez Atlantyk, aby połączyć się z dodatkową eskortą w umówionym miejscu, na zachód od Azorów lub w pobliżu Wysp Kanaryjskich. Zdarzało się, że ta dodatkowa eskorta musiała oczekiwać po kilka tygodni na spóźniony konwój bądź w Terceira, bądź w innych portach lub nawet na otwartym morzu.;

Tej wiosny, roku 1596, oczekiwanie przeciągało się szczególnie długo. Komandor Blasco de Ramirez wyruszył z Ka-dyksu mniej więcej w tym samym czasie co Marten z Dept-ford i od miesiąca przebywał w Angra na wyspie Terceira, wysyłając stamtąd lekkie fregaty na poszukiwanie spóźniającej się Złotej Floty.;

Niecierpliwiał się; jego sprawy prywatne, zarówno finansowe, jak matrymonialne, gmatwały się coraz bardziej, doprowadzając go do rozpacz; Pozostawały zresztą w ścisłym związku, ponieważ jego położenie materialne zależało

od małżeństwa z Marią Franceską de Yizella i od jej posą. gu. Dopóki Maria była zakładniczką kawalera de Belmont przypuszczał, że zdoła dojść do porozumienia z jego pełnomocnikami i że ją wykupi przy pomocy don Emilia i sta., rego de Tolosa. Lecz gdy posłyszał, że wpadła w ręce Mar-tena, stracił wszelką nadzieję.

Nieco później dowiedział się, że Marten szuka go na morzu, i zrozumiał, że sam tylko musi stawić mu czoło, jeśli chce ją odzyskać. Sprawa nabierała teraz wielkiego rozgłosu i jego szlachecki honor oraz cała reputacja od tego zawisła. Jakże jednak mógł doprowadzić do rozprawy z Martenem, nie wiedząc nic zgola o miejscu jego pobytu?

Był już zdecydowany wyznaczyć mu spotkanie, gdy rozkaz admiralicji pchnął go na Azory. Nie śmiał o t|H powiadomić swego wroga. Byłaby to zdrada tajemnicy, zagrażająca bezpieczeństwu Złotej Floty; Marten mógł zjawić się w miejscu spotkania w towarzystwie znacznych sił angielskich i pokusić się o cenną zdobycz. Nie można było przecież zaufać korsarzowi, że zachowa taką wiadomość wyłącznie dla siebie! Z drugiej strony Blasco de Ramirez gotów byłby poświęcić narzeczoną, gdyby mu się udało w inny sposób podreperować swoje finanse, ratując zarazem zagrożony honor hidalga.

Był taki sposób. Lecz aby go użyć, należało przede wszystkim przybyć do Kadyksu dość wcześnie, aby wziąć udział w zamierzonej wyprawie do Irlandii, a następnie wciągnąć Martena w zasadzkę, którą Blasco obmyślił z wszelkimi sz<B gólami.

Z Irlandią łączył wielkie nadzieje. Spodziewał się, że król powierzy mu jeśli już nie naczelne dowództwo nad całą Armadą, to przynajmniej nad głównymi jej siłami bojowymi; które miały zaatakować Dublin i umożliwić wylądowanie wojsk. Gdyby mu się to powiodło, nie minęłyby go stosowna nagroda, nie mówiąc już o łupach wojennych, jakie mógł

zdobyć w Dublinie. Z pewnością zostałyby wreszcie admirałem, a może otrzymałby zarazem tytuł hrabiowski z odpowiednią podstawą majątkową. Mógłby wówczas pomyśleć o wykupieniu z zastawu dóbr w Nowej Hiszpanii, o powrocie do Ciudad Rueda i wreszcie — o jeszcze bogatszym ożenku.

Wszystkie te plany zawisły teraz od bardziej lub mniej pomyślnych warunków żeglugi na Atlantyku. Jeszcze kilka dni opóźnienia w przybyciu Złotej Floty mogło je unicestwić, jeśli w Madrycie zapadnie decyzja o wysłaniu Armady do Irlandii przed powrotem flotylli eskortowej do Kadyksu.

De Ramirez wiedział, że każdy dzień zwłoki zmniejsza jego szanse. W Hiszpanii było dość komandorów i młodych kontradmirałów, którzy ubiegali się o dowództwo w irlandzkiej wyprawie. Jeśli się spóźni, powierzą mu ochronę wybrzeży zamiast ataku na Dublin..;

Wiadomość o zbliżaniu się Złotej Floty do Ilhas Acores nadeszła do Angry w upalny dzień czerwcowy, podczas gdy dowódca eskorty oddawał się poobiedniej sjeście. Przywiózł ją kapitan lekkiej fregaty, niejaki Filipe Chavez, którego okręt „San Sebastian” wyróżniał się niezwykłą prędkością. Z relacji Chaveza wynikało, że na czele transportu płynie grupa złożona z czternastu galeon naładowanych srebrem i złotem, lecz pozbawiona wszelkiej straży. Reszta konwoju pozostała daleko w tyle i prawdopodobnie bardziej na wschód, z powodu silnego zachodniego sztormu, który przed kilku dniami rozproszył okręty. Ta, druga część transportu składała się przed ową burzą z trzydziestu sześciu dobrze uzbrojonych statków, eskortowanych przez trochę już przestarzałe kara-wele wojenne Floty Prowincjonalnej.

Wysłuchawszy sprawozdania, komandor de Ramirez postanowił natychmiast wyruszyć głównymi siłami na spot-

kanie czołowej grupy konwoju, aby zapewnić jej opiekę a jednocześnie zlecił swemu zastępcy, kapitanowi Pascualo-tyj Serrano, poszukiwanie zapóźnionej reszty, której nie zagra. żało niebezpieczeństwo ze strony piratów wobec dość silnej eskorty,-

Kapitan Serrano, stary, doświadczony marynarz, p_o. chwalał ten plan, lecz pozwolił sobie zauważyć, że po za-] kotwiczeniu czternastu okrętów ze skarbami w obronnym porcie Terceiry należałoby tu zaczekać na przybycie tych, które miał odnaleźć i przyprowadzić, tak aby w dro-| gę do Kadyksu odpłynął cały konwój pod wzmocnioną ochroną.

Nie leżało to jednak wcale w zamiarach komandora.- Oświadczył oschle, iż nie potrzebuje rad; czyni i rozkazuje czynić, co sam uważa za stosowne. W danym przypadku nakazywał pośpiech;

Serrano nic już nie odrzekł, jakkolwiek zanosilo się naj burzę i wydawało mu się, że należałoby ją raczej przecze-j kać w porcie, niż narażać się z kolei na rozproszenie eskor-f ty.; Gdy z jego fregat opuszczano szalupy ^ które miały je wyholować z bezpiecznego schronienia w głębokiej zatoce, niebo było jak mosiądz, ziemia jak rozpalona żelazna blacha, a powietrze jak bezbarwny, drgający płomień, Lekkie, zwodnicze podmuchy wiatru nie wypełniały żagli; wielkie płótniska wzdymały się i opadały bezwładnie, a prąd wykręcał okręty to w tę, to w ową stronę; Dopiero przed wieczorem, gdy tłuste, rozmazane słońce wsparło się na szczy-| tach gór oświetlając z ukosa groźną ławicę obłoków nadcią-i gających z północo-wschodu, obudził się żywszy powiew i zmarszczył wody zatoki. Fregaty Pascuala Serrano sformowały szyk i zaczęły się oddalać, a ciężkie karawele de Rami-reza majestatycznie ruszyły ich śladem.

Burza, którą przewidywał kapitan Serrano, nie mogła się zdecydować na generalny atak. Przez całą noc chmury kłębiły się, zagarniały niebo to od wschodu, to od północy i znów zdawały się cofać. Wiatr wzmagął się i ucichał. Było duszno, a gwiazdy spoglądały na syczące morze spoza mglistych oparów, przyćmione i jakby spłaszczone tym, co się gotowało na horyzoncie.

Ranek wstał blady, mizerny, wycieńczony. Wiatr znów skonał, a potem zadął od wschodu. Jakiś zabłąkany szkwał przeleciał wraz z poszarpanym, ciemnym obłokiem, lunął krótki, chłodny — deszcz i urwał się nagle. Zaraz potem spomiędzy chmur na chwilę wyjrzało słońce.

Blasco de Ramirez uznał to za dobry znak;

— Wszystko to albo nas ominie od północy — powie dział do swego porucznika — albo się rozejdzie.

Można było przypuszczać, że odgadł trafnie: aż do południa trwało zawieszenie, a nawet przejaśniało się nieco. Lecz od wschodu nadbiegała coraz wyższa fala, a gdy na rufie w salonie oficerskim podano obiad, „Santa Cruz” kołysał się tak silnie, że de Ramirez kazał go skierować rufą do wiatru.

W połowie posiłku doniesiono komandorowi, że majtkowie z marsów dostrzegli żagle kilku okrętów płynących naprzeciw.

— To oni! — ucieszył się.

Wybiegł na pokład, aby samemu przekonać się o tym; Ale odległość była jeszcze za duża; z pokładu nic nie widział, a nie miał ochoty wspinać się na maszt. Postanowił raczej dokończyć obiadu. Zaniepokoił go jednak stan morza i wygląd nieba. Fale uderzały o wysoką, beczkowatą rufę, jakby nagłąc do pośpiechu, a niebo zwisało tuż nad nią czarne i ciężkie, jak sklepienie olbrzymiej pieczary, które grozi runięciem.

Blasco nagle stracił apetyt. Pomyślał, że wkrótce będzie

musiał zawrócić i pożeglować w samą gardziel przyczajonej! nawalnicy. Miał z sobą dziewięć dużych i sześć mniejszych karawel, co wraz z czternastoma galeonami należącymi do Floty czyniło dwadzieścia dziewięć okrętów; „Santa Cruz” był trzydziesty. Dopóki morze było spokojne i pogodę dopisywała, uszykowanie takiej floty i kierowanie jej rzeczami nie nastęczało wielkich trudności, ale podczas burzy..

Burza szła w ślad za nim; następowała potężnym frontem, gasząc przed sobą dzienne światło i rzucając cieniem na morze. Karawele kołysały się ciężko na martwej fali, zapadając głęboko w bruzdy i dźwigając się leniwie na wzniesienia oleistej, ciemnej wody pozbawionej połysku. Ich maszty i reje skłaniały się nisko, zataczały się i podrywane przeciwnym prądkiem stękały bolesciwie. Raz po raz przelatywały krótkie dżdże pędzone gwałtownymi porывami wiatru i wtedy morze syczało pianą, a żółte bandery z czerwonymi krzyżami św. Jakuba, które Blasco kazał wciągnąć na szczyty masztów, trzepotały jak przerażone ptaki schwytywane za nogi w oko zdradzieckiej sieci.

Na wprost widać już było galeony Floty uszykowane w dwa szeregi po siedem okrętów. Pływały prosto na północnym prądkiem i widocznie gotowały się do walki z burzą, bo ich górne żagle kolejno znikły ze wszystkich masztów.

De Ramirez pozdrowił je trzema wystrzałami działowymi, na co odpowiedziano podobnie z okrętu, który wywiesił banderę komodorską *.

„Santa Cruz” płynął nadal z wiatrem na czele eskorty, póki nie znalazł się za konwojem. Dopiero wtedy z jego marsów zaszykalizowano rozkazy. Dziesięć ciężkich, dwupokłowych karawel wykonało zwrot również ku północy; szły lżejszych podążały dalej, oskrzydlały konwój od zachodu.

Zaraz po tym manewrze niebo zsiniało od gniewu przemówiło po raz pierwszy długim, toczącym się z daleka grzmiotem, który zabrzmiał jak ostrzeżenie przed wzbierającą furią; Wiatr wstrzymał oddech i zaległa cisza.

Wtem ciemne sklepienie chmur pękło: ukazała się w nim oślepiająca zygzakowata rysa, rozległ się przeciągły łoskot i z suchym trzaskiem strzelił piorun.

W tej samej chwili przerażony wiatr porwał się do panicznej ucieczki. Skoczył z góry na morze, zawadził o fale, rozczochrał ich czuby, odbił się, dał susa, wpadł między okręty, przygiął nisko ich maszty, stratował pokłady, zawył histerycznie w olinowaniu i umknął nie wiadomo dokąd.

Lecz tuż za nim nadleciał inny. Ten nie uciekał: szarżował jak ciężki zbrojny hufiec, który pędzi przebojem nie zważając na żadne przeszkody. Fala podnosiła się pod jego cwałem, ryczała do wtóru, pluła białą pianą, szturmowała kasztele. Kilka żagli pękło z hukiem i odleciało w przestrzeń. Ale szyk jeszcze się trzymał.

Dopiero gdy nastąpił atak głównych sił burzy, gdy całe niebo aż po widnokrąg zaciążyło jak ołów nad światem, a ciemność zwała się na posiwiałe morze, gdy oszalały wicher przygnał ze wschodu olbrzymie, grzywiasłe fale i rzucił je na struchlałe okręty — ich szeregi najpierw wygięły się i poszczerbiły, potem załamały się pośrodku, a wreszcie prysły w rozsypce.

Gwałtowny sztorm, który tak długo nabrzmiewał, wyładował się jednak stosunkowo prędko. Jeszcze przed zachodem słońca roztopił się w ulewnym deszczu, a o północy niebo jaśniało już gwiazdami. Morze uspokoiło się, a wiatr, łagodny i rzeński, wiał z umiarkowaniem, jakby mu się nigdy nie zdarzały napady szału. Ale dla transportu nie skończyło się na strachu; Jedna z naładowanych srebrem galeon od

razu poszła na dno; druga miała poważny przeciek pod linią i wodną i tylko dzięki nieustannej pracy przy pompach można ją było utrzymać na powierzchni; wreszcie trzy spośród sześciu karawel eskorty doznały tak poważnych szkód w oszutowaniu i ozaglowaniu, że nie mogły nadażyć za resztą i pozostały daleko w tyle.

Komandor Blasco de Ramirez nie chciał na nie czekać. Ratował to, co się uratować dało. Z największym wysiłkiem przeładowano sztaby srebra z tonącej galeony na „Santa Cruz”, po czym uszczuplony konwój znów utworzył sztyk podróży i skierował się ku Azorom, a następnego dnia pod wieczór Rzucił kotwice w porcie Terceiry.;

Ramirez wahał się, czy jednak nie zaczekać tam na drugą część Złotej Floty.- Miał ją przyprowadzić w całości. Ale po pierwsze chciał jak najprędzej znaleźć się w Hiszpanii, aby dopilnować swoich spraw na miejscu i wziąć udział w wyprawie irlandzkiej, po wtóre zaś mniemał, że flotylla pod dowództwem Pascuala Serrano wraz z wojennymi karawelami Floty Prowincjonalnej w zupełności wystarczy do eskortowania trzydziestu sześciu uzbrojonych transportowców. Sam miał teraz trzynaście karawel (licząc w tym „Santa Cruz”) do ochrony dwunastu galeon, których ładunek przedstawiał wartość kilku milionów pistoli w złocie. Myślał, że im wcześniej dostarczy ten skarb, tym lepiej przysłuży się królowi.

Ostatecznie postanowił wypłynąć natychmiast po uzupełnieniu zapasów żywności i wody oraz przeprowadzeniu najkonieczniejszych napraw na skołatanych okrętach. Siedemnastego czerwca konwój wyruszył z Terceiry i po dziewięciu dniach żeglugi dotarł do Kadyksu, gdzie w zatoce zastał zakotwiczoną Drugą Armadę, jeszcze niegotową do drogi. Tegoż dnia, dwudziestego szóstego czerwca, nadeszła wiadomość, że Serrano odnalazł resztę Złotej Floty, połączył się z nią na Atlantyku i prowadzi ją ku Maderze. Blasco de Ramirez mógł być z siebie zadowolony. Jegoj

decyzje spotkały się z uznaniem księcia Medina-Sidonii, który na gwałt potrzebował pieniędzy, aby wreszcie dobroić Armadę, a zgodnie z obietnicą królewską spodziewał się otrzymać konieczne fundusze natychmiast po przybyciu transportu z Indii Zachodnich. Lecz obaj — zarówno admirał, jak komandor — krótko cieszyli się pomyślnym obrotem fortuny.

9

Henryk Sehultz robił w Plymouth doskonałe interesy jako główny dostawca armii i floty, Sprzedawał nagromadzone zapasy z ogromnym zyskiem, a jednocześnie zawierał umowy, za których pomocą asekurował się od wszelkiego ryzyka, Wiedział więcej niż niejeden mąż stanu, przewidywał trafniej niż dowódcy wojskowi, obliczał na zimno, nie ulegając namiętnościom politycznym i kierując się tylko względami materialnymi. Nie wierzył już w druzgocące zwycięstwo Hiszpanii jak przed ośmiu laty, kiedy widok Niezwyciężonej Armady i krótki pobyt w Escorialu wywarły na nim tak wielkie wrażenie, Wtedy spotkał go zawód i tylko dzięki pewnej dozie przeczności oraz szczęścia nie poniósł żadnych strat; Dziś był o wiele bardziej przeczny i o wiele mniej

ulegał złudzeniom. Mimo to postanowił sprzedać filię londyńską, zachowując z jej nabywcami nader przyjazne stosunki handlowe i zapewniając sobie szczególne przywileje w ich przedsiębiorstwie. Była to metoda, którą zamierzał stosować również do innych swoich filii zagranicznych. Wyrzekał się w ten sposób handlu miejscowego i koncentrował się na wielkich interesach międzynarodowych. Zyskiwał zaufanych kontrahentów, oszczędzając przy tym bardzo wiele na administracji, a także mógł przedsięwziąć inne operacje zmierzające do opanowania nowych rynków. Przed dokonaniem pierwszej takiej reorganizacji w Londynie, korzystając z niezwyklej koniunktury, opróżnił swe składki i z kolei lokował kapitały w Bordeaux, gdzie zamierzał rozwinąć szeroką działalność pod opieką króla i pana de Bethune, który świeżo otrzymał tytuł księcia Sully.

Francja pociągała go teraz o wiele bardziej niż dawniej. Henryk IV znów był katolikiem, a pan de Bethune miał; zmysł praktyczny, odznaczał się trzeźwością w sprawach; gospodarczych i pragnął się wzbogacić. Wprawdzie Bordeaux pozostało nadal hugonockie, lecz wzajemna nienawiść między zwolennikami obu wyznań przygasła, ustępując — jak i zresztą w całej Francji — prądom tolerancyjnym. Schultz; mniemał, że bez wielkiego wysiłku i ryzyka osiągnie tani jeszcze więcej, niż dotąd osiągnął w Anglii.

Jego konkretne, wszechstronnie przemyślane i opracowane plany spotkały się z niejasnymi, za ledwie powziętymi zamiarami Piotra Carotte'a i Jana Martena, do których przyłączył się również Ryszard de Belmont, zniechęcony niewdzięcznością i obojętnością okazaną mu przez hrabiego Essexu po zmianie orientacji politycznej. Schultz natychmiast zmęszył ich nastrój, dostrzegł w tym własny interes a ponieważ nie pogardzał żadnym zarobkiem, postanowił najpierw wpłynąć na ich decyzję ofiarowując się wyjednać im francuskie prawa kupieckie lub patenty korsarskie, na-

głębnie zaś podjąć się likwidacji ich interesów i należności ^v Anglii, oczywiście za odpowiednią prowizją!

Spółród nich czterech tylko Marten miał niejakię wątpliwości i opory przy zawieraniu takiej umowy w obliczu gotującej się wyprawy wojennej. Pomyślał, że bądź co bądź dopuszcza się czegoś w rodzaju dezercji wobec kraju i rządu, którym dotychczas służył. Wolałby otwarcie wypowiedzieć tę służbę, choćby to miało pociągnąć za sobą znaczniejsze straty niż prowizje Henryka Schultza;

Nie zdradził się przecież z tymi skrupułami, wiedząc, że zostanie wyśmiany. Nie wtajemniczał jednak nikogo ze swej załogi, nawet Stefana Grabińskiego, w szczegóły powziętych postanowień. Przyszło mu to tym łatwiej, że Schultz podzielił się z nim oraz Piyszardeni i Piotrem najbardziej poufną wiadomością: cała flota pod rozkazami Raleigha wraz z armią ekspedycyjną Essexu miała pod naczelnym dowództwem admirała Howarda uderzyć nie na Irlandię, lecz na Kadyks.

Był to ponętny cel, zwłaszcza że do Kadyksu lada dzień powinna przybyć Złota Flota z Indii Zachodnich. Cios wymierzony bezpośrednio w Hiszpanię godził interesy polityczne Anglii i Francji, dla Martena zaś stwarzał niejaka sposobność spotkania Blasco de Ramireza;

— Jeśli wam się powiedzie — mówił Schultz — możecie zdobyć wielkie skarby. Oczywiście będziecie musieli podzielić się z królem Henrykiem, a także ofiarować coś niecoś panu de Bethune. Ale wyniesie to znacznie mniej, niż musielibyście zapłacić W Deptford całej zgrai urzędników Elżbiety;

De Belmont spojrział na niego z uznaniem.

— Słusznie — potwierdził żywo. — Pamiętajcie, jak to było po zwycięstwie nad Wielką Armadą? Oświadczone nam cynicznie, że „bohaterom powinno wystarczyć ich bohaterstwo”; zyski wpłynęły do kas królowej. Co do mnie, wolę, aby wpłynęły do mojej własnej.-

Carotte westchnął.

'rz Czuję, że i ja podlegam tej ułomności ludzkiej natury — oświadczył. — Może dlatego, że nie mam ambicji zostać bohaterem.;

Marten milczał, ale już rozgrzeszał się w duchu: bądź co bądź wyplacił się sowicie za pomoc, jakiej tu doznał, a jego zasługi wojenne nie przyniosły mu istotnie żadnych korzyści. Uważał swoje rachunki za wyrównane;

A jednak — pomyślał — lepiej nie mówić tego Stefa-
nowi,..-

Szczerzy i prosty charakter, młodzieńczy zapał, talent] żeglarski, niezwykle zdolności w przyswajaniu sobie żarów-' no obcych języków, jak sztuki nawigacyjnej jednały Grabińskiemu serce Martena, Było to uczucie na pół ojcowskiej na pół braterskie. Stefan przypominał mu własną młodość,' a także coraz żywiej wywoływał w jego pamięci postać ukochanego brata, Karola.; Im więcej przestawali z sobą, tymj częściej Jan stawał wobec zagadnień, które dawniej nie przychodziły mu do głowy. Stefan bowiem pytał nie tylko o sprawy zawodowe, które można było wyjaśnić łatwo i stosunko-j wo prosto. Niepokoilo go na przykład pytanie, dlaczego [Marten i jego okręt służą Anglii, a nie Hiszpanii. Jan zdobył | się wtedy na długi, dość zawiły wykład. Mówił o okrucieńA-j stwach hiszpańskich wojsk w Niderlandach, o krwawym pod-] boju Nowej Hiszpanii i Nowej Kastylii, o ucisku, jaki tam) panuje; opowiedział mu historię kraju Amaha i opisał znisz-1 czenie Nahua, stolicy tego indiańskiego państewka, które] niegdyś wspierał i* dla którego niepodległości poświęcił tak j wiele.

Zdawało mu się, że przekonał chłopca. Stefan był głębo- j ko wzruszony tą romantyczną epopeją. Lecz w kilka dni później przyszedł do Martena z nowymi wątpliwościami: Anglia |

ze swej strony uciskała Irlandczyków, którzy także pragnęli ■wolności.?’

Marten odrzekł, że za mało wie o tej sprawie, aby ją roztrząsać, lecz jest przekonany, że Anglicy nie dopuszczają się takich okrucieństw, jak Hiszpanie.;

To jednak nie zadowoliło Stefana:

— Sam mówiłeś, że handlują Murzynami, Chwyatają ich i sprzedają Hiszpanom:

'— No, nie wszyscy — odrzekł Marten;

—Wiem, żeś tego nie robił — powiedział Stefan.- — Ale Hawkins i Drake, i nawet pan Ryszard de Belmont.;;

—Nie mogę przecież brać odpowiedzialności za to, co robi Hawkins i Drake! — odparł Marten;

'— Ale oni to robili do spółki z królową;

— Więc co z tego? Ludzie nie są aniołami. Powinieneś o tym wiedzieć, znając dobrze postępowanie panów z gdańskiego senatu.;; Zresztą.;; cóż ty albo ja możemy tu zmienić? Kiedy byłem w potrzebie — dodał — pomagali mi Anglicy: najpierw Salomon White, a później także inni, nie wyłączając królowej. Czy miałem badać wszystkie ich błędy, czy okazać im wdzięczność, jak myślisz?

Ten argument był celny: Stefan przyjął go z całym przekonaniem, nawet z zapalem, który trochę zawstydził Martena.

Wdzięczność? Nie kierował się ani jedynie, ani nawet głównie wdzięcznością;

Uciekam się do wybiegów — pomyślał:

Teraz, kiedy już ostatecznie postanowił porzucić służbę pod banderą angielską, przypomniała mu się tamta rozmowa:

Niech to licho porwie! — zaklął w duchu; = Co ja mu powiem £

W przeddzień wyruszenia wyprawy z Plymouth przybył do hrabiego Essę posłaniec z White Hallu: Hrabia prze-

raził się na jego widok: czyżby królowa znów się rozmyśliła? Drżącymi rękami otworzył listy i odetchnął z niezmierną ulgą. Zawierały tylko osobiste życzenia dla niego oraz, ułożoną i napisaną przez Elżbietę modlitwę, którą monarchini poleciła odczytać przed żołnierzami armii i floty.

Niełatwo było wypełnić to polecenie; aby mu przecież uczynić zadość, wezwano do jednego z kościołów wszystkich kapitanów oraz dowódców oddziałów wojskowych, a Essex' sam przeczytał głośno utwór swej opiekunki i dobrodziejki, a — jak twierdzili niektórzy jej wrogowie — także kochanki.

„Wszechmocny Wodzu Świata — zwracała się Elżbieta do Boga w imieniu swych wojowników. — Ty, któryś nasi natchnął do czynu! Błagamy Cię z pokorą, byś nam zesłał; powodzenie i przychylne wiatry podczas żeglugi; byś dał nam zwycięstwo, które pomnoży twą chwałę i utwierdzi] bezpieczeństwo Anglii, a to jak najmniejszym kosztem krwi angielskiej. Tym naszym prośbom udziel, o Panie, swego błogosławieństwa i przyzwolenia. Amen.”

■

— Nie można powiedzieć, żeby Jej Królewska Mość zbyt niekorzystnie się przed Stwórcą — powiedział Belmont do Martena, gdy opuścili kościół i z kolei wraz z Piotrem Carrottem i Hoogstone'em udali się do gospody w East-Stone-house. Jej list do Pana Boga brzmi jak uprzejma nota dyplomatyczna jednego władcy do drugiego: trochę pochlebstw, wiele pewności siebie i kilka prośb z obietnicą pomnożenia chwały boskiej w zależności od ich spełnienia. Ale jeżeli Bóg ma poczucie humoru, powinno to wywrzeć j dobre wrażenie: jest przynajmniej krótkie i wcale nie nudne. Wyobrażam sobie, jak bardzo Opatrzność musi być żona modlitwami Hiszpanów.

Hoogstone spojrział na niego spod łba. Nie zawsze rozumiał, co Belmont ma na myśli, ale podejrzewał, że jego słowa uwłaczają godności Boga. Drażniło go to i napędzało i

obawą o losy każdego przedsięwzięcia, W jakim brał udział wspólnie z tym bluźniercą. Nie odezwał się jednak ani głosem; polemika z dwornym kawalerem przekraczała jego możliwości.

W gospodzie nie dostali ani whisky, ani piwa. Musieli bardzo długo czekać, zanim podano im wino, kwaśne jak „et siedmiu złodziei, według zdania Martena. Plymouth i jego okolice wysuszyło pragnienie wielu tysięcy oficerów i żołnierzy.

—Wielki czas — powiedział Carotte — abyśmy się wreszcie znaleźli w Bordeaux. Tam przynajmniej jest czym przeplukać gardło.

—W Bordeaux? ■— zdziwił się Hoogstone. — Nie płyniemy przecież do Francji.

Jego trzech towarzysze spojrzeli po sobie, a Piotr za późno ugryzł się w język.

— Wicie coś i ukrywacie przede mną — mruknął Hoogstone.

Zabrzmiało to jak skarga i Martenowi zrobiło się go żal. Pomyślał, że William w ciągu kilkunastu lat był jednym z najwierniejszych jego towarzyszy, a oto teraz ich drogi rozejdą się chyba na zawsze.

Od odpowiedzi uwolniło go zamieszanie powstałe za sprawą dwóch podpitych szyprów, którzy wszczęli zwadę z gospodarzem z powodu nie dość szybkiej obsługi, ów człowiek, wyciągnięty przez nich z kuchni i przyparty do muru, wyglądał na zrozpaczonego. Nie bronił się; słuchał ich wymysłów i pogróżek ze spuszczoną głową i otepiałym spojrzeniem. Marten wstał, aby go wziąć w obronę.

—O co chodzi? — spytał.

—Panie — odrzekł płaczliwie karczmarz — nie wiem już, co robić, chyba oszaleję. Żona mi rodzi, krowa zległa i cieli się, chleb przypala się w gorącym piecu, a tu... — rozłożył ręce bezradnym gestem.

— Chleb wyjmujcie, gospodarzu! — zawołał Carotte. -~~4~~
Przede wszystkim chleb! Reszta wyjdzie sama!

Ludzie parsknęli śmiechem, ale karczmarz, uderzony trafnością tej rady, pośpieszył do kuchni, pozostawiając Mar. tenowi ułagodzenie zniecierpliwionych gości.;

— Siadajcie z nami — zaprosił ich Jan. — Mamy dzbanek wina, od którego można dostać skrętu kiszek, ale niczego innego wam tu nie dadzą.-

Wbrew temu zapewnieniu po upływie kilku minut w drzwiach kuchni ukazał się znów gospodarz z dużą kamionką o nader obiecujących kształtach. Jego twarz nabrała rumieńców, uśmiech gościł na ustach. Podeszedł do stołu, przy którym siedziało teraz sześciu kapitanów, i skłoniwszy się najpierw Martenowi, a następnie Carotte'owi, rzekł:

— ■ Dżentelmeni! Nie wiem, jak wam wyrazić wdzięczność za to, co mnie spotkało, a co przypisuję w znacznej mierze waszej przytomności umysłu i dobroci serca,- Żona urodziła mi syna, krowa się ociełiła, a chleb upiekł się wspaniale,- Wypijcie, proszę, za zdrowie i powodzenie własne, nie zapominając również o mnie i mojej powiększonej rodzinie;

Dzięki temu niezwykleму zajściu William Hoogstone nie doczekał się żadnego wyjaśnienia od swych przyjaciół i pozostał nadal nieświadom ich tajemnicy.-

Ścisła tajemnica okrywała cel wyprawy również przed ogromną większością innych jej uczestników; O tym, że mają zaatakować Kadyks, dowiedzieli się dopiero na pełnym morzu, złamawszy pieczęcie i odczytawszy tekst rozkazów.-

Natomiast Hiszpanie zostali zaskoczeni całkowicie: flota angielska wtargnęła do Bahía de Cadiz bez jednego strza-
j łu, nie poprzedzona żadną wieścią, niczym zjawą wyczarowana z fal morskich;

Nie strzelano do niej z dział fortecznych, gdyż komendant twierdzy w pierwszej chwili przypuszczał, że to płynie druga część eskorty pod dowództwem Pascuala Serrano, a za nią reszta Złotej Floty. Gdy zorientował się, iż Serrano „nie mógłby w żaden sposób przybyć w dwadzieścia godzin no Ramirezie, „było już za późno. Okręty minęły fortecę, „a ich masztach ukazały się angielskie flagi wojenne, a z pokładów zagrzmiały potężne salwy armatnie. Kilkanaście płonących branderów wpadło pomiędzy stojące na kotwicach karawele Drugiej Armady wznecając pożary; na nie bronionych brzegach i w przystaniach — na Puerto Real, Santa Maria de la Frontera i San Fernando lądowały niewielkie desanty, aby ubezpieczyć siły główne niespodziewanym atakiem z lądu, a gęsty celny ogień z hakownic kładł pokotem każdy naprędce zebrany oddział hiszpański, jaki ukazywał się w pobliżu.

Robert Devereux, hrabia Essex, osobiście poprowadził szturm na miasto. Biegł pieszo na czele swych żołnierzy, póki nie zdobyli dla niego konia, który zresztą padł pod 'nim od przypadkowej kuli. Przesiadł się na innego wierzchowca i otoczony przez kilkunastu rycerzy ze swych dóbr, uderzył na hiszpańską piechotę, która nie zdążyła zamknąć bramy i podnieść zwodzonego mostu nad kanałem. Za nim, porwane jego odwagą, runęły naprzód zwarte szeregi łuczników z Devonu, pikinierów i halabardników z Kentu, yeome-nów i spiesznej drobnej szlachty, która na wyprawę ściągnęła ochotniczo z różnych hrabstw Anglii.

Miasto, forteca i cała wyspa de Leon zostały zdobyte. Lecz resztki garnizonu broniły jeszcze dostępu do wewnętrznego portu, gdzie schroniły się przybyłe dnia poprzedniego z Indii Zachodnich galeony z ładunkiem srebra i złota wartości ośmiu milionów pistoli.

Dowiedziawszy się o tym od jeńców, Essex niezwłocznie

przesłał Walterowi Raleighowi rozkaz sforsowania wejścia] i zagarnięcia tego skarbu.

Tu jednak szczęście nie dopisało zwycięskiemu dowódcy: uprzedził ich książę Medina-Sidonia. Na jego polecenie hiszpańscy kapitanowie sami podpalili swoje okręty. Gdy wkrótce po zachodzie słońca cała flotylla szalup i kilka naj-zwrotniejszych fregat angielskich pod żaglami ruszało w kierunku portu, olbrzymia łuna stanęła nad Kadyksem. W oczach Raleigha dwanaście galeon poszło na dno, a dokoła płonęły statki handlowe, barki, brygantyny i karawele, które też ogarnął pożar.'

Wśród strasznego huku płomieni, syku wody gotującej się u burt, w zamieszaniu, jakie zapanowało między angielskimi okrętami, które na gwałt opuszczały żagle i rzucały kotwice, aby zatrzymać się z dala od ognia, wymykała się niepostrzeżenie tylko jedna dwupokładowa karawela hiszpańska. Jej dowódca manewrował zręcznie w cieniu pod samym brzegiem, ominął krótki kamienny falochron, korzystał z pomyślnej bryzy, przemknął pod wyniosłymi murami twierdzy i skierował się ku wyjściu z zatoki. Był niemal pewien, że dotąd nikt nie zauważył jego ucieczki. O dwie mile] przed nim otwierało się morze. Miał teraz dziewięć szans na | dziesięć, że uda mu się umknąć/-

Lecz gdy się obejrzał po raz ostatni, dostrzegł na tlgj łuny wysokie maszty i żagle jakiegoś okrętu. Przyjrawszy im się lepiej, stwierdził bez żadnych wątpliwości, że nie jest to okręt hiszpański. Wydał rozkaz, by kanonierzy czuwali przy działach z tlejącymi lontami, lecz zabronił im strzelać, | póki sam nie da sygnału do rozpoczęcia ognia. Nie wiedział jeszcze, czy jest ścigany, i postanowił przekonać się o tym'1 w odpowiedniej chwili. Nie myślał ryzykować. Musiał dotrzeć] do Madery, aby ostrzec Złotą Flotę o tym, co się stało w Ka-1 dyksie, a przedwczesna salwa mogła mu ściągnąć na kark pół tuzina Anglików z Puerto de Santa Maria. Wcale sobie

Qao nie życzył. Miał na pokładzie zaledwie trzecią część załogi; tylu marynarzy, ilu było koniecznie trzeba do wykonania prostego manewru, i wystarczającą liczbę puszkarzy i obsługi dział z jednej burty. Pozostałe dwie zmiany przebywały na lądzie, wysłane po zaopatrzenie i żywność.

Mimo to ufał, że gdy oddali się dostatecznie, a płynący „a” nim okręt nie zmieni kursu, rozprawi się z nim w ciągu paru sekund. Potem Anglicy mogą go ścigać! Noc będzie ciemna.

Po upływie pół godziny karawela wyszła z zatoki, przebraszowała reje i położyła się na kurs południowo-zachodni. Żagle angielskiego okrętu majaczyły nadal za jej rufą, lecz zostawały coraz bardziej w tyle; były już tak odległe, że nie dosięgłyby ich nawet pociski z hufnic.

Tym lepiej — pomyślał dowódca. — Najdalej za godzinę stracę je z oczu.

Ale po godzinie Anglik zbliżył się nieco. Nie na tyle, aby znaleźć się w zasięgu ognia z ciężkich dział karaweli, lecz wystarczająco, by móc ją widzieć i obserwować jej ruchy.

Zatem był to niewątpliwie pościg. Pościg niezbyt groźny, bo nieprzyjaciel zachowywał się ostrożnie, z respektem, co wskazywało na jego słabość. Ale pościg bardzo niepożądany, gdyż — jeśli miałby trwać dłużej — zdradziłby angielskiemu kapitanowi cel, a w każdym razie kierunek, w jakim żeglowała karawela.

Jej dowódca śpieszył się. Uprzedzenie Złotej Floty było sprawą pilną. Pragnął zastać ją w Funchału na Maderze, od której dzieliło go ponad sześćset mil w linii prostej, to jest mniej więcej trzy lub cztery doby żeglugi. Gdyby jednak nie zdołał do rana odczepić się od Anglika, ten mógłby zawrócić i powiadomić swego admirała o poczynionych spostrzeżeniach. Nie ulegało wątpliwości, że tak szybko dostarczone informacje wraz z zeznaniami jeńców wziętych

w Kadyksie ułatwiłyby flocie angielskiej napaść na konwój i to w przeważającej sile.;

Należało zatem albo wyprowadzić w pole upartego kapłana, kierując się wprost na zachód, ku Azorom, albo zważyć na bić go bliżej i zniszczyć ogniem działowym.

Dowódca karaweli spróbował najpierw tego drugiego sposobu. Kazał nieznacznie skrócić żagle, w nadziei, że Anglik nie spostrzeże się na czas. Lecz on miał się na baczności i zrobił to samo. Prędkość obu okrętów zmniejszyła się z dziewięciu do siedmiu, potem nawet do pięciu węzłów, ale odległość między nimi pozostała prawie nie zmieniona. O północy Hiszpan miał tego dość. Jego ludziom należało się wypoczynek, on zaś musiał trzymać całą tak bardzo uszczuploną załogę w nieustannym pogotowiu. Poza tym] tracił drogi czas,- Tracił go na próżno, a tamtemu wcale się nie śpieszyło: miał go widocznie pod dostatkiem, podobnie jak miał dość ludzi, aby ich zmieniać przy pracy. Karawela znów przebrasowała reje i wzięła kurs na Azorj ry.; Miała teraz wiatr wprost z tyłu, a jej dowódca spodziewał się, że angielski okręt nie dorówna mu prędkością w tych warunkach.-

Zawiódł się. O świcie miał go o niecałe półtorej mili;} za rufą. Pocieszał się, że przynajmniej zwoździ go co do właściwego kierunku i odciąga coraz dalej od Kadyksu, a sam) niewiele nakłada drogi. Ale była to nikła pociecha, zwłaszcza że wiatr zmienił się na północny, a zatem o wiele pomyślniej- I szły dla Anglika w drodze powrotnej. Tylko że on jeszcze I ani myślał wracać.-:

Promienie wschodzącego słońca oślepiły Hiszpanów; Przez dłuższy czas nie można było dojrzeć angielskiego okrętu, który manewrował w ten sposób, aby jak najdłużej korzystać z powodzi blasku. Dopiero gdy tarcza słoneczna podniosła się wyżej nad horyzont, ukazał się znowu. Zbliżył się-znacznie, a na szczytach jego masztów łopotały flagi Hisz-

pański sternik, obdarzony szczególnie dobrym wzrokiem, stwierdził ze zdumieniem, że były to flagi francuskie,

— Anglik czy Francuz to jeden diabeł — odrzekł jego dowódca,

Ale ten „diabeł” oprócz barw francuskich niósł na grotmaszcie swoją własną banderę, która także w końcu została dostrzeżona i rozpoznana, Była to czarna bandera ze złotą kuną.

Tymczasem w Kadyksie, zdobytym ostatecznie wraz z sąsiednimi miasteczkami, portami i osadami po czternastogodzinnej bitwie, armia i flota królowej Elżbiety święciła swój triumf. Zaszczyt wygranej na wodach zatoki przypadł Raleighowi, lecz Essex zwyciężył na lądzie. On też wydawał teraz rozkazy i on żelazną ręką ukrócił wybryki swoich żołnierzy w pokonanym mieście. Prawdziwie po rycersku oszczędził kościoły i duchowieństwo, a nawet kazał przewieźć na ląd stały trzy tysiące mniszek, które schroniły się na wyspie Leon. Podziwiali go za to przyjaciele i wrogowie; jedynie w oczach Elżbiety jego Czyny początkowo nie znalazły uznania;

W końcu zresztą Kadyks został splądrowany, doszczętnie ograbiony i spalony. Trzeba jednak przyznać, że hrabia opierał się tym barbarzyńskim poczynaniom, jak długo mógł, a trwało to prawie dwa tygodnie.

Przez ten czas na radzie wojennej toczyły się zawzięte spory i dyskusje. Essex chciał umocnić fortecę i miasto, aby pozostać w nim aż do dalszych decyzji królowej. Gdy ten projekt upadł, zaproponował wyprawę w głąb kraju, a przede wszystkim marsz na Sewillę. Ale i na to nie uzyskał zgody Howarda i Raleigha. Aby tego ostatniego przeciągnąć na swoją stronę, poddał w końcu myśl o zagarnięciu na morzu po: zostalej części Złotej Floty.

Raleigh wahał się; Howard wręcz odmówił. Ostatecznie postanowiono wracać do Anglii, zadowolając się zdobyczą w klejnotach, broni i cennych towarach oraz okupem ściągniętym z miasta. Essex był zawiedziony: wpraw, dzie Hiszpania otrzymała bolesny cios, ale jej potęga bynajmniej nie została złamana.

Niejaką pociechą dla hrabiego stało się zagrabienie w drodze powrotnej wspaniałej biblioteki biskupa Grzegorza Osoriusa w portugalskim mieście Faro, w prowincji Algarve. Lecz i ten pomyślny wypad na ląd, uwięziony znaczną zdobyczą, nie zachęcił admirałów do akcji na wiek-szą skalę. Flota i armia wylądowały w Anglii

Tu hrabia Essex stał się bożyszczem tłumów. Jego szczęśliwa taktyka (która po prawdzie była niemal wyłączną zasługą Raleigha), niewątpliwa odwaga i rycerskość urastały do rozmiarów romantycznej legendy. Na ulicach Londynu witały go entuzjastyczne owacje, układano na jego cześć madrygały i śpiewano o nim rycerskie ballady. Tylko królowa przyjęła go wymówkami, ponieważ przede wszystkim zrobiła bilans zysków i strat pieniężnych tej wyprawy. Bilans, który doprowadził ją do wybuchu wściekłości;

Wyekwipowanie okrętów, uzbrojenie wojsk i zaliczki na żołd pochłonęły pięćdziesiąt tysięcy funtów. Natomiast udział skarbu w zdobyczy wyniósł niespełna trzynaście tysięcy. Przy tym lord Howard domagał się od niej jeszcze dwóch tysięcy funtów *na zapłacenie* żołdu marynarzy, a Essex żądał reszty wynagrodzenia dla żołnierzy.

Oświadczyła hrabiemu, że nie da ani pensa. Od początku przewidywała, że wszyscy prócz niej zbiją majątek na tym przedsięwzięciu. Gdzież się podziały miliony, do których straty przyznawali się Hiszpanie? ■— pytała. Skąd brały się klejnoty i cenne towary, którymi zarzucony został Londyn? Kto ją ograbił ze sznurów pereł, z pierścieni, złotych łańcuchów, maneli i diamentowych *guzów*, którymi teraz handlują *zlot'*

nie? Czyje mieszki pęczniały od pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży skórzanych worów rtęci, pak cukru, beczek wina, bel adamaszku i złotogłowiu?

Oskarżała Raleigha, podejrzewała Howarda i Essexą, kapitanom okrętów i dowódcom oddziałów zarzucała wręcz kradzież, a swym urzędnikom korupcję. W dodatku doszły ją pogłoski o ucieczce kilku okrętów korsarskich do Francji pod opiekę Henryka IV. Żądała ich wydania wraz z łupami, które z pewnością były ogromne. Lecz Henryk odmówił; zapewne otrzymał swoją część, a korsarze byli mu potrzebni.

Essex zachował nadzwyczajny umiar i spokój. Bronił swoich żołnierzy, mając za sobą zarówno wiejską gentry, jak mieszczaństwo i duchowieństwo. Lecz ta jego popularność drażniła Elżbietę. Królowa nie zgodziła się na odprawienie w całym kraju dziękczynnych nabożeństw za zwycięstwo, ograniczając takie uroczystości tylko do kościołów w Londynie. Po pierwsze miała żal do Pana Boga za to, że pozwolił Hiszpanom spalić i zatopić galeony ze srebrem i złotem, po wtóre czuła się urażona, gdy podczas kazania w katedrze Sw. Pawła zanadto wychwalano Essexą, porównując go do Aleksandra Macedońskiego i Hektora.

Najbardziej chyba dotknęły hrabiego jej uszczypliwe uwagi i drwiny z jego planów strategicznych odrzuconych przez Howarda. Tu jednak los dał mu pełne zadośćuczynienie: wkrótce nadeszła do Londynu wiadomość, że Złota Flota złożona z trzydziestu sześciu statków, których ładunek przedstawiał okrągłą sumę dwudziestu milionów pistoli, wpłynęła do portu w Lizbonie. Wydawało się rzeczą pewną, że gdyby Howard i Raleigh posłuchali rad Essexą, ten skarb wpadłby w ich ręce.

10

Gdy Marten w blasku płonących galeon hiszpańskich dostrzegł wymykający się z portu okręt, który na pierwszy rzut oka rozpoznał jako „Santa Cruz”, doznał wrażenia, że serce rozwała mu żebra. „Zephyr”; w owej chwili obracał się z wolna dookoła kotwicy rzuconej z dzioba, a jego żagle łopotały głośno wskutek nagłego poluzowania wszystkich szotów; W tych warunkach, skomplikowanych dodatkowo, przez natłok angielskich fregat, które na gwałt rzucały kotwice, aby nie dostać się w zasięg pożaru, manewr mający na celu pościg za Ramirezem był szczególnie trudny. Marten obawiał się, że nie zdąży; że „Santa Cruz” bądź zniknie w ciemnościach, bądź zostanie zauważony z okrętów wojennych Raleigha stojących na redzie. W pierwszym przypadku nie wiedziałby, gdzie go szukać; w drugim nie mógł liczyć na spotkanie z nim sam na sam.

Nie odpowiadając na pytania Marii Franceski, która nie miała odwagi, co go tak poruszyło, zawołał Stefana Grabińskiego, w paru słowach powiedział mu, o co chodzi, i posłał go na dziób z całą wachtą załogi. Po krótkiej chwili, podczas gdy dwie wachty brasowały reje i ciągnęły luźne szoty, usłyszał jego zdecydowane, szybkie komendy i skrzyp obracającego się kabestanów. Jednocześnie poczuł, że „Zephyr” podciąga się na łańcuchu kotwicznym i już słucha steru. Przeleciało mu przez głowę, że jeśli tam na dziobie sprawa się nieś dość szybko, okręt obróci się znów o sto osiemdziesiąt stopni, lecz teraz zderzy się niewątpliwie z sąsiednią brygantyną, która jeszcze ciągle zbliżała się wlokąc swoją kotwicę po dnie.³ Nie mógł temu zapobiec. Wszystko zależało od przytomności i umysłu Stefana i od sprawności załogi.

Żagle „Zephyra” już chwyciły podmuch bryzy, gdy Gra-
biński zawołał:

— Kotwica w pionie! Wstała!

A zaraz potem:

— Czysta kotwica!

— Wybierajcie ją prędzej! — huknął Marten;

Ale oni nie potrzebowali zachęty.- Kabestan obracał się
jeszcze przez parę sekund, aż zatrzymał się nagle;

— Kotwica pod kluzą! — rozległ się głos Stefana;

„Zephyr” nabierał pędu, minął o kilkanaście jardów bry-
gantynę, z której wygrażano pięściami i miotano przekleństwa w
obawie o całość rej, a potem wykręcił za karawelą pomykającą w
cieniu blisko brzegu.;

Marten widział jaśniejszą plamę jej żagli i to mu wystarczało
; nie chciał na razie zbliżyć się za blisko, po pierwsze ■— aby nie
narazić „Zephyra” na pociski, gdyby Ramirezowi przyszła
nierozsądna myśl stoczenia walki w zatoce, po wtóre — nie chcąc
go przedwcześnie spłoszyć;

Dopiero teraz zwrócił się do seniority, która mimo jego próśb
nie chciała pozostać w kajucie i od początku bitwy trwała na
pokładzie.- Podziwiał w duchu jej odwagę i spokój. Z kamienną,
zastygłą twarzą patrzyła na zagładę Drugiej Armady, na płonące
okręty i walące się budynki, na krwawe starcia lądujących wojsk z
oddziałami hiszpańskiej piechoty; Huk dział, wycie przelatujących
pocisków, świst kul z muszkietów, wrzaski i jęki walczących i
rannych nie przerażały jej widocznie; Od czasu do czasu
marszczyła brwi, chwytając delikatnymi nozdrzami ostry zapach
dymu i prochu; Gdy nadeszła wiadomość o schronieniu się galeon
ze srebrem i złotem w wewnętrznym porcie, a zaraz potem rozkaz
ich otoczenia i wyholowania na zatokę, oczy jej zabłysły i na
policzki wypłynął rumieniec. Ujrzawszy* że Hiszpanie uprzedzili
wroga i bez wahania podpalili ów skarb, tupnęła nogą;

—Por Dios, non son hombres, son demonios! * — ^{zA}, wołała z podziwem.

—Ba, to jest wszystko, na co ich stać — powiedział Marten.

— Mają dość złota, aby je topić, i dość niewolników w Nowej Kastylii, aby je wydzierać spod ziemi.

Spojrzała na niego pogardliwie.

— Wy potraficie je tylko rabować — odparła.

Ale jej pogardliwy ton zmienił się w chwili, gdy ujrzała manewrującą karawelę. Przeczucie mówiło jej więcej niż wygląd okrętu, a gwałtowne wzruszenie, jakie odbiło się na twarzy Martena, upewniło ją w domysłach. Chciała jednak z jego własnych ust usłyszeć potwierdzenie.

— Tak — powiedział wreszcie, gdy „Zephyr” wyostał się na wody zatoki w ślad za zbiegiem. — To jest „Santa Cruz”. Dowodzi nim Blasco de Ramirez. Ucieka. Ale nie zdoła mi się wymknąć.

Maria Francesca spiorunowała go wzrokiem.

—Gdyby wiedział, że to ty go ścigasz, z pewnością by zawrócił.

—I ja tak myślę — odrzekł z uśmiechem. — Dlatego dowie się o tym dopiero we właściwej chwili. Chciałbym, żeby dowiedział się także o twojej obecności na „Zephyrze”! żeby cię zobaczył. Najlepiej w tej szkarłatnej sukni, którą masz na sobie — dodał obejmując ją pałającym spojrzeniem.

—Jesteś bardzo piękna, Marie — mówił dalej. — Ta suknia wydaje mi się nader odpowiednia na taką okazję: ma kolor krwi, a przy tym widać ją z daleka. Byłoby djjH brze, gdybyś zechciała włożyć ją także jutro. Blasco z pew[^] nością dostrzegłby cię na pokładzie...

—Liczysz na to, że nie będzie strzelał do „Zephyra”? -M spytała.

— Liczę na to, że honor hidalga nie pozwoli mu uciec? — odrzekł. — Nie przywiązuję cię do masztu, aby go powstrzymać od ataku.

— To bardzo szlachetne z twojej strony — powiedziała z ironią. — Włożę jutro tę suknię.

Zanim oba okręty minęły Ilha de Leon, Marten miał już gotowy plan działania. Domyślił się łatwo, że dwanaście galeon pływających teraz w Kadyksie nie mogło stanowić całego transportu Złotej Floty. Zatem reszta — zapewne znakomita większość konwoju — musiała bądź zawinąć do San Lucar. de Barraneda czy do Lizbony, bądź też znajdowała się w drodze albo oczekiwała na eskortę w porcie Terceiry na Azorach. Blasco de Ramirez z pewnością wiedział, gdzie szukać tego transportu. Ratował nie tylko własną skórę; śpieszył zawiadomić komodora Złotej Floty i władze portowe o tym, co zaszło.

Marten przewidywał, że jeśli „Santa Cruz” pożegluje w kierunku północnym lub północno-zachodnim, trzeba będzie zaatakować go zaraz, co byłoby wielkim ryzykiem, ale bądź co bądź dawało pewne szanse powodzenia. Jeśli natomiast skieruje się ku zachodowi, taki pośpiech nie będzie konieczny, a szanse wygranej znacznie wzrosną.

Oczekiwał w napięciu decyzji swego wroga i gdy kara-wela przebrasowała reje, aby wziąć kurs południowo-zachodni, odetchnął z ulgą.

— Płyną ku Azorom — powiedział do Stefana. — Nie mogą nam uciec. Mamy dość czasu, aby ich zmęczyć. Przy puszczam, że są niezbyt dobrze przygotowani do tej podróży. Będziemy się starali urozmaicić ją i przedłużyć w miarę możliwości. Tymczasem mógłbyś się przespać; od rana będziesz miał dużo roboty.

Ale Stefan oświadczył, że nie będzie spał. Rozpoczęta

gra pochłaniała go całkowicie; pragnął śledzić jej przebieg od początku do końca.

— W takim razie ja sam trochę wypocznę — rzekł Marten. — Wydaje mi się, że w rozprawie, która nas czeka, do-i stateczna ilość snu może odegrać równie ważną rolę, jak dostateczny zapas kul i prochu,

Położył rękę na ramieniu Stefana.

'—■ Ufam ci — powiedział poważnie. — Ufam ci tak da* lece, że będę spał spokojnie. Wiesz, jaka jest donośność hiszpańskich hufnic?

~ Oczywiście — odrzekł Grabiński poruszony jego słowami, — Ich pociski niosą celnie na trzy czwarte mili,

— Będziesz się więc trzymał o milę za rufą tej karaj-wel, Nie bliżej i nie dalej. Gdyby Ramirez zmienił kurs nał północny, gdyby się położył w dryf albo zawrócił, gdybyś) ujrzał jakikolwiek inny okręt w pobliżu, słowem, gdyby za-j szła jakaś zasadnicza zmiana obecnego położenia, natychmiast mnie obudzisz. Mogę na ciebie liczyć, prawda?

— Z całą pewnością, kapitanie — powiedział Stefan.-

Poczuł silny uścisk dłoni na swym ramieniu i ciepłe wzruszenie, które jak fala podniosło się od serca ku gardłu,¹ Marten po raz pierwszy powierzał mu w ten sposób „Ze-phyra" i własny los.

Gdy się oddalił, Grabiński ukradkiem przetarł oczy *zsa* szłą wilgocią łez, a potem, nabrawszy w płuca haust powie-j trza, roześmiał się dając upust wzbierającej radości.

Zaraz zresztą opanował się znowu. Pomyślał, że ciążył na nim odpowiedzialność, której ani przez chwilę nie wolno mu zlekceważyć. Noc była ciemna, a trafne określenie od-[ległości od „Santa Cruz" i obserwacja jego manewrów wyj magwały wielkiego skupienia uwagi.

— Sterujcie dalej w ślad za karawelą — powiedział do bosmana, który stał za nim. — Pójdę na dziób.

— W ślad za karawelą — powtórzył przepisowo mary narz;

Grabiński zszedł na szkafut, minął grotmaszt, przy którym pełnił służbę Klops, potem fokmaszt i drzemiącego pod nim Slovena, wreszcie wspiął się po schodni na przedni pokład i wyżej, na kasztel, gdzie zastał Tessariego.;

— Co nowego? — spytał poufale Cyrulik;

Stefan powiedział mu, że Marten jest w swojej kajucie.

—Zostawił ci wachtę? — domyślił się tamten.

—Tak — odrzekł Grabiński;

—Bądź spokojny. Wszyscy ci pomożemy, jeżeli będzie trzeba. Co mam robić?

Stefana ujęły te słowa, a zwłaszcza przychylny ton, jakim zostały wypowiedziane,;

—Dziękuję ci, Tessari — powiedział; ~j Jestem tu najmłodszy Z WaS;;a

—To nie ma. nic do rzeczy — mruknął Cyrulik; — Umiecie więcej ode mnie.;

—Byliśmy dotąd na ty — rzekł Stefan; — Nawet gdybym był sternikiem „Zephyra”, chciałbym, żeby tak zostało; A przecież nim nie jestem;

—Myślę, że jesteś — mruknął Cyrulik; — Tak być powinno. Marten miał czternaście lat, gdy został porucznikiem u ojca, a osiemnaście, kiedy objął po nim dowództwo. Tam jest jego najgorszy wróg — powiedział po chwili, wskazując ruchem głowy żagle „Santa Cruz”. — To będzie śmiertelna rozprawa. Mam nadzieję, że kapitan wyjdzie z niej cało.

Grabiński spojrział na niego zaskoczony; Dotychczas nie przeszło mu przez myśl, aby mogło stać się inaczej; Tessari zauważył wrażenie, jakie wywarły jego słowa;

— On stawia wszystko na jedną kartę — wyjaśnił. — Szczęście mu sprzyja, ale nie liczy się z tym, że ma do czynienia z szachrajem. Gdyby ta gra była uczciwa... Ale chodzi

także o senioritę i — niech to diabli! — Ramirezowi trzeba patrzeć na ręce, bo inaczej...

Urwał nie dokończywszy swej myśli. Spojrzał znów w stronę karaweli, która zdawała się zwalniać. Stefan też to dostrzegł.

— Mamy się trzymać dokładnie o milę od nich — powiedział. — Wracam na rufę.

Po drodze wydał krótkie rozkazy Percy'emu i Klopsowi. I Górne żagle zostały trochę skrócone. Wkrótce trzeba było znów nieco wybrać ich giejtawy i gordingi, a następnie skrócić kilka niższych. Log wykazał osiem węzłów. Potem pięć.

—Włoką się jak muchy w smole — powiedział ktoś za plecami Grabińskiego.

—Pewnie chcieliby uciąć sobie z nami małą pogawędkę — odrzekł inny.

—Pogadamy za dnia — roześmiał się pierwszy. — Będzie to głośna rozmowa.

—Ja myślę! Pocięcha powie im kazanie.

—Przez lufy naszych falkonetów, żeby lepiej zrozumieli.

—E, wytłumaczymy im na migi, o co nam chodzi -*1 odezwał się jeszcze jeden. — Ja tam wolę taką rozmowę najkrótką metę, u nich na pokładzie.

Karawela zdawała się omdlewać pomimo świeżego wia-| tru wiejącego niemal wprost z tyłu. Trwało to już ze dwie godziny i Stefan zaczął podejrzewać, że w postępowaniu Ramirez kryje się jakiś podstęp. O północy miał już obudzić Martena, gdy „Santa Cruz” przebrasowała reje[^]i kierując się wprost na zachód zwiększyła prędkość. „Zephyr” uczynił to samo i ów niespieszny pościg trwał dalej aż do świtu.;

Gdy Marten rzeński i wypoczęty wyszedł na pokład i kazał wciągnąć na maszty flagi francuskie zamiast angielskich,

dodając do nich także swoją własną banderę, Stefan Grabiński zapytał go o znaczenie tej zmiany[^]

— Przechodzimy na służbę Henryka de Bourbon — usłyszał w odpowiedzi. — Będziemy teraz tylko sprzymierzeńcami Anglii, ponieważ bezpośrednia opieka Elżbiety zbyt drogo nas kosztuje. Król Francji nie żąda aż tak wiele od swoich korsarzy.

Stefanowi wystarczyło to na razie. Nie pytał o szczegóły; pomyślał, że skoro Marten powziął taką decyzję* musi ona być słuszna. Wszystko, co słyszał o Bearnńczyku, skłaniało jego sympatię ku temu bohaterskiemu wodzowi* który własnym męstwem zdobył królestwo i koronę.- W tej chwili zresztą zaprzętały go wypadki bieżące — to co zdawało mu się przygodą stokroć ciekawszą i wspanialszą niż zmiana patentu korsarskiego i bandery.-

„Santa Cruz” zawracał! Jego spiętrzone kasztele* bezkowny kadłub i grube maszty pochylały się już w zakręcie, a reje obracały się na beidewind;

Marten z ironicznym uśmiechem przyglądał się temu niezgrabnemu manewrowi. Dopiero gdy karawela dryfując z wiatrem zwróciła się wreszcie dziobem do *,Zephyra"* zarządził zwrot;

— Pokażcie im, jak się to powinno robić! — zawołał do swoich bosmanów stanawszy za kołem sterowym i ujmując obu dłońmi jego uchwyty.-

Grabiński chciał pobiec na przedni pokład* ale Jan go powstrzymał.

— Nie trzeba. Przyjrzyj się stąd* co potrafia;

Istotnie, wyglądało to na popis sprawności; Koło sterowe w rękach Martena zakreśliło się w prawo* stanęło* pobiegło w lewo i znów stanęło w miejscu; Zgodnie z tymi impulsami „Zephyr” pochylony na lewą burtę wzbil się ostrym łukiem pod wiatr, jego reje i żagle obróciły się jak rozpostarte skrzydła ptaka, który Jednym ruchem barków zmienia kie-

runek lotu, maszty skłoniły się w prawo, a smukły kadłub przeciął własny pianisty ślad zamykając pętlę. Cały zwr[^] na fordewind został ukończony, zanim jeszcze na „Saula Cruz” zamocowano liny.

Marten błysnął zębami w szerokim uśmiechu. Oddał ster dyżurnemu bosmanowi i zwrócił się do Stefana.

—Żaden hiszpański okręt nie zdobędzie się na taki manewr — powiedział z przechwałką. — I bardzo niewiele innych — dodał.

—To prawda — przyznał chłopiec z zapalem. — Tylko mewy mogą dorównać „Zephyrowi”. Wam nikt nie dorówna!

—Przesadzasz — odrzekł Jan bez wielkiego przekonania. — Tessari potrafiłby zrobić to samo, a ty będziesz sterował równie dobrze, oswoiwszy się ze sprawnością załogi.

W tej chwili z przedniego kasztelu „Santa Cruz” błysnął krótki płomień w obłoczku dymu, rozległ się huk działa i wreszcie plusk pocisku padającego w morze o kilkadziesiąt jardów za rufą „Zephyra”;

Prawie jednocześnie w drzwiach kasztelu ukazała się Maria Francesca. Miała na sobie ową szkarłatną suknię z aksamitu przybraną wysoką kryzą z brabanckich koronek. Wyglądała w niej jak piękny egzotyczny kwiat. Marten objął ją zachwyconym spojrzeniem; Grabiński spuścił oczy, jakby, porażony wspaniałością tego zjawiska. Ona zaś, świadomi wrażenia, jakie wywiera, stała przez chwilę naprzeciw nich, błędząc wzrokiem po widnokregu, jakby w poszukiwaniu: karaweli.

—Słyszałam huk strzału — powiedziała, wreszcie. Co się tu dzieje?

—Komandor de Ramirez traci równowagę — powiedział Stefan.

—I amunicję — dodał Marten. — To dlatego, że się nie wyspać

Wszyscy troje patrzyli teraz na karawelę, która zostawała coraz dalej na prawo w tyle. Marten widocznie powziął jakąś nową myśl, bo znów się uśmiechnął.

— Nie należy go zniechęcać — powiedział, — Spróbuj my pożeglować tak, aby nie tracił nadziei;

Kazał wykręcić bardziej na prawo.

— Tak trzymać! — rzucił sterującemu bosmanowi, gdy tylko „Zephyr” zaczął zataczać obszerny łuk*

Potem podszedł do Marii.

—Dziękuję — powiedział cicho; Cofnęła

się o krok i zmarszczyła brwi;

—Czy myślisz, że włożyłam tę suknię dla ciebie?

— Ależ nie! — zaprzeczył żywo. — Chciałem, żeby on cię w niej zobaczył z daleka. Żeby wiedział, iż może cię odzyskać, jeśli mu starczy męstwa i wytrwałości;

Spojrzała mu wprost w oczy.;

—Wątpisz w to?

—Quien sabe?...* —• odrzekł z wahaniem. — Gotów jestem uwierzyć... Zresztą nie będzie miał żadnego wyboru —• dodał.

Odwróciła się gwałtownie; nowy huk wstrząsnął powietrzem; ale i tym razem pocisk nie doniósł.

—Widzisz! — powiedziała tryumfująco.

—Widzę i słyszę. I cieszę się, choć wolałbym mieć za przeciwnika lepszego marynarza. Takiego, który zna donośność swoich dział i umie trafniej oceniać odległość celu; Patrz, Marie: teraz widać całą burtę „Santa Cruz”. Wyteższy wzrok, można dojrzeć paszcze armat na obu pokładach artyleryjskich. Jest ich dwadzieścia cztery, nie licząc ośmiu w kasztelach. Prócz tego na głównym pokładzie powinien mieć sześć lub osiem lekkich dział. Są to zapewne oktawy albo ćwierćkartauny. Wreszcie ma około dwudziestu

hakownic i co najmniej sześćdziesiąt muszkietów. Jest przeszło dwukrotnie większy od „Zephyra”, a jego załoga...

— Wiem o tym — przerwała. — Belmont udzielił mi tych informacji, aby mnie przekonać o twojej nieustraszości. Uwierzyłam w nią. Jesteś jak andaluzyjski byk, który ma tylko parę rogów i walczy z całą zgrają banderilleros i pikadorów. Lecz byk najczęściej ulega matadorowi;

— A twój Blasco ma być tym matadorem?

— Quien sabe?... Słyszałam, że już raz zniweczył twoje zamiary i marzenia. Może dokonać tego powtórnie.

Te słowa wypowiedziane niezwykle spokojnie, tonem prawie obojętnym, wzburzyły Martena. Gniew zagotował się w nim jak lawa, omal nie wybuchnął potokiem przekleństw. Przez głowę przeleciała mu szaleńcza myśl, by zwrócić „Zephyra” przeciw karaweli i roznieść ją w drzazgi, choćby mu przyszło pójść na dno z nią razem. Ale opanował się.:

— Zobaczmy — powiedział zaciskając zęby.

Porównanie walki „Santa Cruz” z „Zephyrem” czy też de Ramireza z Martenem do corridy mogło się wydawać słuszne i właściwe, lecz z pewnością nie Marten grał tu rolę byka. Przeciwnie, jego taktyka zwodzenia wroga, drażnienia go, taktyka zuchwałych manewrów, które na pozór oddawały wszystkie szanse w ręce de Ramireza i skłaniały go do ataków chybionych w ostatniej sekundzie, czyniła wręcz żenię, że to Marten jest matadorem, który igra z rozjuszonym bykiem.

Działa „Santa Cruz” grzmiały raz po raz pojedynczo lub po kilka, ale „Zephyr” wymykał się pociskom. Kluczył o niecałą milę przed dziobem karaweli, zataczał obszerne łuki pozwalając jej zbliżyć się po cięciwie, ale gdy miała paść salwa, gdy hiszpańscy kanonierzy przykładali lonty do zapalów, wykręcał w lewo lub w prawo i oddalał się nietknięty.;

De Ramirez był wściekły. Jego okręt nie nadążał za lawirującym wrogiem, a każda zmiana ciągu wymagała największego wysiłku zmęczonej, zbyt szczupłej załogi. Puszkarze celowali źle, ładowanie dział zużywało resztę sił kano-nierów, brakło ludzi do przenoszenia kul i prochu. Musiał dać im bodaj krótki wypoczynek.

Wiedział, że seniorita de Vizella jest świadkiem jego porażki, i gorycz przepelniała mu duszę. Chwilami pragnął, aby Maria Francesca raczej zginęła od pierwszego celnego pocisku, niż nadal przyglądała się tej upokarzającej rozgrywce^

Po trzygodzinnej daremnej strzelaninie porzucił swego nieuchwytnego przeciwnika i pożegłował znów na zachód, w nadziei, że przecież Marten zawróci do Kadyksu. Ale omylił się. „Zephyr” płynął za nim jak cień, a ponieważ był szybszy i zwrotniejszy, mógł w każdej chwili zbliżyć się i zaatakować. Ramirez był zmuszony do nieustannego pogotowia: jego załoga tak czy owak musiała czuwać przy działach z tlejącymi lontami, których dym wypełniał międzypokłady i zatruchiwał powietrze.;

On sam ledwie trzymał się na nogach, lecz podniecała go nienawiść, wściekłość, upokorzenie. Ilekroć spojrzął poza siebie na wysoką piramidę żagli „Zephyra”, mimo woli szukał wzrokiem czerwonej plamki na pokładzie i prawie za każdym razem ją odnajdywał. Seniorita de Vizella była tam, między tymi nieokrzesanymi leperos, narażona na ich grubiaństwa i sprośne żarty. Zbrodniarz, który dowodził tą bandą, chciał widocznie osłonić swój okręt obecnością Marii: lecz ona zrozumiała chyba, że hiszpański komandor nie zawaha się przed zniszczeniem wroga nawet w takich okolicznościach. Dowiódł tego, a przynajmniej usiłował dowieść, ostrzeliwując „Zephyra” przez trzy godziny.

Później przyszło mu na myśl, że seniorita mogła przypisać niecelność strzałów jego trosce i obawie o jej życie i zdrowie. Sam nie wiedział, która z tych ewentualności bar-

dziej by mu odpowiadała; która korzystniej odmalowałaby go w jej oczach, przynosząc zarazem zaszczyt honorowi hidalga;

Kolejny manewr „Zephyra” przerwał te rozważania i wątpliwości. Okręt korsarski zdawał się gotować do ataku: z rozpostartymi żaglami leciał za karawelą, jakby Marten zamierzał wyprzedzić ją z lewej burty*

To go zgubi — pomyślał de Ramirez.;

Ściągnął całą obsługę dział na lewą stronę i kazał mienj rzyć w maszty na wysokości dolnych marsrei, aby go unieruchomić jedną salwą. Ale „Zephyr” o pół mili za rufą »Santa Cruz” wykrcił w prawo, a gdy hiszpańscy puszkaj rze rzucili się rychtować działa z prawej burty, błyskawicznie] skrócił górne żagle, opuścił kliwry i sztaksle, stracił pęd i znów! został w tyle w sam czas, aby uniknąć dwunastofuntowych] pocisków, które zziązani artylerzyści w pośpiechu zdążyli odpalić z tylnego kasztelu;

Podobne wybiegi powtarzały się raz po raz 'przez cały] dzień aż do wieczora. Od trzydziestu sześciu godzin hisz- j pańska załoga nie zaznała ani chwili spokoju, a noc nie przy-1 niosła żadnej zmiany w postępowaniu upartego nieprzyja-j cielą. Ludzie Ramireza upadali ze znużenia, zasypiali przy»i linach i przy działach, a podrywani rozkazami, którym to-1 warzyszyły kopniaki, zaczęli już szemrać i buntować si<j;|

Co prawda i na „Zephyrze” nie obeszło się bez szemra-J nia. Wywołał je Percy Burnes, zwany Slovenem, który jako^j bosman przewodził kilku młokosom świeżo zwerbowanym w jego rodzinnym mieście Hastings. Byli to ludzie dostateez- j nie obeznani z morskim rzemiosłem, lecz należeli »do kategorii marynarzy nie przywiązujących się do okrętu. W każdym porcie można ich było znaleźć pod dostatkiem, każdy szyper w razie potrzeby mógł uzupełnić nimi swą załogę, lecz nie miał żadnej pewności, czy nie zażądają wypłaty i nie opuszczą go w jakiejś zakazanej dziurze, jeśli właśnie wtedy

sprzykrzy im się pracować. Tacy najłatwiej się buntują, nigdy nie są zadowoleni z dowództwa i nigdy nie odznaczają się ani lojalnością, ani koleżeństwem, ani szczególną odwagą w niebezpieczeństwie. Ci czterej w sam raz pasowali do Slo-vena, jakkolwiek wytrwał na „Zephyrze” przez lat kilkanaście.

Otóż Slovenowi nie podobała się ta zabawa w kotka i myszkę; spodziewał się, że w Kadyksie nieźle się obłowi i użyje do woli wszelkich uciech doczesnych. Tymczasem Kadyks i jego skarby — domy bogaczy, kościoły, rezydencje biskupów, sklepy złotników, pulquerie i winiarnie, a także piękne sefiory i sefiory — wszystko to przeszło mu koło nosa i pozostało dla innych.

I dlaczego, proszę? Z jakiego ważnego powodu? Ponieważ kapitanowi zachciało się gonić po całym Atlantyku jaśnie pana de Ramireza, z którym kiedyś się poczubił. Gdyby chociaż ta stara beczka po śledziach — „Santa Cruz” — zawierała coś cennego! Ale gdzie tam! Jeśli się ją w końcu zdobędzie (diabli wiedzą za jaką cenę!), okaże się, że prócz paruset szczurów i kupy zapleśniałych sucharów nic w ładowniach nie ma. Szyper postawi na swoim: powiesi za nogi hiszpańskiego grand-bidalga albo mu wypruje flaki, lecz co otrzyma załoga?

— Za co urabiamy sobie ręce po łokcie? — pytał swoich kumpli z Hastings. — Za tych parę szylingów na tydzień?! Za co nadstawiamy głowy? Żeby Marten mógł się popisać przed swoją lalą, jaki to on zuch? Tfu, do diabła z taką służbą!

Słuchali go z rozdziawionymi gębami, a nawet potakiwali, póki za plecami Perey'ego nie ukazał się Stefan Grabiński. Na jego widok pospuszczali głowy, a ten i ów próbował zemknąć z kubryku na pokład, Ale Grabiński zastąpił im drogę. "V a Stać! — powiedział stanowczo

Na dźwięk jego głosu Percy odwrócił się gwałtowniej
—Paniez do nas w goście — zapytał ze złym spojrzeniem —
czy na przespiegi?

—Do ciebie, Burnes — odrzekł Stefan; — Powiedz no,
widziałeś ty kiedy gwiazdy w biały dzień?

Sloven nie był pewien, czy to kpiny, czy też Grabiński nie
słyszał jego przemowy i po prostu żartuje;

— Gwiazdy? — powtórzył; — W biały dzień?;

— Zaraz je zobaczysz;

Zaledwie usłyszał te słowa, już istotnie zobaczył pęk roz-
pryskujących się gwiazd. Jednocześnie poczuł dotkliwy ból w
szczęce, pokład wyskoczył mu spod nóg, a on sam pole-j ciał przez
całą szerokość kubryku i gruchnął o ścianę;

Przez chwilę stracił zdolność myślenia i kojarzenia zjawisk.
Huczało mu w głowie, a dokoła wirowały grodzie, półotwarte
drzwi, prycze i postaci ludzkie.- Dopiero po dłuższej chwili zdołał
je umiejscowić i zatrzymać; Spróbował wstać, co mu się udało po
kilku wysiłkach, ale nie mógł wyrzucić z gardła potoku
przekleństw; nie mógł poruszyć szczęką, która wyskoczyła ze
stawów. Zaryczał więc głośno, tyleż ze strachu, co z bólu i opadł
bezsilnie na najbliższą pryczę.

Grabiński domyślił się, co mu jest. Nie mógł sam temu!
zaradzić, ponieważ dłoń mu zdrętwiała od ciosu;

— Zawołaj głównego bosmana — powiedział do jeden
go z chłopaków. — Jest na pokładzie;

Gdy Pocięcha uporał się ze szczęką Slovena i został przezl
Stefana powiadomiony o zajściu, Percy odzyskał mowę.; Nie klął i
nie zlorzeczył: uderzył w ton płaczliwej skargi;

Oto, czego się doczekał po latach służby na tym okręcie! Za
co? — pytał, Cóż takiego uczynił, że go sponie^ wierano?

Stefanowi zrobiło się go żal;

— No, no, Percy — powiedział pojednawczo. — Nie rób

i siebie niewinnej ofiary. Nie miałem zamiaru tak mocno cię dzielić.

Pociecha z uznaniem skinął głową.

—To była czysta robota — rzekł uśmiechając się pod wąsem. — Ale nie ma potrzeby rozczulać się nad nim. Za buntowanie ludzi powinieneś wisieć — zwrócił się do Slovena.-

—Nikogo nie buntowałem — chlipnął Percy. — Mam świadków.; Powiedźcie sami! — zawołał spoglądając po swych krajanach. — Czy was namawiałem do buntu?

—Jeszcze nie zdążyłeś — powiedział Grabiński. — W sam czas udało mi się powstrzymać cię od tego. Ale jeżeli czujesz się pokrzywdzony, możemy przedstawić sprawę kapitanowi. Jak chcesz.

—Obejdzie się — mruknął Slovcn. — Przy okazji potrafię znaleźć sobie lepszą sprawiedliwość;

j— Jak chcesz — pbwtórzył Stefan.

11

Tej nocy Marlen nie pozwolił sobie na sen i wypoczynek. Chciał do ostatka zmęczyć Ramireza i jego ludzi, a ponieważ sam spał przez parę godzin po południu, czuł się na siłach czuwać choćby przez całą następną dobę.

Karawela płynęła zdecydowanie kursem południowo-zachodnim, a więc nie ku Azorom, jak początkowo przypuszczał, lecz zapewne ku Maderze. Zamierzał zaatakować karawelę dopiero wówczas, gdy znajdzie się w połowie drogi. Ale przypadek zrzucił inaczej, a wkrótce polem Marten mógł ocenić, ile temu przypadkowi zawdzięcza.-

Stało się to na krótko przed wschodem słońca i było tak zdumiewające, że w pierwszej chwili *ani na „Zephyrze”* ani na j,Santa Cruz*" nikt nie mógł odgadnąć przyczyny owego zdarzenia;

Sytuacja początkowa i przebieg dalszych wypadków] z punktu widzenia komandora Blasco de Ramireza były następujące: prawie cała obsługa dział znajdowała się od pewnego czasu na pokładach artyleryjskich przy lewej burcie, a to dlatego, że „Zephyr" po raz nie wiadomo który mija nawrota tak, jakby miał wyprzedzić karawelę z tej właśnie strony.- Ramirez, nauczony wielu poprzednimi doświadczeniami w tym względzie, nie spodziewał się bynajmniej, aby Marten rzeczywiście zdecydował się na przeprowadzenie tak¹ ryzykownego manewru do końca; przypuszczał, że za chwilę zmieni kurs i znów zostanie w tyle. Mimo to zapędził swych] kanonierów na stanowiska, obsadzając również dwie sześćcio-J funtowe oktawy w tylnym kasztelu.-

„Zephyr" zbliżał się bardzo powoli; upłynęło prawie pół! godziny, a jeszcze nie był w zasięgu oktav. Oczywiście nie rozpoczynano ognia czekając bądź na zmniejszenie się od-^ ległości, bądź na zmianę jego kursu, ale to oczekiwanie dla i Ramireza było prawdziwą udręką.

Wtem z dolnego pokładu artyleryjskiego huknęła ciężka i hufnica, a zaraz po niej rozległ się przeciągły grzmot salwy z całej lewej burty. Wskutek gwałtownego odrzutu jedenasta dział j,Santa Cruz" zatoczył się w prawo jak uderzony obuchem, a większość ludzi runęła na deski pokładu, zbita z nóg tym potężnym, niespodzianym wstrząsem.-

Ramirez upadł także, lecz zerwał się natychmiast. Spojrzał za rufę. „Zephyr” płynął jak przedtem, dobrze widoczny na tle już rozjaśnionego nieba; znajdował się o trzy czwarte mili za karawelą w lewo, jednak nie na tyle, aby można go wziąć na cel z hufnicy lub z falkonetu, których poziomy kąt ostrzału był niewielki. Zatem salwa nie była wymierzona do niego. Ale do kogo czy też do czego w takim razie? Morze dookoła było puste. Ani jednego żagla, ani śladu jakiegokolwiek innego okrętu, aż po horyzont.

Ramirez zaklął i pędem zbiegł na dół do swych artylerzystów. Na pierwszym pokładzie natknął się na ogłupiałego porucznika, który dowodził baterią falkonetów.;

— Do czego oddałeś salwę? — ryknął;

Oficer nie mógł wykrztusić słowa. Zęby mu dzwoniły, po śmiertelnie bladej twarzy spływały strużki potu; Ramirez miał ochotę strzelić mu w łeb, ale przyszło mu na myśl, że w ten sposób pozbawiłby się jedyne go człowieka zdolnego prowadzić ogień z całego pokładu;

— Nabić działa — rozkazał. — Ruszajcie się!

Sam pośpieszył niżej, do baterii hufnic. Tam spodziewał się znaleźć rozwiązanie zagadki; stamtąd padł pierwszy strzał;

Zdrada? — myślał po drodze. — Bunt? *Czy szaleństwo?* Wpadł do mrocznego korytarza, pełnego dymu, przekroczył wysoki próg i o kilka kroków dalej potknął się o jakiegoś człowieka leżącego u podstawy pierwszego działa. — Nie panując nad sobą kopnął go z całej siły, ale nie usłyszał nawet jęku. Ów człowiek, młody kanonier, nie żył; miał zmiażdżoną twarz i roztrzaskaną czaszkę. W kurczowo zaciśniętej dłoni trzymał jeszcze tlejący lont.

Dowódca baterii hufnic był niemal równie przerażony jak jego kolega z wyższego pokładu artyleryjskiego, ale przecież zdobył się na kilka słów odpowiedzi na gwałtowne, pełne hamowanej wściekłości pytania komandora.

Zaprzeczył jakoby spał; choć zapewne nie był całkiem

przytomny, gdy usłyszał huk pierwszego wystrzału. Nie wydał żadnego rozkazu, bo po prostu nie zdążył nawet krzyknąć. Kanonierzy sami przytknęli lonty do zapalów;

Dlaczego to zrobili? Wzruszył ramionami; Huk wyrwał ich ze snu; mogli przypuszczać, że podczas tej ich drzemki padł rozkaz odpalenia dział. Mogło im się tak wydawać, bo przecież od czterdziestu godzin trzymano ich w ostrym pogotowiu, z dymiącymi lontami w rękach;

Ramirez, pomimo nurtującej go pasji, uznał takie tłumaczenie faktów za prawdopodobne. Nie zmniejszyło to zresztą furii, z jaką teraz lżył i płażował kanonierów^ Zamierzał się także na ich dowódcę, ale ten zapewne doszedł tymczasem do wniosku, że nie ma już nic do stracenia* i odskoczywszy w tył dobył szpady;

—Każę cię powiesić! — wrzasnął komandor;

—Możecie kazać mnie rozstrzelać, wasza wysokość '—v odrzekł oficer, ~ Jestem szlachcicem, jak i wy; Nie zniosę zniewag!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Ramirez pierwszy wsunął swoją szpadę do pochwy; Dowódca baterii uczynił to samo.;

— Ten nieszczęśnik — powiedział wskazując trupa z rozwaloną głową — musiał przypadkiem dotknąć lon tem zapalu, gdy usypiał. Odrzut działa strzaskał mu czaszkę.

;— Miał szczęście — warknął Ramirez. ~ Gdyby żył*; obłupiłbym go ze skóry.;

Wtem z wysoka, zapewne z tylnego kasztelu, rozległ się huk wystrzału;

— Oktawa — powiedział oficer dowodzący baterią.; -J [Tam chyba.::

Nie dokończył; przerwał mu wstrząs całego okrętu i przeciągły łoskot dochodzący z pokładu. W sekundę pó piej z lewej strony buchnął krótki grom salwy, a tuż po ni

nad głową komandora zaczął się zgiełk, który rósł i rozszerzał się jak dziki szum i bełkot wezbranej rzeki.

Ramirez nagle pojął, co mu grozi. Myśli, szybkie jak strzały, pędziły mu przez głowę, która zdawała się pękać od ich grozy: „Zephyr” przypuścił atak! Gotuje się do abordażu! Ogień z lekkich dział na pokładzie nie zdoła go powstrzymać, a cała lewa burta jest bezbronna!

— Zwrot! — krzyknął głośno, jakby załoga na pokładzie mogła go usłyszeć. ■— Na prawą burtę! — rzucił dowódcy baterii. — Wszyscy na prawą burtę, do dział!

Skoczył ku schodni, znów potknął się o leżące zwłoki, pobiegł na pokład. .'

Marten, usłyszawszy huk' pojedynczego strzału, a potem salwę z „Santa Cruz”, w pierwszej chwili pomyślał, że nastąpił tam wybuch prochu. Ale ujrawszy maszty i żagle karaweli wylaniającej się spoza chmury dymu znoszonego wiatrem, zrozumiał, że zaszło coś innego. Nie próbował nawet odgadnąć, co.- Natychmiast dostrzegł sposobność ataku i nie omieszkął z niej skorzystać.

Na odwrócenie ciężkiego dział, ponowne jego nabicie, skierowanie lufy z powrotem na zewnątrz, umocowanie łoża i wycelowanie — sprawna obsługa musiała zużyć co najmniej pół godziny, Natomiast „Zephyr” mógł dopędzić karawelę i znaleźć się u jej lewej burty w ciągu kilku minut. Z tego prostego rachunku wynikała równie prosta decyzja: atakować!

Gwizdki i okrzyki bosmanów postawiły na nogi całą załogę. Kanonierzy zajęli stanowiska bojowe przy działach. Kliwry i bramzagle podjechały w górę, wypełniły się wiatrem i „Zephyr!” poleciał naprzód rozpleniając gwałtownie wodę.

Marten pomyślał, że będzie to rozprawa na śmierć i życie. Gdyby nie zdołał opanować karaweli w pierwszym na-

tarcu, nie miałby odwrotu, Postawił wszystko na jedną kartę; postanowił rzucić do abordażu niemal całą załogę, pozostawiając na „Zephyrze” tylko Tomasza Pocięgę z kilkoma puszkarzami. Wiedział, że główny bosman w ostateczności raczej wysadziłby w powietrze okręt zatapiając przy tyoi| „Santa Cruz”, niżby się poddał.

Gromkim głosem obwieścił to swoim ludziom;

— Musimy zwyciężyć albo umrzeć! — zawołał. — Nie mamy innego wyboru.;

Odpowiedział mu wrzask zapału, który poruszył go do głębi. W uniesieniu, jakie przepełniło mu serce, zapomniał o Marii. Wtem ujrzał jej cameristę, Leonię, wychodzącą z tylnego kasztelu. Zawołał ją, ale widocznie go nie usłyszała; była na pół głucha.- Zawahał się: czy zdąży jeszcze zobaczyć Marię Franceskę? Spojrzał ku „Santa Cruz”. Kara-wela płynęła jak przedtem, nie zmieniając kursu.; Była już blisko, o jakieś osiemset jardów. Mogło się zdawać, że nic nadzwyczajnego nie zaszło na jej pokładzie.; Nie mógł tego zrozumieć. Nie strzelali przecież na wiat!

Knują jakiś podstęp — pomyślał; — Nie powinienem spuszczać ich z oka. Nie mogę jeszcze bardziej ryzykować.

Ktoś pociągnął go za rękaw. To była Leonia; znalazła,! go wreszcie. Nie uświadamiała sobie jasno, co się dzieje, alej wyglądała na wystraszoną;

;—Senorita... senorita ubrać się..I — bąkała.

~ Powiedz jej, żeby tu przyszła — przerwał Marten;!

— Jestem tutaj — rozległ się za jego plecami spokojny głos, który przejął go ciepłym wzruszeniem. — Słyszałam i huk dział. Czy to już?.;?

.— Tak — powiedział, patrząc jej w oczy. — Zaraz wszystko się rozstrzygnie;

Znów spojrzął na karawelę, po czym mówił nie odwracając już wzroku:

■— Chciałem cię zobaczyć, Marie. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że jeżeli mi się nie uda, oba okręty pójną na dno. Ramirez może ujść z życiem i — co więcej — będzie miał szansę uwolnić cię ode mnie tylko w takim przypadku, gdy mi się powiedzie zdobyć „Santa Cruz”.

—Nie boję się — powiedziała Maria Francesca. ■*: Niech się to rozstrzygnie.

—Tak bardzo mnie nienawidzisz?

Nie usłyszał już odpowiedzi na to pytanie. Z tylnego kasztelu „Santa Cruz” buchnął krótki płomień, pocisk za-furczał nad pokładem „Zephyra” i rozległ się huk strzału.

— Ster w lewo, na burtę! — zawołał Marten.-

Okręt wykręcił niemal w miejscu, zwracając się prawą burzą do karaweli. Marten pochylił się nad otwartym zejściem do luku.-

— Ognia!

Czerwony błysk przeleciał wzdłuż kadłuba, wstrząs targnął pokładem, ryknęły działa, potężny kłęb dymu zasłonił widok.-

Marten krzyknął:

— Ster w lewo! — i przesadziwszy poręcz, zeskoczył na szkafut między swoich bosmanów.

Senorita de Vizella z bijącym sercem i wypiekami na policzkach patrzyła na rozgrywającą się bitwę. To, co odbijało się w jej oczach, nie miało ciągłości zdarzeń; dostrzegała tylko poszczególne sytuacje i obrazy, jak w niespokojnym śnie.

Oto spoza rozwiewającego się dymu widać dwa w połowie strzaskane maszty hiszpańskiego okrętu, który zaczyna dryfować bokiem, znoszony przez wiatr.

Oto na rejach „Zephyra” opadają żagle, a jego długi

bukszpryt, niby róg bajecznego jednorożca, bodzie wanty i sztagi karaweli, więźnie w nich jak w sieci, a oba okręty zwierają się burtami.

Oto Marten z rapierem w ręku wdzierą się na pokład j „Santa Cruz”. Już tam jest! Trzej ludzie w połyskujących hełmach zastąpili mu drogę, dżgają pikami, ale on unika pchnięć i sam naciera. Jeden z halabardników pada z prze- szytym gardłem, dwaj pozostali znikają pod mrowiem kor- i sarzy, którzy teraz zalewają pokład jak fala. Wrzawa pod- j nosi się i opada, słychać pojedyncze strzały, wrzaski triumfuj ł trwogi. *

Przed tylnym kasztelem czernieje tłum żołnierzy; Ich gęste szeregi rosną, zasilane nieustannym dopływem nowych, I jakby jakaś niepojęta machina wyrzucała je z wnętrza okrętu; j Formują trójkąt, który rusza z miejsca, nabiera pędu, jak ! klin wbija się w sam środek atakujących;

Na wyniosłej rufie został tylko jeden człowiek. Stoi po chylony w przód, patrzy. To Blasco de Ramirez! Spojrzał z góry na pokład „Zephyra”; woła coś, wydaje jakieś rozkazy, wskazuje szpadą marsy na masztach;

Już się tam wspinają jego muszkietierowie, gdy tuż blisko, za plecami seniority rozlegają się strzały. To główny bosman Pociecha i jego sześciu wyborowych strzelców; Każdy z nich klęczy na jednym kolanie, mierzy, strzela, wstaje i nabija broń. Gotowe, zawczasu odmierzone ładunki wraz: z przybitkami wpadają do luf, ołowiane kule zsuwają się za nimi, stukają stemple, do tulejek pod skałką sypie się proch, szczękają odwodzone kurki. Strzelec przykłęka, podnosi muszkiet do oka. Długa lufa spogląda w górę, ku Hisz- j panom, którzy jeszcze nie zdążyli ukryć się w koszach umocowanych pod szczytami masztów. Słychać bliski huk, ostry, duszący dym przewiewa nad rufą „Zephyra”, a z want karaweli spada śmiertelnie raniony żołnierz. Spada bezwład-; nie, jak ciężki worek, rozkrzyżowawszy ramiona, lub zawisa

przez chwilę chwyciwszy się konwulsyjnie liny, dopóki śmierć nie rozewrze eh wy i u.

Lecz cóż się tam dzieje niżej na głównym pokładzie? Co się stało z klinem piechoty zakutej w szmelcowane półpancerze?

Nie jest to już zwarty klin o gęstych szeregach. Jego szyki pękły, zmieszały się i rozproszyły. Korsarze prysnęli wprowadzie na dwie strony przed tym natarciem, ale natychmiast wpili się w boki żelaznej kompanii, jak ogary wpijają się w ciało osaczonego odyńca. Błysnęły noże, krótkie miecze, ciężkie meksykańskie machety i topory. Krew płynie po deskach pokładu; szczęk broni, wycie rannych, jęk umierających i wrzask walczących zlały się w jakiś piekielny chór potępieńców.

.. Gdzie jest Marten? W zbitej ciżbie nie można dojrzeć jego postaci. Czyżby został zabity? Ranny? Stratowany przez wrogów?...

Jest! Wyrwał się z samego środka tego strasznego zamętu. Otworzył sobie drogę skrwawionym rapierem, biegnie ku schodni tylnego pokładu, przesadza po trzy, po cztery stopnie, staje przed Ramirezem.

Blasco cofnął się, jakby zobaczył upiora. Istotnie Marten wygląda przerażająco. Ocieka krwią, ma zmierzwiłone włosy, oczy mu płoną, a w twarzy czarnej od prochowego dymu bieleją zęby, ponieważ śmieje się, śmieje się na całe gardło, jakby oszalał. Lecz Ramirez odzyskał już władzę nad sobą. Jego lśniaca szpada błysnęła w pierwszych promieniach słońca. Nagły sztych w samo serce, sztych nie do odbicia !

Maria Francesca krzyknęła głośno, jakby to jej serce zostało przebite. Ale w tej samej chwili ujrzała drugi błysk, tym razem wysoko nad głową Ramireza, a w następnej sekundzie zrozumiała, że to jego szpada i że Marten żyje. Teraz tylko on miał broń w rękę. Lśniaca klinga, którą

Blasco zadał błyskawiczne pchnięcie, z brzękiem upadła na pokład „Zephyra”;

Zbiegła na dół, aby ją podnieść. Stał błyszcząca nieskazitelną czystością, nie było śladu krwi.

Spojrzała na rufę karaweli. Marten stał za swym przeciwnikiem trzymając go za kołnierz. Zawołał po hiszpańsku.

—■ Złóżcie broń! Wasz dowódca się poddał!

Sztab komandora Blasco de Ramireza, uszczuplony przez zejście na ląd w Kadyksie dowódcy artylerii, intendenta i głównego nawigatora, którzy załatwiali jakieś formalności i sprawy zaopatrzenia okrętów eskorty w urzędach portowych, składał się zaledwie z czterech młodszych oficerów, nie licząc dowódców baterii hufnic i falkonetów oraz kapitana dowodzącego piechotą morską;

Ten ostatni nazywał się Lorenzo Zapata I służył pod rozkazami Ramireza od kilku lat, darząc go niezwykłym przywiązaniem. Wyróżniał się usposobieniem gwałtownym, podobnie jak Ramirez, przewyższał go jednak okrucieństwem i chytrą. Pochodził z bogatej rodziny meksykańskich ga-czupinów i miał znaczne dochody, co pozwalało mu odgrywać rolę wielkiego pana, choć był zaledwie drobnym szlachcicem bez żadnego tytułu. Upodobał sobie zawód żołnierza.-Oddawał mu się z zapałem, którego jednak nie wynagradzały częste awanse, a to z powodu niepohamowanego tempera-mentUj objawiającego się ustawicznymi burdami i nawet zabójstwami, jakich się dopuszczał przy lada okazji.;

Z uwagi na jego stanowisko i rzucającą się w oczy zażyłość z komandorem Marten umieścił go w oddzielnej kajucie pod strażą Slovena, podobnie jak Ramireza, którego pilnował Klops. Pozostałych oficerów zamknął w pomieszczeniu bosmańskim i przesłuchiwał ich kolejno, chcąc się dowiedzieć o miejscu pobytu Złotej Floty*

Niewiele o tym wiedzieli, a Ramirez i Zapata wręcz odmówili jakichkolwiek informacji.

Traktowano ich ze szczególnymi względami. Marten sam przyjął ich szpady i pistolety, zabronił swoim ludziom jakiegokolwiek rabunku na jeńcach i posunął tę rycerskość tak daleko, że nawet nie kazał zrewidować oficerów, dzięki czemu kapitanowi pozostał rożek z prochem i woreczek z kulami;

Zapata uznał ten jego sposób postępowania za głupotę, lecz sam w myśli również nazywał się głupcem. Po cóż rozstał się z bronią palną, którą mógł ukryć?! Broń zawsze bywa przydatna, nie ma bowiem tak złej sytuacji, która nie mogłaby się nagle odmienić, jeśli człowiek potrafi w lot chwycić każdą sposobność,

Lorenzo Zapata nieraz bywał w opałach, ale nigdy nie rozstawał się z pistoletem i — trzeba przyznać — zawdzięczał mu niejedno wyjście z trudności. A oto teraz był bezbronny, i to prawie wyłącznie z własnej winy.; Miał tylko trochę prochu i kilka kul, cóż za ironia! Jak na trzydziestoletniego mężczyznę, doświadczonego żołnierza i zabijakę, był to błąd nie do wybaczenia. Pośpieszył się, niczym zastraszony młokos; pozbawił się szansy, którą niebacznie mu pozostawiono.?

Przez małe okrągłe okienko kajuty w przednim kasztele mógł widzieć, co się dzieje na zewnątrz. Mógłby zapewne także dojrzeć Złotą Flotę i jej potężną eskortę, gdyby nadciągnęła z Madery;

Ba, gdyby!

Ale przecież mogło się tak zdarzyć. Przyszło mu na myśl, że Blasco powinien wszelkimi sposobami przewlekać ten przymusowy postój u boku korsarza, który chyba przy pomocy sił piekielnych zawładnął karawelą.-

Ów korsarz był durniem, to nie ulegało kwestii, Można go było wodzić za nos, wyzyskując jego łatwowierność.

Jaki miał w tym interes, aby ich zachować przy życiu? Co go do tego skłoniło? Czy piękność w szkarłatnej sukni, którą Lorenzo dostrzegł na jego okręcie, miała z tym coś wspólnego?

Tak, z pewnością — myślał.

Zauważył, że Ramirez na jej widok zbladł jak ściana i spuścił oczy. Znał ją zatem! Zapata przebierał w przeróżnych domysłach, odrzucając je kolejno. Nie przychodziło mu do głowy żadne prawdopodobne skojarzenie faktów i własnych spostrzeżeń. Wreszcie przestał się tym zajmować.

Jego uwagę pochłonęło na chwilę rozplątywanie, a raczej odrąbywanie lin, w których uwiązał bukszpryt „Zephy-ra”. Uwijało się tam kilku ludzi z toporami, chłopów na schwał. trzeba przyznać. Takich marynarzy nie było w Hiszpanii. Korsarz miał wspaniałą dobraną załogę. -

Wcielić ich do regularnych kompanii, poćwiczyć rok i cóż by to byli za żołnierze! — myślał.

Naturalnie musieliby się wyrzec herezji. Ale już on wybiłby im to z twardych hugonockich łbów.

Usłyszał jękliwy stuk młotów dobywający się z wnętrza karaweli.

Zagwałczają działa — pomyślał i fala wściekłości załała mu gardło.

Przeszedł się tam i z powrotem po kajucie, aby ochłonać, i znów po chwili spojrzął na pracujących majtków.

Zdumiewała go ich siła i sprawność, gdy z kolei wzięli się do przeładowania skrzyń ze srebrem z luków „Santa Cruz” do ładowni „Zephyra”. Serce ścisnęło mu się na ten widok, ale nie odrywał od nich wzroku.

— Pół miliona pistoli — westchnął. — Obłowili się. Nic dziwnego, że ich herszt nie dba o nasze mizerne mieszki i ubogie klejnoty. Do końca życia będzie opływał w dostatki, a jego ludzie.::

Spojrzał w tył przez ramię, tknięty nagłą myślą. Percy

Burnes, który ani na chwilę nie spuszcza! go z oka, drgnął i sięgnął do rękojeści jednego z dwu pistoletów zatkniętych za pasem. Lecz jeńiec widocznie wcale nie zamierzał uciekać się do oeynów gwałtownych. Odszedł tylko od okna i usiadł naprzeciw niego na skraju pryczy.

—Obłowiliście się — powtórzył głośno. Percy skrzywił się w uśmiechu.

—Nam to nie nowina — powiedział.

Namyślał się przez chwilę, którą ze swych niezwykłych przygód opowiedzieć temu jaśnie panu w związku z jego uwagą zachęcającą do rozmowy. Lubił opowiadać o swoich czynach, zwłaszcza gdy miał do czynienia z dżentelmenami, z owymi hombres finos, którymi na pozór pogardzał. Niestety takie okazje trafiały mu się niezmiernie rzadko. Tym bardziej miał ochotę skorzystać z tej wyjątkowej sposobności.

Zdawał sobie sprawę ze swej przewagi nad Hiszpanem, którego uważał co najmniej za granda lub hrabiego, a który był tylko jeńcem. Mógł sobie pozwolić na niejaką poufałość wobec niego. To nie było zabronione. Później będzie się przechwalał, jak to we dwóch z pewnym hidalgo ucięli sobie miłą pogawędkę. Smakował zawczasu wrażenie, jakie uczyni wśród koleżków, kumpli i dziewczyn portowych swa relacją, upiękzoną jeszcze przez fantazję.

— Wyglądacie na dzielnego człowieka — rzucił od niechcienia Lorenzo, wbrew obiektywnej prawdzie, ponieważ wygląd Slovena był raczej mizerny i odrażający.- — Jesteście zapewne głównym bosmanem?

Sympatia Percy'ego Burnesa wyraźnie przechyliła się teraz na korzyść jeńca.-

—Coś w tym rodzaju — bąknął niewyraźnie. — Zastępuję go często, a w ogóle jak jest jakaś odpowiedzialna robota, mnie ją powierzają;

—To od razu widać — przytaknął Lorenzo. — Ale gdyby was właściwie oceniano...

fv. Ba! Na innym okręcie byłbym szturmanem * — westchnął Percy i umilkł na chwilę, wspominając krzywdy, jakie go spotkały na „Zephyrze”;

Nie o nich chciał jednak mówić, przynajmniej nie o wszystkich, Pragnął wprawdzie olśnić „hrabiego” swym bohaterstwem, a potem dopiero uzalić się na niesprawiedliwą ocenę tych zasług. Lecz Zapata znów przerwał mu tok myśli pytaniem, które skierowało rozmowę na ten drugi przedmiot,

—Ciekawym, jaki też jest wasz udział w tej zdobyczy — powiedział wskazując ruchem głowy okno, za którym skrzyżnie ze srebrem podjeżdżały w górę na blokach i zatoczywszy łuk w powietrzu- opuszczały się do ładowni „Zephyra”.-

—Dwie sześćsetne części —• odrzekł Percy zupełnie szczerze i za późno ugryzł się w język, przypomniawszy sobie, że będąc „czymś w rodzaju głównego bosmana” musiałby otrzymać co najmniej trzy razy tyle;

To jego potknięcie uszło jednak zapewne uwagi hidalgów,, ponieważ pokiwał tylko głową z wyrazem współczującego zrozumienia i z kolei zapytał, ile dla siebie zatrzymuje kapitan Marten.-

--j Połowę — odpowiedział Percy. — Połowę całej zdobyczy*

~ I taki podział nie wydaje się wam krzywdzący? ga zdziwił się Zapata;

<— Cóż robić! -- westchnął Percy; — Taka jest umowa.

Przyszło mu. na myśl, że w oczach tego jaśnie pana wy-, szedł na żebraka. Nie leżało to wcale w jego zamiarach, Aby naprawić ten błąd, powiedział:

~ Co prawda, zwykle każdy z nas ma dodatkowy zysk z tego, co zdobędzie własnym przemysłem.;; to jest, chciałem rzec, własnym męstwem;

Hidalgo uśmiechnął się ze zrozumieniem; Jego wzrok

spoczął przelotnie na pistoletach dzielnego bosmana. Nie stanowiły one pary: jeden był krótszy, niezbyt ozdobny, drugi połyskiwał srebrnym grawerunkiem i masą perłową.

—Te pistolety zapewne też stanowią waszą zdobycz? —; zagadnął.

—Tak — odrzekł Percy niedbale macając dłonią rękojeść. — Zdobyłem te zabawki w dwu różnych częściach świata.;

— Bardzo mi się podoba ten krótszy, choć ma skromną osadę — oświadczył Lorenzo. — ■ Miałem niegdyś podobny.: Gdybyście się nie obawiali podstępu i zawierzyli memu słowu, że nie spróbuję was zastrzelić, pragnąłbym go obejrzeć. Chciałbym naturalnie także usłyszeć historię jego zdobycia -z. dodał;

S. Ioven zawahał się: czy mógł zaufać słowu hidalga?

Ba! — powiedział sobie. — Gdyby jaśnie pan był na wolności, na pewno nie! Ale przecież sam jeden nic nie zwojuje z pistoletem, nawet gdyby mi zniecka palnął w łeb.; Zresztą nie będzie mógł strzelić, jeżeli wysypię proch z tulejki.;

Wyciągnął zza pasa pistolet, zważył go na dłoni i potrząsnął nim nieznacznie, a następnie zezem spojrzął na zapal.

— Dla pewności możecie wydmuchnąć resztę — pora dził mu dobrodusznie Lorenzo.;

Percy zawstydział się, ale pokrył to śmiechem;

—Nigdy nie można być dosyć ostrożnym ~ zauważył żartobliwie.'

—Nigdy — zgodził się chętnie Lorenzo wyciągając rękę po pistolet.-

Ledwie poczuł go w dłoni, ledwie spojrzął z bliska, już wiedział, że kule, które miał w woreczku pod kaftanem, w sam raz będą pasowały do tej broni,'

cz Por Dios! zz wykrzyknął szczerze wzruszony^ '~ Jest

zupełnie taki sam jak mój! Straciłem go przed rokiem w pewnej gospodzie w Sewilli.

—No, to z pewnością nie ten — odrzekł Percy oschle. — Zdobyłem go chyba z osiem lat temu.

—Oczywiście — pośpieszył wyjaśnić Lorenzo. — Chciałem tylko powiedzieć, że mój był identyczny. Różnił się od tego jedynie monogramem i herbem na rękojeści.

Percy nie wiedział, co to jest monogram, ale uspokoił się. Jeniec nie zamierzał wszczynać z nim kłótni i nie rościł sobie żadnych rzeczywistych czy też urojonych pretensji do pistoletu, który zresztą nie przedstawiał dużej wartości.

Co mu się tak podoba w tym starym gracie? — zastanawiał się śledząc każdy ruch Lorenza. — W Amsterdamie za dwa dukaty można kupić pół tuzina takich pukawek.

Kapitan wciąż jeszcze oglądał pistolet i wzdychał, jakby nie mógł się z nim rozstać. — Pamiątka... — szepnął. — Droga pamiątka rodzinna.;;

Podniósł wzrok na Slovena.

— Bosmanie — rzekł załamującym się ze wzruszenia głosem. — Dałbym wam za tę skromną broń dwadzieścia pistoli w złocie. Wszystko, co posiadam!

Slovena aż zatknęło. Dwadzieścia pistoli! Chciwość błysnęła mu w oczach, ale zarazem przemówiła resztką zdrowego rozsądku. Sprzedać jeńcowi broń?! To groziło stryczkiem.

— Słowo daję, zrobiłbym to dla waszej wielmożności — powiedział z żalem. — Zrobiłbym to, choć i dla mnie ten pistolet jest bardzo pamiątkowy. — ■ Więc — przełknął ślinę i mówił teraz prędko, ścisłym głosem — zrobiłbym to nie dla marnego zysku, tylko tak, jak żołnierz dla żołnierza, za przeproszeniem waszej wielmożności. Ale — ciągnął dalej rzucając szybkie spojrzenia na lewo i na prawo, a tak że na zamknięte drzwi kajuty, jakby w obawie, że otworzą się lada chwila ~ przecież nie mogę nadstawić **zdrowej**

głowy pod Ewangelię. Stary, to jest kapitan Marten, powiesiłby mnie na rei, gdyby... Ba, za samo gadanie o czymś takim dostałbym tęgiego kopniaka! Co innego, jeśli was uwolni. Wtedy, owszem. Jakbyście schodzili z naszego pokładu, mógłbym waszej wielmożności nieznacznie wsunąć na pamiątkę do ręki w zamian za trochę złota;

Ten osioł bredzi — pomyślał Zapala. — Jeśli Marten nas uwolni! Dobry sobie!

—Nie mogę się narażać — gadał Percy, jak gdyby usiłował przekonać również samego siebie. — Dać nabitą broń jeńcowi, za przeproszeniem waszej wielmożności, to pachnie kulą w łeb albo wyrzuceniem za burtę. Cóż by mi wtedy przyszło z dwudziestu pistoli? Chyba tylko tyle, że prędzej poszedłbym na dno.

—Można by przecież rozładować tę broń — powiedział Lorenzo. — Nie mam zamiaru posłużyć się nią, póki jestem jeńcem. Wasz dowódca o niczym się nie dowie: nukt nie będzie nas rewidował, skoro dotąd tego nie uczyniono. Dodałbym wam ten pierścień — błysnął mu przed oczyma dużym zielonym kamieniem oprawionym w złoto.

„Można rozładować pistolet”, „Marlen o niczym się nie dowie” — te dwa argumenty od dobrej chwili szturmowały kriiclii opór Slovena. Chciwość szeptała mu je znacznie wcześniej, niż zostały wypowiedziane przez zwariowanego hidal-ga, który wziął się kupić kawał żelaznej rury z kościaną rękojeścią za cenę niemal stokrotnie wyższą od jej praAvdziwej wartości i na dodatek ofiarował mu pierścień.

— Niech już będzie — jęknął pokonany i nagle zamarł z przerażenia, usłyszawszy głośny szmer przy drzwiach ka juty.-

Zewnętrzny skobel odskoczył i na progu stanął Stefan Grabiński.

— Kapitan Marlen i komandor de Ramirez pragną zobaczyć pana kapitana — powiedział. — Proszę za mną.

Percy szeroko otworzył oczy, które zmrużył był ze strachu, Lorenzo Zapata wstał i szedł ku wyjściu. Pistolet Slovena znikł. Wraz z odejściem hiszpańskiego hidalga znikła kusząca wizja dwudziestu dukatów i złotego pierścienia z promiennym chryzoprazem..-i

12

Kapitan piechoty morskiej Lorenzo Zapata nie umiał długo powstrzymać nurtującej go żądzy mordy. Rozmowa ze Slovenem była dla niego ciężką próbą, z której wyszedł zwycięsko za cenę niesłychanego wysiłku woli, Mógł bardzo łatwo zawładnąć obu jego pistoletami: skok, chwyt | za gardło i koniec. Ten dureń nie zdążyłby nawet zipnąć. Ale nie miałyby to żadnego sensu. Musiał udawać, poniżać się, grać idiotyczną rolę, uśmiechać się i wzdychać, podczas gdy instynkt szamotał się w nim jak dziki zwierz na uwięzi.

Teraz odetchnął z niejaką ulgą i uśmiechnął się nawet.. Jego przebiegłość oraz przypadkowy zbieg okoliczności wystrychnęły naiwnego strażnika na dudka.

Lecz to był dopiero początek. Lorenzo przeczuwał, że czekają go jeszcze bardziej dojmujące przeżycia; Gdybyż mógł przeniknąć Martena równie łatwo, jak przeniknął tego

chciwego osła! Obaj byli naiwni, to prawda; ale każdy na inny sposób, a naiwność Martena zdawała się Lorenzowi niezwykle zagadkowa. Nie mógł zrozumieć ani jego pobudek, ani celu, do którego ten dziwny człowiek dążył.

Przewlekać każdą sprawę, każdą rozmowę, każde działanie, oto co w zasadzie należy czynić —myślał idąc przed młodym sternikiem, który puścił go przodem. — Czas działa na naszą korzyść;

Przewlekać!;; Ujrawszy Martena poczuł, że się dusi. Wszystko w nim wrzało. Namacał ręką uchwyt pistoletu i rozek z prochem, Byłoby to dziełem dwu sekund: podsypać prochu, odwieść kurek, zmierzyć, nacisnąć spust!

Szybko odwrócił wzrok; Nie śmiał na niego spojrzeć po raz drugi; po prostu nie śmiał.

Rozejrzał się dokoła; Środkowy pokład „Zephyra” był uprzątnięty do czysta i świeżo zmyty wodą. Wilgotne deski parowały, schły w oczach. Prawie cała załoga okrętu zgromadziła się po obu stronach szkafutu. Korsarze odświętnie ubrani, w granatowych sukiennych kaftanach i obcisłych łosiowych spodniach ze srebrnymi sprzączkami, prezentowali się lepiej niż majtkowie admirałskiej karaweli; Rozsiedli się na schodniach prowadzących do kaszteli na dziobie i na rufie, jak widzowie na trybunach w czasie corridy. Przy lewej burcie stał Marten w otoczeniu starszyny i mówił zwracając się to do Ramireza, któremu prócz Lorenza towarzyszył tylko dowódca baterii hufnic, to do swoich ludzi, to znów do pięknej seniority, która wspierała się o poręcz nadburcia nie spuszczać ani na chwilę wzroku z postaci komandora, jakby tylko on jeden zajmował jej myśli i uczucia.

Za plecami Martena wznosił się i opadał pokład „Santa Cruz”, na którym pod kikutem jednego ze strzaskanych masztów leżeli pokotem jeńcy. Pilnowało ich kilku muszkieterów z „Zephyra”, lecz była to straż niemal zupełnie zbytecz-^{na}: zdziesiątkowaną załogę hiszpańską ogarnął kamienny sen;

Łagodny, ciepły powiew zachodniego wiatru trzepotał żaglami ustawionymi w dryf, oba okręty kołysały się lekko, ocierając się czasem hurtami, pomiędzy które opuszczono uplecione z wikliny dobijacze, a każde słowo Martena było słychać wyraźnie wśród zupełnego milczenia.

Lorenzo Zapata słuchał i coraz mniej rozumiał.-;
Marten mówił:

— Daję wam szansę, komandorze, choć mógłbym was po prostu powiesić, jak na to zasługujecie. Byłoby to najwłaściwsze zakończenie naszych dawnych porachunków. Ale do tych dawnych dołączyły się nowe, innego rodzaju. Dlatego jestem golów z wami walczyć i zapewniam was, że i ja sam, i moja załoga dotrzemy warunków tego spotkania. Będę się wyrażał jasno i zrozumiale — podniósł głos. — Jeden z nas, komandor Blasco de Ramirez, albo ja, Jan Kuna, zwany Martenem, musi zginąć w owym pojedynku. Jeśli śmierć spotka mnie, mój przeciwnik i wszyscy jego ludzie będą mogli odejść stąd wolni, choć bez broni, i pożeglować na swoim okręcie, dokąd zechcą. Ponadto komandor Blasco de Ramirez będzie mógł zabrać na pokład „Santa Cruz” senoritę de Vizella za jej zgodą i dobrą wolą. Nikt z was — zwrócił się do swej załogi — nie będzie mu stawiał n aj mniejszych przeszkód. To jest mój wyraźny rozkaz.

Senorita spojrzała na niego przelotnie ! poruszyła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zauważył tego. Położył dłoń na ramieniu swego sternika i mówił dalej:

—Nie wierzę, abym miał zginąć. Ale może się tak zdarzyć. Dlatego mianuję wobec was moim spadkobiercą i zastępcą Stefana Grabińskiego i chcę, abyście o tym świadczyli w razie potrzeby.

—To brzmi jak testament — mruknął kapitan Zapata] do Ramireza. — Mam nadzieję, że jest potrzebny, choć spO' dziewam się, że nie zdołają go wykonać.

Ramirez rzucił mu krótkie, posępne spojrzenie, lecz nic

pie odrzekł. Marten postąpił krok naprzód, *zmarszczył* brwi, jakby zastanawiając się, czy powiedział już wszystko, co powiedzieć należało. Ironiczny uśmiech przewinął mu się na ustach,

— A więc, komandorze, oto macie możliwość odzyskania prawie wszystkiego, co na was zdobyłem, z wyjątkiem dział zdalnych do użytku i srebra, które tak czy inaczej pozostanie na „Zephyrze”. Ale cóż znaczy taka strata wobec utraty honoru i narzeczonej, która wam dotąd pozostała wierna! Nieprawdaż? Czuję się waszym dobroczyńcą, seiior! Co więcej, pozostawiam wam wybór broni. Dwukrotnie zmusiłem was do skrzyżowania ze mną szpady i za każdym razem wytrafiłem ją wam z ręki. Może potraficie lepiej strzelać? Wybierajcie.

Ramirez milczał, jakby jego niecierpliwa natura doznała jakiegoś zahamowania lub częściowego paraliżu.

— Powiedz, że musisz poradzić się ze swymi sekundantami — szepnął mu Lorenzo. — Trzeba przewlekać sprawę.

Komandor widocznie uznał słuszność tej rady. Zahamowany mechanizm ruszył nagle z miejsca, szybko, hałaśliwie jak zwykle.

Oczywiście, musiał także wydać pewne instrukcje swoim podwładnym; musiał poradzić się z nimi. Jakie miał gwarancje, że Marten i jego partida dotrzymają słowa? Domagał się rozmowy z senoritą, żądał broni dla swoich świadków i natychmiastowego uwolnienia pozostałych pięciu oficerów, sprzeciwiał się obecności marynarzy z załogi „Zephyra” podczas pojedynku.

Potok jego wymowy płynął gwałtownie, wybuchowo, wśród żywej gestykulacji, która czyniła teatralne wrażenie.

— Doskonale! Świetnie! — zachęcał go Lorenzo. — Po wiedz mu jeszcze...

.Wtem urwał. Jego wzrok zatrzymał się przypadkiem na

linii horyzontu poza rufą karaweli, Bieleły tam żagle *m* całe mrowie żagli!

Omiał się nie zdradził głośnym okrzykiem. Nie miał żadnych wątpliwości: Złota Flota nadciągała wraz z eskortą! Nadciągała niepostrzeżenie z południowego zachodu, Za chwilę zasłoni ją wysoki kadłub „Santa Cruz”j

Spojrzał z ukosa po marynarzach, po strażnikach na pokładzie karaweli. Jego myszkujące oczy biegały od jednej twarzy do drugiej. Wszyscy patrzyli na Ramireza, który grzmiał salwami gniewnych słów;

W uszach kapitana Zapaty rozbrzmiewał hymn triumfu, tętno krwi waliło jak bęben. W oczach migotały iskry.; Zaledwie zdołał uświadomić sobie, że komandor przestał mówić i że Marten wyraził zgodę jedynie na dwa jego żądania; kazał przyprowadzić na pokład oficerów pozostających pod strażą oraz zezwolił na krótką naradę Ramireza z dowódcą baterii hufnic i Zapata.-

Wszyscy trzej odeszli pod prawą burłę, Lorenzo dygotał z napięcia;

— Pozwól mi mówić — szepnął do swego przełożonego. — Mam ważne wiadomości;

Ramirez wykonał gest zniecierpliwienia, ale tamten już gorączkowo szeptał dalej:

—■ Nie oglądajcie się, nie dawajcie nic poznać po sobie; Widziałem przed chwilą żagle naszych okrętów;

—Gdzie? — spytał Ramiree;

—Nie oglądaj się! — przestrzegł go Lorenzo; '•—. Widziałem je.;!

—Chyba w wyobraźni — mruknął zirytowany komandor,-

—• Widziałem je z całą pewnością, jak was teraz widzę ~- powiedział Zapata z naciskiem.-

— I gdzież się podziały? — spytał ironicznie Blasco;

~ Zbliżają się — odrzekł Zapata. ■— Są o dobre kilka

mil od nas. Na szczęście zasłania je kadłub „Santa Cruz”; Jestem pewien, że nikt prócz mnie.;;

— Ba, jeżeli nawet nie przywidziały ci się te żagle, to skąd wiesz, że należą do naszych okrętów? — przerwał mu Ramirez. — Mogą to być równie dobrze okręty Anglików.

Lorenzo zgrzytnął zębami, jakby rozgryzając przekleństwo. Czuł, że za chwilę wybuchnie;

—■ Płyną z południowego zachodu — wyrzucił przez ściśnięte gardło, — Byłem dość długo na morzu, aby rozróżnić sylwetki naszych karawel i fregat od okrętów angielskich.

Woskowożółte policzki komandora zabarwiły się lekkim rumieńcem;

— Por Dios, gdyby to była prawda.!? Jesteś pewien? — zapytał porywczo;

—■ Zupełnie — odrzekł tamten; ~ Ale to nie wszystko: mam pistolet. Nabity;

Ramirez niecierpliwie wzruszył ramionami;

— I ja mogę mieć nabity pistolet, jeżeli wybiorę broń palną. Cóż z tego? We dwóch nie powstrzymamy całej bandy tych zbirów nawet przez pół minuty!

— Nie o to chodzi — rzekł Zapata;

•— Więc o oo, u diabła?!

'—■ Wybierz szpady i walcz przezornie. My będziemy kwestionowali każde natarcie tego picaro. Będziemy przerywać walkę, protestować przeciw rzekomym uchybieniom. W razie potrzeby wymyślę jakieś nie istniejące reguły pojedynku, które miałyby obowiązywać wszystkich hombres finos. Cóż taki Marten może o tym wiedzieć? A w ostateczności, gdybyś był w śmiertelnym niebezpieczeństwie, strzelę mu w łeb;

—A wtedy rzucą się i rozszarpią nas na sztuki — dokończył ponuro komandor.

—Możliwe — zgodził się Lorenzo. — Ale, quien sabe? Mogą nie zdążyć, Gdy krzyknę im w twarz, że nasza flota

jest blisko, że nadciąga odsiecz, będą przede wszystkim ra« towali własną skórę i łup, który mają w ładowniach. Pół miliona pistoli! Wątpię, czy dusza ich commandanto, zwłaszcza gdy już opuści doczesną powłokę, będzie przedstawiała w oczach tej bandy równą wartość. Myślę, że nie! Rzucają się do lin, nie na nas.

Ramirez spojrział na niego z uznaniem. Uśmiechnął się. Był to pierwszy jego uśmiech od chwili podniesienia kotwicy w Kadyksie.

— Zasłońcie mnie — szepnął Lorenzo, — Muszę podsy pać prochu.-

Zaledwie zdążył to uczynić i ukryć z powrotem pistolet pod kaftanem, rozległ się zniecierpliwiony głos Martena, który wzywał swego przeciwnika do pośpiechu.

— Skończcie wreszcie tę spowiedź, komandorze! — za wołał. — O ile wiem, hiszpańskim kapitanom piechoty nie przysługuje prawo odpuszczania grzechów.

Ramirez nie zaszczyił go odpowiedzią, ale wybuch śmiechu, jaki nastąpił wśród marynarzy, podciął go jak biczem. Rumieniec na jego twarzy przybrał ceglastą barwę. Nienawiść zagotowała mu się w piersi i nagle ostygła pod tchnieniem strachu. Lorenzo mógł przecież chybić, a wówczas...-

— Uważaj zatem — rzekł ściskając jego dłoń konwulsyjnie. — I wy^także, poruczniku — dodał spoglądając spo de łba na drugiego sekundanta. — Mam nadzieję, że zrozu mieliście, o co chodzi.

- — Tak, senor — mruknął artylerzysta.

—I cóż? — zapytał Marten. — Szpady czy pistolety?

—Szpady — odrzekł Blasco de Ramirez. — Ale chciałbym walczyć własną szpadą. Mam w kajucie dwie, z których...:

—Może ci wystarczy ta? Jest twoją własnością — usłyszał głos, który nim wstrząsnął.

Odwrócił głowę.

Senorila Maria Francesca szła ku niemu ze szpadą w wy*
ciągniętej ręce. Trzymała ją za klingę, tak że złocona garda z
ozdobnym chwostem była zwrócona ku niemu.

— Podniosłam ją z pokładu, w chwili kiedy się podda
łeś — powiedziała bez cienia wyrzutu lub szyderstwa, jak
by len postępek był jej całkowicie obojętny.

Ramirez patrzył na nią jak urzeczony. Co to miało znaczyć?
Czy był to gest przyjazny? Czy stanowił zachętę? Wyraz nadziei?

Twarz seniority nie wyrażała nic zgoła. Jej orzechowe oczy
patrzyły bez drgnienia powiek, poważnie i chłodno. Z trudem
wytrzymał ich spojrzenie. Skłonił się bez słowa. Dopiero ująwszy
rękojeść, przycisnął ją do serca i szepnął:

— Dziękuję, Mario.

Skinęła lekko głową i cofnęła się szybko. Ramirez obejrzał
się na swoich sekundantów. Stali za nim po lewej i po prawej
stronie. Spojrzał na Martena, który po przeciwnej stronie pokładu
czekał cierpliwie z dobytym rapierem w dłoni.

— Zaczynajcie — powiedział jego młody sternik.

Przeciwnicy podnieśli broń na wysokość twarzy, skłonili
się sobie nawzajem, potem sekundantom, odmierzyli dystans
wyciągniętymi klingami, stanęli w pozycji.

Obaj zdawali się czekać na atak. Ramirez przezornie
przełożył dłoń przez pętlę z mocnej plecionki, która stanowiła
chwost u rękojeści szpady. Pamiętał dobrze, jak mu zdrętwiała
ręka, gdy Marten użył swej sztuki wytrącając mu broń. Tym razem
miał się na baczności. Był niezłym szermierzem i choć wiedział,
że nie dorówna temu wcielonemu szatanowi, przecież miał
nadzieję, że mu nieprędko ulegnie, jeśli tylko zachowa zimną
krew. Zauważył, że ma dogodniejsze stanowisko: mógł się
swobodnie cofać w razie potrzeby, podczas gdy za plecami
Martena pozostało niewiele miejsca. Drugi sekundant korsarza,
krępy, zarośnięty aż po oczy bos-

man o krótkich nogach i długich, muskularnych rękach —' istny okaz posiwiałej małpy — widocznie także to dostrzegł, bo rzucał za siebie niespokojne spojrzenia.

Ramirezowi przeleciała przez głowę myśl, że powinien to wykorzystać, A nuż zdoła w pierwszym starciu zmusić przeciwnika do cofnięcia się o dwa lub trzy kroki.; Wówczas Marten nie miałby swobody ruchów; może by się obejrzał, może przez pół sekundy straciłby z oczu szpadę swego wroga.; To by wystarczyło na zadanie pchnięcia w szyję;

Całe to rozumowanie miało przebieg błyskawiczny. Ramirez skoczył naprzód i natarł. Ale Marten ani drgnął: odbił dwa cięcia, zasłonił się w porę przed trzecim S natychmiast przeszedł do ataku;

Blasco cofnął się o krok, o dwa kroki. Czuł na kłindze siłę odpieryanych ciosów i przeraził się jej. Nie miał czasu na ripostę. Gdyby to trwało jeszcze przez krótką chwilę, byłby zgubiony;

Uratowały go w samą porę protesty Lorenza. Kapitan nie musiał udawać oburzenia: gotowała się w nim zajadła furia, warczał jak zły pies.; Utrzymał, że Marten zadał swemu przeciwnikowi dwa sztychy poniżej pasa; Sztychy niedozwolone w honorowym pojedynku, które mogły być śmiertelne. Komandor zdołał je odparować, lecz takie postępowanie Martena w spotkaniu z hidalgim zwalniało tego ostatniego od dalszej walki. Było niezgodne ze zwyczajami; zakrawało na usiłowanie zwykłego mordu w karczemnej bójce*

^ Łżesz! — krzyknął Marten. — Nie zadałem dotąd ani jednego pchnięcia, ale zobaczysz je wkrótce. Pchnięcie w serce, nie poniżej pasa! Chcę tylko najpierw obciąć uszy twemu hidalgo, tak jak mu to obiecałem. A później obetnę je tobie! Broń się! — zawołał do Ramireza i natarł znowu;

Ramirez cofał się. Był blady jak płótno, a po twarzy ściekały mu krople potu,- Zwody i finty Martena migotały

mu przed oczyma jak błyskawice, W jakiejś chwili, niemal przyparty do poręczy burty, nie zdołał na czas chwycić na ostrze cięcia w głowę, usłyszał krótki świst rapiera i poczuł dotkliwy ból z prawej strony czaszki;

Ucho — pomyślał.;

Poczuł się ośmieszony, zhańbiony, skazany na drwiny { szyderstwa. Ogarnęła go rozpacz. Postanowił nie oszczędzać się i bodaj zginąć, lecz wprzód wyrzucić zemstę na nikczemnym wrogu, który tak się nad nim znęcał,

Zaciął zęby i skoczył naprzód. W tej samej chwili usłyszał bliski huk strzału, potknął się i runął jak długi.

Przeleciało mu przez głowę, że został śmiertelnie ranny, choć nie czuł żadnego innego bólu poza tym, którego doświadczał od cięcia rapierem. Oczekiwał jednak, że lada moment ból przesyje go na wskroś, Nie śmiał poruszyć się, nie śmiał głębiej odetchnąć, pragnąc oddalić tę straszliwą chwilę, w której odkryje, że kula rozszarpała mu aortę, utkwiała w płucach lub wątrobie,

Kto do niego strzelił? Czyżby Zapata? Mogła mu drgnąć ręka.;; A może to była zdrada? Może Lorenzo użył podstępny w porozumieniu z Martenem, okupując w ten sposób własne życie?

Ból nie przychodził, natomiast Blasco poczuł, że pokład dziwnie faluje i drga pod jego wyciągniętymi nogami. Jednocześnie usłyszał tuż blisko jakieś chrapliwe odgłosy podobne do spazmatycznego kaszlu. Ostrożnie zwrócił głowę w tamtą stronę. Ujrzał kolejno: odrzuconą w przód rękę z dymiącym jeszcze pistoletem, kapitański kapelusz z piórami, wreszcie wykrzywioną kurczowo twarz kapitana Zapaty i kościaną rękojeść noża sterczącą pod jego brodą. To on konał charcząc głośno. I to nie pokład falował pod kolanami Blasca, lecz ciało Lorenza, którym wstrząsały śmiertelne drgawki;

Wtem rozległy się okrzyki, tupot nóg, wrzawa. Ramirez pojął, że upłynęło zaledwie parę sekund od chwili, gdy upadł,

Parę sekund, które wydały mu się niezmiernie długie, Zerwał się z pokładu i ujrzał ludzi, którzy biegli ku niemu i nagle stanęli jak wryci.

— Ach, więc ten żyje! — zawołał Marten, .-i Tym lepiej: obetnę mu drugie ucho!

Maria Francesca stała na pokładzie obok Hermana Stauffla, nieco na uboczu, i z zapartym tchem śledziła walkę swego narzeczonego z Martenem, doznając najbardziej skłóconych uczuć: wstydu, lęku, dumy, upokorzenia i triumfu.

Czego chciała? Czyjego zwycięstwa pragnęła? Za którego z przeciwników miała się modlić?

Pomyślała o modlitwie, lecz nie ośmieliła się prosić Madonnę o coś, czego sama nie była pewna. Spodziewała się, że Blasco będzie walczył jak bohater, jak Archanioł z Lu-cyperem. Być może przechyliłaby się wówczas na jego stronę.

Zawiodła się, a ten zawód upokorzył ją we własnych oczach. Dostrzegła, a raczej wyczuła niezawodnym instynktem, że komandor tchórzy. Nie boi się, jak może się bać nawet najdzielniejszy człowiek zachowując przy tym spokój i nie tracąc męstwa, lecz po prostu nikczemnie tchórzy. Przyszło jej na myśl, że ten hidalgo ma honor jedynie na pokaz; że gdyby nie jej obecność, wzięłby nogi za pas albo rzuciłby się do kolan Martenowi, błagając o łaskę.

Ogarnął ją dojmujący wstyd za niego i za to, że tyje-kroć go broniła. Broniła jego honoru, jego odwagi, jego szła- | checkiej rycerskości.

Marten wydał jej się wprawdzie okrutny i mściwy, ale przecież naprawdę mężny. Teraz, gdy o tym pomyślała, dumą wezbrała w jej sercu. Walczył także o nią", nie tylko dla, nasycenia zemsty. Może przede wszystkim o nią? Jeśli dbał o zdobycz, to dla swojej załogi. Lecz nie mógł wiedzieć uprze-

dnio, że narażając tę załogę, okręt i własne życie, zdobędzie cokolwiek poza swą branką.

Nie tknął jej dotąd, choć mógł ją osiąść przemocą. Zatem zawładnęła nie tylko jego zmysłami, lecz także sercem. Trzymała je w dłoniach, to gorące, dzikie, nieustraszone serce. Napęniało ją to triumfem, a zarazem obawą, że mogłaby je stracić. Nawet tchórzowi może się udać rozpaczliwe, śmiertelne pchnięcie..;

Wytężała wzrok i skupiała całą napiętą do ostatecznych granic uwagę na ruchach Ramireza i jego sekundantów. Przechwyciła, że knują podstęp. Ich narada przed pojedynkiem tylko tego mogła dotyczyć, choć z początku nie przyszło jej to do głowy. Podejrzewała szczególnie kapitana Zapalę, zwłaszcza od chwili, gdy usiłował przerwać walkę pod pozorem niedozwolonych pchnięć, których Marten z pewnością nie użył, wiedziała o tym dobrze.

Później, kiedy rapier Martena rozciął Ramirezowi skórę na skroni i ucho, uniosła się litością nad ośmieszonym komandorem, a zarazem fala gniewu przepłynęła jej przez pierś. Marten nadużywał swojej przewagi; szydził z przeciwnika, jeśli nie słowami, to czynami. Ten gniew natychmiast zresztą minął, zgaszony przerażeniem. Maria Francesca dostrzegła szybki ruch Lorenza Zapaty, który sięgnął po pistolet. W oka mgnieniu zrozumiała, co grozi Martenowi.

W pierwszym porywie chciała go zasłonić własnym ciałem, lecz jednocześnie pojęła, że nie zdąży. Z niesłychaną przytomnością umysłu zdała sobie sprawę z sytuacji. Obok niej stał żaglomistrz Stauffl. Wspomnienie sprzed dwóch miesięcy przemknęło przed jej oczyma jak krótki błysk; Ujrzała następujące po sobie dwa obrazy: najpierw pochyloną postać Stauffla, jego łysą wygoloną głowę, rumiane policzki i niewinne niebieskie oczy, a także jego lewe ramię opadające •w dół po gwałtownym rzucie: potem zaś — sztywniejące zwłoki Manuela de Tolosa z dwoma nożami w szyi;

Krzyknęła tylko jedno słowo: „Tam!” I wskazała pal- I cem hiszpańskiego kapitana piechoty.

Szalony strach, że jej okrzyk i gest nie zostały zrozumia- i ne, przejął ją do szpiku kości. Lecz Herman Stauffl działał I jak piorun, Nóż warknął w powietrzu, Lorenzo zwał się pod I nogi Ramireza, huknął strzał i drzazga odłupana z pokładu J prysnęła w bok.

Przez całe trzy sekundy trwała grobowa cisza. Potemf buchnął wrzask. Ludzie zerwali się z miejsc, rzucili się ku i skamieniałym ze zgrozy Hiszpanom i zatrzymali się, widząc, że Ramirez wstaje. Żaden z nich, nie wyłączając Martena, i nie rozumiał, co właściwie zaszło.

Lecz Martenowi widocznie spieszo było do zakończenia I rozprawy. Gdy jego okrzyk nie poruszył skamieniałego ze I zgrozy komandora, trącił go końcem swego rapiera.;

— Opamiętaj się, Blasco — powiedział drwiąco. — Maszw jeszcze szpadę w garści i głowę na karku, Brakuje el tylko I jednego ucha!

Ramirez spojrział na niego nieprzytomnie, z opadniętą szczęką I wyrazem osłupienia w oczach.

.— Kto go zabił? — wybełkotał zaledwie zrozumiale, * j

Marten wzruszył ramionami;

— Cóż, u diabła... — zaczął i urwał nagle.

Senorita de Vizella dotknęła jego ramienia. Zobaczył jejja twarz okrytą rumieńcem i błyszczące oczy.

— Zostaw go — powiedziała, — Nie odeszłabym z nim|9 nawet gdyby zwyciężył.

_— Co takiego? — zdumiał się Marten.;

— Chcieli cię zabić. Ten — wskazała nieruchome juza zwłoki Lorenza — miał strzelić do ciebie.

— Wiedziałaś o tym! — wykrzyknął, ..

Potrząsnęła przecząco głową.;

zz Gdybym o tym wiedziała, ostrzegłabym cię. Zobaczy-

łam, że mierzy z pistoletu, i zdążyłam tylko ostrzec żaglomistrza, Marten oniemiał. Nie mógł w to uwierzyć, Obejrzał się, szukając wzrokiem Hermana Stauffla.;

r- To prawda — powiedział żaglomistrz;

Postąpił kilfita kroków, schylił się nad trupem i wyciągnął zakrwawiony nóż z jego gardła. Obtarł ostrze połą kaftana Lorenza Zapaty, po czym wsunął je troskliwie za pas, na właściwe miejsce;

— Nie udała się sztuka, oo? — powiedział z dobrodusznym uśmiechem do Ramireza, a potem splunął mu pod nogi, odwrócił się i uważając zapewne, że wyjaśnił już wszystko, jak należy, odszedł z powrotem pod lewą burtę.;

Marten milczał nadal, choć nie miał już żadnych wątpliwości. Milczał, ponieważ obawiał się, że jeśli spróbuje wypowiedzieć choćby jedno słowo, zacznie krzyczeć, śmiać się i płakać; Stał jak przyrośnięty do pokładu, ze wzrokiem utkwionym w oczach Marii Franceski, nasłuchując bicia własnego serca, które tętniło w nim potężnie jak młot walący o żebra, Przez chwilę nie myślał o niczym. Ponosiła go szalona radość i beztroska,- Nic poza tym nie istniało.; Przestał dbać o Ramireza, o swoją sławę, o „Zephyra”, o wszystkich przyjaciół czy wrogów. Zapamiętał się w tym spojrzeniu w orzechowe oczy, które patrzyły na niego bez drgnienia, z wyrazem oddania i miłości;

Z milczącego uniesienia, w którym nieopisana słodycz zlewała się z dzikim, radosnym triumfem, wyrwał Martena okrzyk jednego z marynarzy pełniących straż przy jeńcach, na pokładzie „Santa Cruz”:

— Żagle! O-hej! Żagle z południowego zachodu!

Inni rzucili się patrzeć, a Marten, który natychmiast ochłonął jak od ohłuśnięcia zimną wodą na rozpaloną głowę,

w trzech susach znalazł się na tylnym kasztelu „Zephyra”.

Ujrzał stamtąd ponad sześćdziesiąt okrętów płynących-w kilku rzędach, z wiatrem w baksztag. Czerwone krzyże na żaglach i czerwono-żółte bandery u szczytów masztów nie pozostawiały żadnych złudzeń co do przynależności tej floty. Konwój ze srebrem i złotem płynął z Ma dery. Otaczała go potężna eskorta karawel z Flotylli Prowincjonalnej i hiszpańskie fregaty wojenne Pascuala Serrano. Jego okręt, smukły i szybki, przebrasowywał reje na fordewind w odległości półtorej mili od „Zephyra” i „Santa Cruz” kierując się wprost ku nim.

Gdybym nie zaatakował Piamireza o świcie ~ pomyślał Marten — nie mógłbym zaatakować go wcale.

Zwrócił się ku swoim ludziom i wydał szybkie rozkazy.; Sam zdumiał się nad jasnością swego umysłu po gwałtownym wzruszeniu, które przeżył przed chwilą. Cieszyło go, że' potrafił się tak prędko opanować.

Skoczył na pokład rufy, a stamtąd na szkafut. Oficerowie hiszpańscy stali lam, gdzie ich zostawił. Ramirez był pomiędzy nimi.

— Możesz odejść na swój okręt! — powiedział do niego Marten. — Nie będę cię więcej ścigał, jeżeli nie wejdiesz, mi w drogę. Ale gdybyś jeszcze kiedykolwiek próbował zabić mnie zdradziecko, jak tym razem, po prostu każę cię powiesić. I obetnę ci drugie ucho — dodał wybuchając krótkim śmiechem. — A wy -» zwrócił się do oficerów — wynoście się z nim razem. Prędko! - — tupnął nogą. — Póki trap leżyj na burtach.

Usłuchali go w ponurym milczeniu; ruszyli za Ramirezem, który szedł pochylony, jak pod ciężkim brzemieniem, z opuszczoną głową i obwisłymi ramionami, wlokąc za sobą zwisającą na pętli szpadę. Posępny pochód przemierzył całą szerokość głównego pokładu, wspiął się na stromy, zbity z de-

sek pomost przerzucony na karawelę i zatrzymał się u jej grotmasztu.

Zaraz potem majtkowie „Zephyra” ściągnęli ów trap i odepchnęli bosakami dziób okrętu. Wznoszące się żagle chwyciły wiatr i „Zephyr” zaczął wolno sunąć wzdłuż burty „Santa Cruz”. Na szkafucie pozostał samotny, wzgardzony przez swoich i wrogów trup Zapaty.

— Co z nim zrobić? — zapytał Grabiński, ukończywszy manewr.

Marten spojrzął z odrazą na sztywniejące zwłoki i wykonał gest dłonią w stronę burty.

— Już ja się tym zajmę, za waszym pozwoleniem, panie sterniku — ofiarował się skwapliwie Percy Burnes, który tylko na te czekał. — Mam z nim swoje porachunki — dodał z obrzydliwym uśmiechem. —; Oddam mu chętnie tę ostatnią przysługę.

— Przywiążcie mu do nóg parę ogniw starego łańcucha — rzekł Stefan. — Niech pójdzie na dno. Bądź co bądź był żołnierzem i walczył do końca.-

— Naturalnie — przyświadczył Percy, krzątając się głównie koło kieszeni hidalga, który omal nie okpił go na dwadzieścia dukatów, zabierając mu zarazem „pamiątkowy” pistolet.

Po chwili był gotów. Ciało kapitana piechoty morskiej, Lorenza Zapaty, zsunęło się z pokładu i z pluskiem pogrążyło się w otchłań morską. Sloven, który mu w tym (lopo-mógł, otarł zroszone potem czoło, zatknął za pas swój odzyskany pistolet i uderzył się dłonią po udzie, aby usłyszeć stłumiony brzęk złota w skórzanym mieszku;

Nagle błogi wyraz jego twarzy zmienił się; wykrzywił ją grymas żalu i bezsilnej złości.

— Wielki Boże! — jęknął. — Co ja zrobiłem, nieszcześnie !

"— Cóżes zrobił? •— zainteresował się Klops, fetory właśnie obok niego przechodził;
Perey rzucił mu nieufne spojrzenie.
—Straciłem drogocenny pierścień z zielonym kamie-? niem
— rzekł złamanym głosem.
—Teraz? — spytał zdziwiony Klops. — W tej chwili?;
Zsunął ci się z palca?
—Z palca? — powtórzył Percy.; — Tak, naturalnie, zapomniałem go zdjąć z palca, wyrzucając to ścierwo za burzę-
Klops pokiwał głową.
— Nie umiesz się obchodzić z klejnotami, Sloven — po wiedział karcąco. ~ Nie jesteś do nich stworzony.'

'i„Zephyr" oddalał się pod wszystkimi żaglami, podniósłszy swoje nowe francuskie flagi z barwami Henryka IV ora czarną banderę, którą z daleka rozpoznało kilku kapitano^ Północno-Wschodniej Floty Prowincjonalnej. Tylko fregat Pascuala Serrano usiłowała go ścigać, lecz bez powodzenia korsarz płynął z wiatrem i rozwijał prędkość czternastu lub piętnastu węzłów; żaden hiszpański okręt nie mógł się z nim równać.

Jan Kuna, zwany Martenem, stał obok swego młodego porucznika i spoglądał na wielkie stado hiszpańskich żagli, które skupiły się dokoła ledwie widocznej sylwetki „Sant Cruz". Można ją było jeszcze rozróżnić pośród innych dzięki dwu masztom strzaskanym w połowie wysokości celną salw Tomasza Pociechy.

Słońce zachodziło w złotej aureoli ostatnich blasków, a na wschodzie, nisko, tuż nad horyzontem, blade gwiazdy' oczekiwały na zmierzch, by wspaniale zabłysnąć na czystym; niebie.

— Masz słuszność — mówił Jan.- — Życie jest piękne; Można to w całej pełni ocenić, dopiero gdy człowiek walczy,

ociera się o śmierć i zwycięża, Teraz właśnie czuję, jak bardzo kocham życie! Nie, zaiste nie wiem, co to przesyt i nuda, choć osiągnąłem tak wiele!

Odwrócił się i spojrzał ku gwiazdom.

— Patrz.;; — zaczął i umilkł.

U wejścia do kasztelu stała Maria Francesca. Spotkał jej wzrok;

— Weź kurs na ujście Girondy — powiedział do Stefana, — Zostawiam ci okręt, Nie wyjdę już dziś na pokład.; Płyniemy do Bordeaux.;

Grabiński spojrzał na niego trochę zdziwiony, ale nie zdążył o nic zapytać, Marten podszedł do drzwi, pochylił się lekko, a sternik „Zephyra” dostrzegł białe ramię seniority de Yizella otaczające szyję jego kapitana;